



JANUSZ KORCZAK

---

**Kiedy znów będę  
mały**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska



JANUSZ KORCZAK

## *Kiedy znów będę mały*

Do dorosłego czytelnika

*Powiadacie:*— *Nuży nas obcowanie z dziećmi.**Macie słuszność.**Mówicie:*— *Bo musimy się zniżyć do ich pojęć.**Zniżyć, pochylać, naginać, kurczyć.**Mylicie się.**Nie to nas męczy. Ale — że musimy się wspinać do ich uczuć.**Wspinać, wyciągać, na palcach stawać, sięgać.**Żeby nie urazić.*

Do młodego czytelnika

*W powieści tej nie ma ciekawych przygód. Jest to próba powieści psychologicznej.**Nie psychologiczna, że o psach. Nie psy, ale jeden tylko Łatek.**A że po grecku: psyche znaczy — dusza.**Mówi się tu, co się dzieje w duszy człowieka: o czym myśli, co czuje.*

To tak było:

Leżę raz w łóżku i nie śpię. Ale przypominam sobie, że jak byłem mały, często myślałem, co będę robił, gdy urosnę.

Różnie układałem.

Jak będę duży, zbuduję domek dla rodziców.

I ogródek będę miał. Żeby w ogródku nasadzić drzewek: grusz, jabłoni i śliwek. Zawsze kwiaty. Żeby, jak jedne kwiaty więdną, inne zaczynają kwitnąć.

Nakupię książek z obrazkami albo bez obrazków, tylko żeby były ciekawe.

Kupię farby, ołówki kolorowe, będę rysował, malował. Co zobaczę, będę rysował.

Będę pielęgnował ogródek — i altankę wybuduję. W altance postawię krzesło, fotel z poręczami. Altanka będzie obrosnięta dzikim winem, a jak ojciec wróci z roboty, niech siedzi wygodnie w cieniu. Nałoży na nos okulary i będzie czytał gazetę.

A mama znów — będzie miała kury. I będzie gołębnik wysoko na palu, żeby się kot albo inny szkodnik nie zakradł.

I króliki będą.

Będę miał srokę, nauczę ją mówić.

Będę miał kuca i trzy psy.

Raz chcę mieć trzy psy, a raz cztery. Nawet wiedziałem, jak je będę nazywał. Zresztą niech będą trzy: dla każdego po jednym. Mój będzie Bekas, a mama i ojciec niech nazwą, jak im się będzie podobało.

Dla mamy mały, pokojowy piesek. A jak woli kota — no to kot. Albo i pies, i kot. Przyzwyczają się, z jednej miseczki będą jadły. Piesek czerwoną wstążeczkę, kot — niebieską.

Raz się nawet pytałem:

— Mamo, czy czerwona wstążka lepsza dla psa, czy dla kota?

Marzenie

Rozczarowanie

A mama powiedziała:  
— Znów spodnie podarłeś.  
Ojca się zapytałem:  
— Czy każdy staruszek musi mieć ławeczkę pod nogi, jak siedzi?  
Ojciec powiedział:  
— Każdy uczeń powinien mieć dobre stopnie i nie stać w kącie.  
No i przestałem się pytać. Już potem sam wszystko.  
Może psy będą do polowania. Pójdę na polowanie, przyniosę do domu, mamie oddam.  
Nawet dzika upoluję, ale nie sam — z kolegami. Moi koledzy także już będą duzi.  
Będziemy chodzić się kąpać. Zrobimy łódkę. Jak rodzice zechcą, będę ich woził.  
Gołębi będę miał dużo. Listy będę pisał i przez gołębie wysyłał. To będą gołębie pocztowe.  
Z krowami było tak samo. Raz myślę, że jedna wystarczy, raz — dwie.  
Więc jak mamy krowy, to już jest mleko, masło, ser. A kury naniósł jajek.  
Później będą ule. Pszczoły, miód. Mama namarynuje dla gości śliwek na całą zimę i nasmaży powidel.  
Będzie las. Pójdę do lasu na cały dzień. Wezmę wszystkiego na cały dzień, pójdę zbierać jagody, poziomki, a potem na grzyby. Nasuszy się grzybów — i będzie.  
Narąbię drzewa duuuużo, na całą zimę. Żeby było ciepło.  
Studnię trzeba wykopać głęboką, aż do wody czystej, źródlanej. Ale różne rzeczy trzeba kupować: buty, ubranie. Ojciec będzie stary, nie może dużo zarabiać. Więc ja.  
Zaprzęgnę konia i zawiozę na targ owoce, jarzyny, wszystko, co niepotrzebne. A co potrzebne — przywiozę. Będę się targował i tanio kupię.  
Albo nałożę jabłek do koszyków, pojedę do dalekich krajów okrętem. W ciepłych krajach są figi, daktyle, pomarańcze, więc im się znudziły. I kupią jabłka. A ja — ich owoce. Przywiozę papugę, małpkę i kanarka.  
Sam już nie wiem, czy wierzyłem w to wszystko. Ale przyjemnie było tak sobie w głowie układać.  
Czasem nawet wiedziałem, czy koń będzie gniady, czy kary. Bo na przykład widzę jakiegoś konia i myślę: „O, takiego będę miał, jak urosnę”. A potem zobaczę innego i myślę: „Nie, taki będzie lepszy”. Albo: „Niech będą dwa — i ten, i ten”.  
Aż wezmę i znów inaczej.  
Że będę nauczycielem. Zbiorę ludzi i powiem:  
— Trzeba dobrą szkołę wybudować. Żeby nie było tak ciasno, żeby jeden drugiego nie pchał, nie deptał, nie potrącał.  
Przychodzą dzieci do szkoły, a ja się pytam:  
— Zgadnijcie, co będziemy robili?  
Jeden powie:  
— Pójdziemy na wycieczkę.  
Drugi mówi:  
— Będą przezrocza<sup>1</sup>.  
I to, i sio.  
A ja:  
— Nie, nie; wszystko to też będzie, ale i coś ważniejszego.  
Aż jak się uspokoją, dopiero:  
— Szkołę wam zbuduję.  
I wymyślłam różne przeszkody. Że niby szkoła już prawie gotowa, a tu się zawaliła albo pożar. Trzeba znów zacząć; ale na złość jeszcze lepszą buduję.  
Zawsze myślałem z przeszkodami. Jak jadę okrętem — to burza. Jak jestem wodzem — naprzód przegrywam, a na końcu dopiero zwycięstwo.  
Bo nudzi się, jeżeli się wszystko od samego początku udaje.  
Więc przy szkole jest ślizgawka, więc są różne obrazki, mapy, przyrządy, gimnastyka, wypchane zwierzęta.

Sielanka

<sup>1</sup>przezrocza — obrazy lub zdjęcia wyświetlane na ścianie lub na ekranie; w XVIII i XIX w. było do tego wykorzystywane urządzenie zwane latarnią czarnoksiężską, w którym skupiony w soczewce promień światła przechodził przez obrazek namalowany na szkle i wyświetlał ten obraz na ścianie. [przypis edytorski]

Nadchodzą święta, a tu się zebrał przed szkołą chłopcy i dziewczęta i krzyczą:  
 — Proszę wpuścić! Nie chcemy świąt, chcemy chodzić do szkoły!  
 Woźny się z nimi kłóci, ale nie pomaga. A ja siedzę w kancelarii, nic nie wiem, bo piszę różne papiery... Aż tu wchodzi woźny. Zastukał i wchodzi.  
 On zastukał. Ja mówię:  
 — Proszę.  
 No i mówi:  
 — Proszę pana, dzieciaki zrobiły bunt, nie chcą świętować.  
 A ja:  
 — Nie szkodzi, zaraz je uspokoję.  
 Wychodzę — śmieję się — nie gniewam. Tłumaczę:  
 — Jak święta — to święta. Nauczyciele muszą odpocząć. Bo jak są zmęczeni, gniewają się i krzyczą na dzieci.  
 Rada w radę: że będą przychodziły się bawić na podwórku, ale porządku niech same pilnują.  
 Różnie myślałem, co będę robił, gdy urosnę.  
 Raz, że będzie tylko ojciec i mama, a raz, żeby mieć żonę. Żeby na własnym gospodarować.  
 Żał mi się z rodzicami rozłączyć, więc mieszkamy razem, tylko przez sień. Po jednej stronie rodzice, po drugiej ja z żoną. Albo niech będą dwa domki w sąsiedztwie. Bo ludzie wiekowi lubią spokój. Jak się po obiedzie położą, żeby dzieci nie przeszkadzały. Bo dzieci latają, tupią, stukają, krzyczą, hałasują.  
 Kłopot mam z dziećmi, bo nie wiem, czy chceć samych chłopaków, czy i dziewczynkę. Czy lepiej, żeby chłopiec był starszy, czy ona.  
 Żona mogłaby być taka jak moja mama, a dzieci — sam nie wiem. Czy chcę, żeby dokazywały, czy mają być spokojne i co im pozwolić robić? No — żeby cudzego nie ruszały, papierosów nie palić, nie mówić brzydkich wyrazów, żeby się nie biły i nie bardzo kłóciły.  
 A co zrobię, jak się pobiją, nie zechcą się słuchać albo szkodę jaką wyrządzą?  
 Czy mają być większe, czy małe?  
 Rozmaicie myślę.  
 Raz chcę być duży jak Michał, raz jak wuj Kostek, raz jak tatuś.  
 Raz chcę być duży na zawsze, a raz tylko na próbę. Bo może z początku będzie mi przyjemnie, a potem znów zechcę być mały?  
 I myślałem — myślałem, aż naprawdę urosłem. Już mam zegarek, wąsy, biurko z szufladami, wszystko mam jak dorośli. I naprawdę jestem nauczycielem. I nie jest mi dobrze.  
 Nie jest mi dobrze.  
 Dzieci nie uważają na lekcjach, muszę się ciągle gniewać. Dużo mam różnych zmar-twień. Ojca ani mamy już nie mam.  
 Więc dobrze.  
 Zacznę teraz myśleć na odwrot:  
 „Co bym robił, gdybym znów kiedy był dzieckiem. Nie takim zupełnie małym, ale żeby chodzić do szkoły, znów bawić się z chłopakami. Żeby tak nagle obudzić się i zobaczyć: Co to się stało? Czy mi się tylko śni, czy naprawdę?”  
 Patrzę na rękę, dziwię się. Patrzę na swoje ubranie, dziwię się. Wyskakuję z łóżka, lecę do lustra. Co to się stało?  
 A tu mama pyta:  
 „Wstałeś już? Prędko się ubieraj, bo się spóźnisz do szkoły”.  
 Gdybym znów był dzieckiem, chciałbym pamiętać, wiedzieć, umieć wszystko, co teraz wiem i umiem. I żeby nikt się nie domyślał, że już byłem duży. A ja niby nic. Udamę, że jestem takim samym chłopakiem jak wszyscy, mam ojca i mamę i chodzę sobie do szkoły. Tak byłoby najciekawiej, najlepiej. Przyglądałbym się tylko i tak by było śmiesznie, że mnie nikt nie poznaje.

Więc raz leżę w łóżku — nie śpię i myślę:

Dorosłość, Przemiana

„Gdybym był<sup>2</sup> wiedział wtedy, wcale nie chciałbym urosnąć. Sto razy lepiej być dzieckiem. Dorośli są nieszczęśliwi. Wcale tak nie jest, że dorośli mogą robić, co chcą. Nam mniej jeszcze wolno niż dzieciom. Cięższe mamy obowiązki. Więcej mamy zmartwień. Rzadziej mamy myśli wesołe. Już nie płaczemy — to prawda — ale chyba dlatego, że nie warto płakać. My tylko ciężko wzdychamy”.

I westchnąłem.

Westchnąłem ciężko, głęboko: że już trudno — przepadło. Nikt nic nie poradzi. Nigdy już dzieckiem nie będę. Nic tu żal nie pomoże.

Ale jak tak westchnąłem, zrobiło się nagle ciemno. Zupełnie ciemno. Nic nie widzę. Tylko dym jakiś. Aż w nosie kręci.

Zaskrzypiały drzwi. Przestraszyłem się. Jakieś maluśkie światełko się pokazało. Jak gwiazdka.

— Kto to?

A gwiazdka płynie przez ciemność i coraz bliżej — do mnie. Już koło łóżka, już na poduszce.

Patrzę — a to mała latarka. A na poduszce stoi mały człowieczek... A na głowie ma czerwony, wysoki kapelusz. I siwą brodę. No, krasnoludek. Tylko zupełnie mały — jak palec.

— Jestem.

Uśmiecha się i czeka.

I ja się uśmiechnąłem. Bo myślałem, że mi się tak śni. Dorosłemu też się czasem przyśni dziecinny sen — że aż się dziwi, skąd to się wzięło.

A krasnoludek mówi:

— Wezwałeś mnie, więc przybyłem. Czego chcesz? Tylko prędko!

On nie mówi, tylko jakoś ćwierka. Ale cicho, cichutko. A ja słyszę i rozumiem.

— Wezwałeś mnie — mówi — a teraz nie wierzysz.

I zaczął bujać latarką: w prawo, w lewo, w prawo, w lewo.

— Nie wierzysz — mówi. — Dawniej ludzie zajmowali się czarami. Teraz w czarno-księżników, w krasnoludki i wróżki wierzą tylko dzieci.

Buja latarką i kiwa głową. A ja boję nawet ruszyć.

— Powiedz jakieś życzenie. Spróbuj. Co ci to szkodzi?

Poruszyłem ustami, żeby się go zapytać, a on już się domyślił — już wie.

— Wezwałeś mnie Westchnieniem Tęsknoty. Ludzie myślą, że zaklęcia — to konieczne muszą być wyrazy. A nie, a nie, a nie!

Kiwa głową, że nie. Przystępuje z nogi na nogę. Tak śmiesznie. I latarką swoją w prawo i w lewo. A ja czuję, że już zasypiam. I oczy szeroko otwieram, żeby nie zasnąć. Bo mi szkoda.

— No, patrz — mówi krasnoludek — patrz, jakiś ty uparty! Śpiesz się, bo sobie pójde. Mnie nie wolno być długo. Będziesz potem żałował.

Już nawet chcę powiedzieć życzenie, ale nie mogę. Może już jest tak na świecie, że łatwo mówić, jeśli się tak sobie pragnie, a trudno, jeśli chce bardzo.

Widzę, że krasnoludek zmartwiony. Żal mi go. Ale nie mogę.

— No, pozostań w spokoju. Szkoda.

I już odchodzi. I teraz dopiero powiedziałem cicho i prędko:

— Chcę znów być dzieckiem.

Wrócił — zakręcił się jakoś — i latarką prosto w oczy. I coś powiedział, ale nie słyszałem. Nie wiem, jak wyszedł. A kiedy się rano obudziłem, pamiętałem wszystko.

Rozglądam się ciekawie po pokoju.

Nie, nie śniło się wcale.

Prawda.

---

<sup>2</sup>gdym był wiedział — dziś: gdybym wiedział; przykład użycia czasu zaprzeczonego, oznaczającego czynność wcześniejszą niż wyrażona czasem przeszłym lub, jak w tym przypadku, w połączeniu z przypuszczeniem, warunek, o którym już wiadomo, że się nie spełnił. [przypis edytorski]

## DZIEŃ PIERWSZY

Nic nie mówię nikomu, że byłem dorosły, udaję, że zawsze byłem chłopcem, i czekam, co z tego będzie. Tak mi dziwnie i śmiesznie. Patrzę i czekam.

Czekam, aż mama mi chleb ukrąże, niby że sam nie mogę. Pyta się mama, czy lekcję odrobiłem. Mówię, że tak, ale naprawdę to nie wiem.

Wszystko jak w bajce o śpiącej królewnie, a nawet gorzej. Bo królewna sto lat spała, ale wszyscy razem z nią spali i razem się obudzili: i kucharze, i muchy — cała służba — nawet ogień na kominie. I obudzili się tacy sami. A ja obudziłem się zupełnie inny.

Spojrzałem na zegar, ale zaraz się odwróciłem, żeby się nie zdradzić. Bo może tamten chłopak nie znał się na zegarze?

Ciekawy jestem, jak też będzie w szkole, jakich tam spotkam kolegów. Czy zauważą co, czy będą myśleli, że już dawno chodzę do szkoły? Dziwne, że wiem, do której szkoły mam iść, na którą ulicę. Wiem nawet, że nasza klasa jest na pierwszym piętrze, a siedzę na czwartej ławce koło okna. A koło mnie Gajewski.

Idę — tak maszeruję. Wymachuję rękami. Lekki jestem, wyspany. Zupełnie inaczej, niż kiedy byłem nauczycielem. Rozglądam się na wszystkie strony. Uderzyłem ręką w szyld blaszany. Nie wiem, po co to zrobiłem. Zimno, aż para idzie z ust. Umyślnie chucham, żeby szło więcej pary. Przychodzi na myśl, że mogę zagwizdać jak lokomotywa, dmuchać parą i biec zamiast chodzić. Ale się jakoś wstydzę. No — a właściwie czego? Na to przecież chciałem znów być dzieckiem, żeby mi było wesoło.

Ale od razu nie można. Trzeba się naprzód wszystkiemu przyjrzeć, dopiero potem.

Idą chłopcy i uczennice, idą i dorośli. Patrzę, kto weselszy. Ci spokojni i ci spokojni. Prawda: na ulicy nie mogą dokazywać. Zresztą jeszcze się nie rozruszali. Ja co innego: pierwszy dzień dopiero zaczynam być dzieckiem, więc mi wesoło.

I jakoś dziwnie. Jakbym się czegoś wstydział.

To nic. Pierwszego dnia tak być musi. Potem się przyzwyczaję.

Aż zobaczyłem duży wóz. A koń nie może uradzić. Widocznie źle podkutę, bo mu się nogi ślizgają. Paru chłopców stoi i patrzy. I ja przystanąłem.

„Ruszy z miejsca czy nie?”

Rozcieram uszy, tupię, bo nogi marzną; już chcę, żeby ruszył, żeby się skończyło... A szkoda mi odejść, dopóki nie zobaczę. Zawsze to ciekawe: bo może się koń przewrócić — i jak sobie woźnica poradzi? Gdybym był duży, przeszedłbym obok obojętnie, pewnie bym wcale nie zauważył. A że jestem chłopakiem, więc mnie to ciekawi.

Patrzę, jak dorośli tylko nas odsuwają z drogi, bo im przeszkadzamy. Czego się tak śpieszą?

No, nic. Wóz ruszył nareszcie i przychodzi do szkoły.

Wieszam palto do swojej klasy. A tam już mówią, że Wisła stanęła.

— Dziś w nocy.

Tamten mówi, że nieprawda. Klóć się. Właściwie nie klóć się, ale spierają.

Jeden mówi:

— Patrzcie go! Pierwszy mróz i już mu Wisła stanęła! Kra to może płynie.

— Właśnie, że nie płynie.

— E, głowę zawracasz!

Jeszcze się paru przyłączyło. Dorosły na pewno powiedziałby, że się klóć. Bo racja; ten mówi: „Głupi jesteś”, tamten mówi: „Frajerze”. Od Wisły przeszli na śnieg. Czy będzie, czy nie? A to, że dym z komina idzie w górę, więc nie będzie śniegu. A to, że po wróblach można poznać, czy będzie śnieg. Któryś tam mówi, że widział barometr.

I znowu:

— Głupi jesteś.

— Ty za to mądry!

— Kłamiesz!

— Może ty kłamiesz?

Nie wszyscy biorą udział w kłótni. Bo inni stoją, sami nic nie mówią, tylko słuchają.

Ja się też przysłuchuję i przypominam sobie, że i dorośli w cukierni też klóć się często — nie o śnieg, ale o politykę. Zupełnie tak samo. Nawet mówią tak samo:

— Załóż się pan, że prezydent nie przyjmie dymisji.

Dzieciństwo, Radość,  
Wstyd, Cud

A tu:

— Załóż się, że śniegu nie będzie.

Nie mówią: „Głupi — kłamiesz” — spierają się delikatniej, ale też jest hałas.

Ale tak stoję sobie, a wpada Kowalski.

— Te, słuchaj, napisałeś przykłady? Pożycz mi, to sobie przepiszę. Wczoraj goście byli u nas. A może pani będzie sprawdzała.

Ja nic: rozkładam teczkę i patrzę, co się tam dzieje w zeszycie. Jakby to było nie moje, a tego jakiegoś chłopca, który wczoraj za mnie lekcje odrabiał.

A tymczasem jest dzwonek. On nie czeka, aż sam pozwolę, tylko łapie i leci na swoją ławkę. A mnie przychodzi do głowy, że jeżeli przepisze tak samo, pani może pozna i pomyśli, że to ja ściągnąłem. Jeszcze mnie do kąta postawi.

Śmieszne mi się wydało, że będę stał w kącie.

A Wiśniewski się pyta:

— Czego się śmiejesz?

— Coś mi się przypomniało — mówię i dalej się śmieję.

A on:

— Wariat. Śmieje się, sam nie wie z czego.

Ja mówię:

— Wariat — nie wariat. Może wiem, z czego się śmieję, tylko ci nie chcę powiedzieć.

A on:

— Ho, ho, jaki ty tajemniczy.

I odszedł obrażony.

Dziwię się, że wiem, jak oni się nazywają, przecież ich pierwszy raz widzę i oni mnie także. Zupełnie jak we śnie.

Tymczasem wchodzi pani, a Kowalski zeszytu nie oddał. Wołam cicho: „Kowalski — Kowalski”, ale nie słyszy albo udaje. A pani mówi:

— Czego się kręcisz? Siedź spokojnie!

Myszę sobie: „No, zarobiłem pierwszą uwagę w szkole od nauczycielki”.

A siedzę niespokojnie, bo nie mam zeszytu.

Schowałem się za tego, co przede mną, i czekam, co będzie.

Boję się. Nieprzyjemnie się bać. Gdybym był dorosły, nie bałbym się. Nikt by ode mnie nie przepisywał przykładów. A że jestem uczniem i kolega poprosił, nie mogłem przecież odmówić. Zaraz by powiedział, że nieużyty, samolub. Powiedziałby: „chytry”, że chcę, żeby pani tylko mnie chwaliła, że dobrze napisałem przykłady.

Chyba będę najlepiej się uczył, bo raz już szkołę skończyłem. Trochę zapomniałem, ale co innego sobie przypominać, a co innego uczyć się wszystkiego na nowo.

Pani tłumaczy gramatykę, a ja dawno już umiem. Pani każe nam pisać, ja raz-dwa napisałem. I siedzę. Pani zauważyła, że nic nie robię, i pyta się:

— A ty dlaczego nie piszesz?

Mówię:

— Już napisałem, proszę pani.

— Pokaż no, coś ty tam napisał — mówi pani, ale tak, jakby zniecierpliwiona.

Ja też nie lubię, jeżeli zadałem na całą godzinę, a napisali prędkiej. Bo nauczyciel zada i chce mieć spokój do dzwonka, a oni się śpieszą, a potem zaczynają rozmawiać.

Więc idę do pani i pokazuję.

— Owszem, dobrze, ale jeden błąd zrobiłeś.

— Gdzie? — pytam się niby zdziwiony.

Naumyślnie zrobiłem błąd, żeby się pani nie domyśliła, że już raz szkołę skończyłem.

Pani mówi:

— Poszukaj sam, gdzie jest błąd. Gdybyś się tak nie śpieszył, mogłeś zupełnie dobrze napisać.

Wracam na miejsce i niby szukam. Udaję, że jestem zajęty. Będę musiał powoli lekcje odrabiać, ale tylko z początku. Potem, kiedy już będę najlepszym uczniem w klasie, nauczyciele się przyzwyczają, że jestem zdolny.

No, ale nudzić mi się zaczyna. A pani się pyta:

— Znalazłeś swój błąd?

Mówię:

— Znalazłem.

— To pokaz.

Pani mówi: „Tak”. I jest dzwonek.

Jak już jest dzwonek, zaczyna się przerwa. Niby pauza. Dyżurny wygania z klasy i okna otwiera.

Co ja też będę robił? Dziwne mi się wydało, że mam z chłopakami się gonić. Ale próbuję<sup>3</sup> jak inni.

Przyjemnie, wesoło. O, przyjemnie!

Jakże dawno już nie biegałem!

Kiedy byłem młody, mogłem nie gonić się, ale biec do tramwaju albo na dworzec. Czasem dokazywałem z dziećmi u znajomych. Niby chcę złapać, one uciekają. No, tak: kiedy byłem młody. Potem już do tramwaju się nie śpieszyłem. Co tam — uciekł mi tramwaj, na drugi poczekam. A jak na żarty gonię dziecko, to tylko kilka kroków, a potem tupię na miejscu, żeby postraszyć. A ono ucieka i dopiero się ogląda z daleka. Albo biegnie naokoło i robi wielkie koło, a ja się kręcę na miejscu i udaję, że się puszcza w pogoń. Ono myśli, że jakbym chciał, tobym złapał, bo ja jestem dorosły. A ja nie mogę. Bo siłę mam, ale mi serce zaraz mocno bić zaczyna i tchu brak. Tak, i po schodach już wolno wchodziłem, a jak było wysoko, odpocząłem po drodze.

A teraz:

Pędzę, aż mi powietrze szumi i w twarz bije. Spocilem się, ale nic. Przyjemnie, wesoło. Aż podskoczyłem z radości i zawołałem:

— Aleee przyjemnie być dzieckiem!

Zaraz się przestraszyłem i rozejrzałem, czy kto nie słyszał; bo mógł pomyśleć, że jeśli tak się cieszę, więc może nie zawsze byłem dzieckiem.

Pędzę, że mi wszystko miga przed oczami. Męcę się, to prawda. Ale wystarczy przystanąć na chwilę, westchnąć parę razy — i znów mogę, już odpocząłem — dalej!

Dobrze się stało, że znów sobie latam, a nie tak: człap — człap, krok za krokiem.

O dobry krasnoludku, jakże ci jestem wdzięczny!

Bo dla nas bieg jest jak konna jazda, galopem, „z wichrem w zawody”. Nic się nie wie, nie myśli, nie pamięta, nawet nie widzi — tylko się czuje życie, pełne życie. Czuje się, że jest powietrze we mnie i wokoło.

Gonię, uciekam — wszystko jedno. Prędzę!

Upadłem. Stukłem kolano. Zabolało. I dzwonek.

Szkoda. Żeby jeszcze troszeczkę. Żeby jeszcze minutkę.

— Kto prędzęj: ty czy ja?

Już nie boli noga. Znów wiatr bije w oczy, w twarz, w płuca. Znów pędzę bez opamiętania, żeby być pierwszy. Cudem wymijam chłopców, zdobywam przeszkody. Próg — ręka za poręcz i w górę po schodach. Nie oglądam się, ale czuję, że został z daleka. Zwyciężam.

I z całego rozmachu w wąskim korytarzu — bęc na kierownika<sup>4</sup>! Mało się nie przewrócił.

Widziałem, że kierownik stoi, ale się już nie zdążyłem zatrzymać. Zupełnie jak maszynista, szofer czy motorniczy. W tej chwili zrozumiałem, że niesłusznie ich oskarżają. Przygoda, nieszczęście, ale nie wina. Może naprawdę wyszedłem z wprawy? Boże mój — tyle lat, tyle lat!

Mogłem się wcisnąć między chłopaków, bo wszyscy lecieli. Ale ja dopiero pierwszy dzień jestem znowu uczniem.

Więc stanąłem jak głupi. Nawet nie powiedziałem „przepraszam”. A kierownik złapał mnie za kołnierz i trząchnął, aż głowa mi zalatała. Ale zły taki, że nie wiem.

— Jak się nazywasz, urwisie?

Ja w strachu. Serce mi tłucze, słowa nie mogę wymówić. Wie on, że nienaumyślnie, więc powinien przebaczyć. Ale znów tak z rozmachu pchnąć kierownika? Mógł się przecież przewrócić, uderzyć. Chcę coś przemówić, ale drzę cały i język mi skołowaciał.

<sup>3</sup>probować — dziś popr.: próbować. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>kierownik — tu: dyrektor szkoły. [przypis edytorski]



A pan znów mną trząchnął i krzyczy:  
— Odpowiesz ty mi wreszcie czy nie? Pytam się, jak twoje nazwisko!  
A tu naokoło taka się kupa zebrała. I patrzą. A mnie wstyd, że zbiegowisko. Akurat pani przechodziła, zapędziła do klasy. Zostałem sam. Spuściłem głowę jak zbrodniarz.  
— Chodź do kancelarii.  
Powiadam cicho:  
— Pan kierownik pozwoli, że się usprawiedliwię.  
A kierownik:  
— Co tam mi będziesz dużo opowiadał! Jak się pytałem o nazwisko, czemu nie odpowiedziałeś od razu?  
Ja:  
— Bo się wstydzilem, że wszyscy stoją i patrzą.  
— A latać jak nieprzytomny to się nie wstydzisz? Przyjdź jutro z matką.  
Zacząłem płakać. Łzy same lecą. Jak groch. A w nosie od razu mokro.  
Pan kierownik popatrzał, żal mu się widać zrobiło.  
— No, widzisz — powiada — niedobrze za dużo dokazywać, bo się potem płacze.  
Gdybym teraz przeprosił, widzę, że by przebaczył. Ale się wstydzę przeprosić. Już chcę powiedzieć: „Niech mnie pan inaczej ukarze, bo po co mamę martwić”. Cóż, kiedy nie mogę, łzy przeszkadzają.  
— No, idź do klasy, bo się lekcja zaczęła.  
Ukloniłem się. Idę, znów się wszyscy patrzą. I pani się patrzy. A Marylski mnie z tyłu trąca:  
— No, co?  
Ja nic, a on znów:  
— Co ci powiedział?  
Zły jestem. Czego się czepia, co to go obchodzi?  
Pani mówi:  
— Marylski, proszę nie rozmawiać.  
Pani widać też chciała, żeby mi dał spokój. Pani widzi, że mam zmartwienie, więc przez całą godzinę nic się nie pytała.  
A ja siedzę i myślę. Dużo mam do myślenia. Siedzę, nie słucham, nie wiem, o czym mówią. A to akurat arytmetyka. Oni podchodzą do tablicy, piszą, wycierają. Pani wzięła kredę, mówi coś, objaśnia. Ja gorzej niż głuchy. Bo nie słyszę i nie widzę także. I nawet nie udaję, że wiem. Pani mogła od razu poznać, że nie uważam. Musi być dobra, bo inna na złość by wyrwała. Teraz już rozumiem, że u dzieci, jak się coś jedno nie uda, to się zaraz nawali i to, i to, i to. Od razu człowiek traci wiarę w siebie. A powinno być tak, że jeden krzyczy, drugi powinien pochwalić, zachęcić, pocieszyć. I czy trzeba krzyczeć? Bo ja wiem? Może trzeba, może nie.  
A jak ja robiłem, kiedy byłem nauczycielem? Rozmaicie bywało. No, tak: nagle wpadłem na kierownika i on nagle za kark mnie złapał. Co mógł zrobić innego? Rozzłościł się, potem się uspokoił. Czy przebaczył?  
Powiedział:  
— Idź do klasy.  
I nie wiem, czy mam jutro przyjść z mamą, czy nie.  
I tak sobie myślę:  
„Zaledwie kilka godzin jestem dzieckiem i jak wiele przeżyłem. Dwa razy najadłem się strachu: raz, że mi zeszyt zabrał — było nieprzyjemnie; drugi raz — z panem kierownikiem. I jeszcze się nie skończyło, i sam nie wiem, co robić”.  
Najadłem się wstydu, kiedy mnie jak złodzieja jakiego za kołnierz trzymali. Przecież dorosłego nikt nie łapie, nie trzęsie, kiedy nienaumyślnie potrąci. Prawda, że dorośli ostrożnie chodzą, ale się zdarza.  
No i dzieciom wolno przecież biegać. A jeśli wolno, kto powinien być ostrożniejszy: czy ja, mały chłopak, czy doświadczony pedagog?  
Dziwne, że mi to do głowy nigdy nie przychodziło, kiedy byłem duży.  
Zaledwie kilka godzin jestem dzieckiem i już pierwsze łzy. Bo niedługo, ale płakałem. I teraz nawet, choć mam oczy suche, ale w sercu mam tyle żalu.

I jeszcze nie koniec. Przecież się przewróciłem. Opuściłem pończochę, patrzę: skóra na kolanie starta — nie krew, ale boli. Nie boli nawet, ale dolega. Wprzód nie czułem, ale teraz, kiedy siedzę spokojnie i mam zmartwienie...

Dopiero dwie godziny jestem uczniem, już mi pani zwróciła uwagę, żebym się nie kręcił i siedział spokojnie. A co by było, gdyby wiedziała, że dałem przepisać przykłady? Co by było, gdyby teraz pani powiedziała „powtórz”.

Nie uważam. No, nie uważam. A w klasie nie tylko trzeba siedzieć spokojnie, ale trzeba słuchać, wiedzieć, co się dzieje.

Więc i oszust, i nieprzytomny, i nieuważny, a wszystko tylko dlatego, że znów jestem dzieckiem. A jeżeli tak, może lepiej było zostać dorosłym?

I żał mi się zrobiło konia, który nie mógł uradzić wozu, bo był źle podkuty, a wóz był ciężki i nogi mu się na lodzie ślizgały.

Pomyślałem chwilę o koniu i wracam do swego:

„Czy mi lepiej było, kiedy byłem duży? Może kierownik przebaczy? Po korytarzu będę już chodził ostrożnie. Może naprawdę w nocy śnieg spadnie? A tak mi tęskno do śniegu, jakby mi był bratem rodzonym”.

Akurat patrzę przez okno, wichura zasłoniła słońce. Nie pamiętam, czy oni się w końcu założyli, że śnieg będzie padał. I pomyślałem, że w Ameryce ludzie dorosli też lubią się o wszystko zakładać.

Może naprawdę dzieci nie tak bardzo się różnią od dorosłych, tylko inaczej żyją i inne mają prawa?

A za oknem chmura jeszcze większa — czarna. I przyszło mi do głowy:

„Dziecko to tak jak wiosna. Albo słońce, pogoda i już bardzo wesoło i pięknie. Albo nagle burza, błysnie, zagrzmie i piorun uderzy. A dorosły — jakby we mgle. Smutna mgła go otacza. Ani dużych radości, ani dużych smutków. Szaro i poważnie. Bo przecież pamiętam. Nasza radość i smutek pędzi jak wichur, a ich się tylko snuje. Przecież pamiętam”.

Podobało mi się to porównanie. Tak, gdybym nawet mógł znów się zamienić, wolałbym jeszcze spróbować.

I tak mi się cicho, przyjemnie zrobiło. Tak cicho, jak kiedy się wyjdzie w pole wieczorem, a wietrzyk łagodnie głaszcze po twarzy, jakby kto ręką dotykał. Ale na niebie gwiazdy. I wszystko śpi. I tylko zapach pola i lasu.

Prędytka mi ta godzina zleciała. Jeśli będę jeszcze nauczycielem, nigdy nie będę wyrwał ucznia, który ma zmartwienie. Niech myśli, niech się uspokoi, niech sobie odpocznie.

Aż drgnąłem cały, kiedy zadzwonili.

I zaraz zaczęli się czepiać:

— Dlaczego płakałeś? Co kierownik mówił?

Dorośli mówią, żeby się nie bić. Myślą, że się dla przyjemności bijemy. Owszem, są silni awanturnicy, którzy szukają zaczepki ze słabszym. Unikamy ich, ustępujemy. Ale to ich więcej rozzuchwała. Kiedy przebierze się miarka, musimy wreszcie dać nauczkę. Na szczęście nie ma ich wielu. Są oni trucizną, przekleństwem naszym. I śmieszne, że dorośli oskarżają wszystkich właśnie przez nich. Dorośli nie wiedzą, co to jest wtrącałki<sup>5</sup> albo smola<sup>6</sup>, który najłagodniejszego potrafi do wściekłości, do rozpaczyny doprowadzić.

No, mam zmartwienie. Przecież każdy sam się domyśla, co kierownik mógł mi powiedzieć, jak go mało nie obaliłem. Po co się pytać?

— Co? Jak?

I żeby jeden. Nie. Od jednego się odczepiłeś, drugi podchodzi — i od początku. Przecież widzą, że nie chcę mówić. Nie znam się z nim, prawie z nim nie rozmawiam nigdy — i ten też:

— Wpadłeś na kierownika. Kazał ci pewnie przyjść z matką?

Nie pozwolą człowiekowi być smutnym. Tak długo będą leżli, aż ze smutnego zrobi się zły.

Pierwszemu odpowiadam spokojnie. Drugiemu zniecierpliwiony:

<sup>5</sup>wtrącałki (daw. pot.) — ktoś, kto się wtrąca w nieswoje sprawy. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>smola — tu: ktoś natrętny, od kogo trudno się uwolnić, jak od lepkiej smoly. [przypis edytorski]

— Odejdź.

Trzeciemu:

— Odczep się!

Czwartego odpycham.

Teraz podchodzi Wiśniewski. Już rano nazwał mnie tajemniczym i wariatem. A teraz chce, żebym mu opowiadał.

— No co? Czego płakałeś? Bardzo cię zrużał? Trzeba było powiedzieć, że pchnęli.

— Jak chcesz, to sam sobie kłam — mówię.

I zaraz pożałowałem.

— Ooo, jaki prawdomówny! Patrzcie, chłopcy, Prawdziwca znalazłem!

Chcę odejść, a on zatrzymuje.

— Poczekaj, czego się tak spieszysz?

Nie puszcza, idzie obok i poszturčuje.

Wziąłem i odepchnąłem. A on jeszcze więcej.

— Tylko się znowu tak nie pchaj, bo to nie twoja szkoła. Myśli, że jak go pani pochwaliła, że zrobił jeden błąd, to mu się już wolno rozbijać.

W pierwszej chwili nawet nie wiedziałem, co wygaduje. Potem dopiero zrozumiałem.

Już podchodzę do drzwi, a on nie puszcza.

— Małe dzidzi — mówi. — Spłakał się dzidzius. Popłakała się panienczka.

I brudną łapą chce mnie po twarzy.

Już się zamachnąłem. A on silny, ten Wiśniewski. Ale taki już byłem zły, że wszystko jedno: co będzie, to będzie. Jakby się bójka zaczęła, i on by też dostał.

A teraz pytam się, co by powiedział kierownik, gdyby przypadkiem przechodził i zobaczył. Rozumie się, ja winien. Przecież już raz zwojowałem, teraz znów. Już mnie będzie pamiętał. Niech się potem coś stanie, zaraz będzie mnie podejrzewał.

Bom<sup>7</sup> łobuz:

— Już ja ciebie znam. Już ty nie pierwszy raz.

Kiedy byłem nauczycielem, przecież tak samo mówiłem.

Ale na szczęście pani wchodzi do klasy, żeby sprawdzić, czy wyszli.

— Wyjdźcie, chłopcy! Idźcie sobie polatać.

A on, ten bezwstydnny, jeszcze się skarży:

— Proszę pani, chciałem wyjść, a on mnie nie puszcza.

Takie poczułem do niego obrzydzenie, że tylko splunąć.

— No, idźcie już, idźcie!

Przymrużył jedno oko, tak jakoś usta wykrzywił i jak błazen, szeroko rozstawiając nogi, wyszedł, a ja za nim.

Na podwórko już nie wychodzę, tylko czekam, żeby się pauza skończyła.

Podchodzi Mundek. Popatrzał chwilę — i cicho:

— Nie chcesz wyjść się pobawić?

Mówię:

— Nie.

Znów powstał, popatrzył, czy chcę z nim rozmawiać.

Ten co innego; mówię mu: tak i tak.

— Nie wiem, czy mi przebaczył.

Pomyślał chwilę.

— Musisz się przeprosić. W złości tak powiedział. Wejdz do kancelarii — pewnie zapomniał.

I były rysunki.

Pani mówi, żeby każdy rysował, co chce: liść jaki albo zimowy krajobraz, albo co chce.

Biorę ołówek: co by tu narysować?

A nigdy się nie uczyłem. Jak byłem duży, też nie bardzo umiałem. W ogóle za moich czasów niedobre były szkoły. Surowo było i nudno. Nic nie pozwalali. Tak było obco, zimno i duszno, że kiedy się później śniła, zawsze się spocony budziłem i zawsze szczęśliwy, że sen, a nie prawda.

— Nie zaczęłeś jeszcze? — pyta się pani.

---

<sup>7</sup>bom łobuz — dziś: bo jestem łobuzem. [przypis edytorski]

— Myślę, jak zacząć.

A pani od rysunków ma jasne włosy i miły uśmiech. Spojrzała mi w oczy i powiada:

— No, myśl sobie, może co ładnego wymyślisz.

I sam nie wiem dlaczego, ale powiedziałem:

— Narysuję szkołę, jaka była dawniej.

— A ty skąd wiesz, jaka była?

— Ojciec mi opowiadał.

Musiałem skłamać przecież.

— Dobrze — mówi pani — to będzie bardzo ciekawe.

Myślę:

„Uda się czy nie uda? Przecież chłopaki też niewielcy malarze”.

Rysuję niezgrabnie, ale nic — najwyżej będą się śmieli. Niech się śmieją.

Są obrazy, które się składają z trzech: jeden w środku, a dwa po bokach. Każdy inny, ale stanowią całość. Nazywa się tryptyk taki obraz.

Podzieliłem stronicę na trzy części. Na środku narysowałem pauzę. Jak chłopcy się gonią, a jeden coś zbroił, bo nauczyciel rwie go za ucho, a on się wyrывa i płacze. A ten go trzyma za ucho i taką jakby szpicrutą wali po plecach. Chłopak nogę podniósł w górę, zupełnie jakby wisiał w powietrzu. A inni patrzą: głowy pospuszczali, nic nie mówią, bo się boją.

To było we<sup>8</sup> środku.

Na prawo narysowałem klasę: jak nauczyciel daje linią łapy<sup>9</sup>. Tylko jeden lizuch<sup>10</sup> z pierwszej ławki się śmieje, a innym żal.

A na lewo dają już prawdziwe różgi. Chłopiec leży na ławce, woźny trzyma za nogi. A nauczyciel kaligrafii, z brodą, podniósł rękę do góry i różgę. Taki mroczny, jakby więzienny obraz. Takie ciemne tło dałem.

Na górze napisałem: „Tryptyk — dawna szkoła”.

Jak miałem osiem lat, ja do tej szkoły chodziłem. To była moja pierwsza szkoła początkowa<sup>11</sup>, nazywała się — przygotowawcza.

Pamiętam, jeden chłopiec dostał wtedy różgi. Nauczyciel kaligrafii go bił. Tylko nie wiem, czy nauczyciel nazywał się Koch, a uczeń Nowacki, czy uczeń Koch, nauczyciel Nowacki.

Strasznie się wtedy bałem. Tak mi się jakby zdawało, że jak jemu skończą, to mogą mnie złapać. I wstydzilem się okropnie, bo go bili na goło. Wszystko mu poodpinali. I przy całej klasie, zamiast kaligrafii.

Brzydziłem się potem chłopca i nauczyciela. A potem, jak się tylko ktoś gniewał albo krzyknął, zaraz czekałem, że będą bili.

Ten Koch czy Nowacki nie był porządny. Kiedy był porządkowy, zamiast gąbkę zamoczyć pod studnią, wziął i na nią narobił. A potem jeszcze się chwalił, rozpowiedział wszystkim.

Nauczyciel wchodzi, każe tablicę wytrzeć, bo było namazane. Nikt nie chce. Więc się rozzłościł i sam bierze gąbkę. I nie wiem, czy się zaczęli śmiać, czy jak, dość, że powiedzieli. I za to dostał różgi.

Byłem wtedy zupełnie mały i niedługo do tej szkoły chodziłem. A widzę wyraźnie, jakby wczoraj dopiero. I czuję tak samo wszystko. I rysuję, aż mi ołówek lata. Aż się dziwię.

Główki uczniów wychodzą małe, ale staram się, żeby każda była inna, żeby znać było grymas na twarzach. I żeby każdy był inny: jeden oparty, jeden przystanął. Siebie też narysowałem, ale nie w pierwszym rzędzie.

Rysuję, a uszy palą: tak gorąco, jakbym się gonił.

Rysowałem w natchnieniu.

Byłem już raz dorosły, więc wiem, co się nazywa natchnienie. Mickiewicz napisał w natchnieniu *Improwizację*. Prorocy kazali w natchnieniu.

<sup>8</sup>we środku (reg. pot.) — dziś popr.: w środku. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>dawać linią łapy — bić linijką w dłoń, kara stosowana dawniej w szkole. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>lizuch a. lizus (pot.) — ktoś, kto się „podlizuje”, czyli jest przesadnie miły wobec nauczycieli i innych osób, które mają nad nim władzę, od których zależy. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>szkoła początkowa — dziś używana nazwa: szkoła podstawowa. [przypis edytorski]

Natchnienie — to kiedy trudna robota nagle robi się łatwa. I ogromnie przyjemnie wtedy rysować czy pisać albo tylko wycinać czy majstrować. Wszystko się wtedy udaje i nawet nie wie się, jak to się robi. Jakby samo, jakby ktoś za mnie robił, a ja tylko patrzę. A kiedy skończę, dziwię się, jakby była nie moja robota. I jestem zmęczony, ale zadowolony, że mi się dobrze udało.

I ja mam natchnienie, nie wiem wcale, co się wokoło mnie dzieje.

Zdaje mi się, że dzieci często robią w natchnieniu, tylko im przeszkadzają.

Na przykład, opowiadasz coś albo czytasz, albo piszesz. I wychodzi dobrze. Albo od razu zrozumiałeś zadanie. Nawet może być jakiś błąd, ale to nie błąd albo bardzo mały. A tu ci nagle przerwą, każą poprawić, powtórzyć, coś jeszcze dodadzą, objaśnią. I od razu wszystko przepadło. Zły jesteś i już ci się nie chce, i już się nie uda.

Natchnienie — to jakby rozmowa człowieka z Bogiem. I nikt nie ma prawa się wtrącać. Bo wtedy muszę być sam, żeby nie widzieć, nie słyszeć.

Teraz tak właśnie było. Pani stoi za mną, patrzy, jak rysuję, a ja nic, tylko poprawiam. Tylko jedną kreseczkę, jedną kropczkę dodam i coraz lepiej wychodzi.

Pani musiała długo stać, tylko nie wiedziałem.

Dopiero patrzę z daleka i znów coś dodaję, ale coraz ostrożniej. Bo można zepsuć, jeżeli za wiele poprawiać. I jestem zmęczony. I nagle poczułem. Podnoszę głowę, a pani się uśmiecha i rękę mi przyłożyła do policzka.

Nie lubię, kiedy mnie kto głaszcze albo dotyka. Ale teraz pani ręka była chłodna i miękka. I uśmiechnąłem się.

A pani się pyta:

— Skąd wiesz, że to tryptyk?

— Wiem, widziałem na obrazku, na pocztówce, w kościele.

Plącę się i jeszcze się bardziej zaczerwieniłem. I dopiero pani się pyta:

— Czy można?

Podaję zeszyt i mówię:

— Proszę.

A pani patrzy na dawne rysunki i na ten ostatni. A Wiśniewski wyskoczył ze swojej ławki i także nos wsadza i mówi:

— Tryptyk.

Bałem się, że pani zacznie pokazywać i chwalić, że dobrze. Przecież powinna zrozumieć, że w takiej gromadzie zawsze się znajdzie zazdrosny albo błazen i potem będzie dokuczał, wyśmiewał. I pani to rozumiała, bo Wiśniewskiemu kazała iść na miejsce, a mnie tylko powiedziała:

— No, odpocznij sobie teraz.

Zamknęła zeszyt i położyła ostrożnie przede mną na ławce.

Ostrożnie i równo.

Zaraz pomyślałem, że gdybym znów był nauczycielem, tobym nie rzucił zeszytów na ławkę, nie przekreślał grubą linią, aż atrament się rozpryskuje, jeżeli co źle napisane. Kładłbym tak samo ostrożnie i równo jak pani.

Niedługo odpoczywałem, bo się lekcja skończyła. I mam iść do kancelarii. Ale kierownik stoi przy drzwiach, więc się zatrzymałem. I pani stanęła. Ja z boku czekam i nie wiem, co mówić. A znów podchodzi woźny.

Już dwa razy zacząłem „proszę pana”, ale wiem, że kierownik nie słyszy, bo cicho powiedziałem. Jest strasznie nieprzyjemnie, jeżeli się musi powiedzieć, a wstydzi się mówić.

Oni rozmawiają o jakichś tam swoich sprawach, a ja nie wiem, nie słyszę. Ale kierownik zwraca się do mnie:

— Idź do szóstego oddziału i zobacz, czy tam jest globus. Tylko prędko, piorunem!

I dopiero spojrzał na mnie i przypomniał sobie, bo mówi:

— A nie wpadnij po drodze na kogo!

Pobiegłem do szóstego oddziału, a chłopcy:

— Wyjeżdżaj, po co tu wlałeś?

— Czy tu jest globus?

— Czego ci się zachciało?

I wypycha mnie. A ja się spieszę, a on pcha. Odszarpnąłem się i mówię:

— Pan kierownik się pyta.



A drugi nie słyszał i wrzeszczy:

— Jeszcze tu jesteś! Wynos się, szczeniaku, pókiś cały!

Już sam nie wiem, co robić. Krzyczę znów:

— Pan kierownik!...

— Co pan kierownik?

— Pyta się, czy tu jest globus?

— Nie ma tu nic, słyszysz?

Uderzył ręką po głowie i drzwi zamknął przed nosem.

Wracam, ale naprawdę, to nie wiem.

Mówię:

— Oni powiadają, że nie ma.

Na szczęście akurat jeden uczeń niesie już globus. Gniewa się, że znów połamią. Ani sposób rozmówić się z kierownikiem, a nie chcę odkładać. Więc w takiej rozpaczynie pociągnąłem panią za rękaw. Nie pociągnąłem, ale lekko ruszyłem i mówię cicho:

— Proszę pani.

A pani od razu usłyszała. Odeszła ze mną parę kroków, nachyliła się.

— Czego chcesz?

Ja już zupełnie cicho:

— Niech pani poprosi kierownika, żeby nie wołał mamy.

Tak cicho powiedziałem jak do ucha. Bo niewygodnie być małym. Ciągłe trzeba głowę zadzierać do góry... Wszystko dzieje się gdzieś wysoko, nad tobą.

Czuje się człowiek jakby mniej ważny, poniżony, słaby i jakiś zagubiony. Może dlatego lubimy stać przy dorosłych, kiedy oni siedzą: wtedy możemy widzieć ich oczy.

— Za co kierownik wezwał twoją mamę?

Nie wiem dlaczego, ale się wstydzę powiedzieć. Przykro głupstwo takie opowiadać.

Spuściłem głowę, a pani jeszcze więcej się nachyliła.

— Przecież, jak nie wiem, nie mogę poprosić. Muszę wiedzieć. Bardzo zwojowałeś?

Mówię:

— Nie.

Bo sam nie wiem, czy to ważne.

— No, powiedz.

Może dlatego niechętnie opowiadamy dorosłym, że zawsze się spieszą, jak z nimi mówimy. Zawsze się zdaje, że ich nie obchodzi, że tak coś tylko powiedzą, byle zbyć, byle się prędzej odczepić. No pewnie: oni mają swoje ważne sprawy, a my swoje. I my też staramy się, żeby krótko powiedzieć, żeby im głowy nie zawracać. Że niby nasza sprawa nieważna i niech tylko powiedzą: tak czy nie.

— Bo jak leciałem przez korytarz, wpadłem na kierownika.

— Uderzyłeś?

— Nie, tylko się ręką oparłem o brzuch.

— O brzuch — poprawiła pani.

I uśmiechnęła się.

I w sekundę było już załatwione. Pomyślałem „dziękuję” i idę do klasy. Nawet się nie ukloniłem. To pewnie było niegrzecznie. Mniejsza z tym. Aby już siedzieć na ławce, że się to wszystko skończyło.

A na ostatniej godzinie czytał pan o Eskimosach. Że pół roku trwa u nich zima, a domy budują ze śniegu. Te budki nazywają się: „igloo”. Można w nich palić ogień, ale musi być zimno, bo się roztopi.

Kiedy byłem dorosły, też wiedziałem o Eskimosach, może nawet więcej. Ale mnie nie obchodzili. Nie myślałem nawet, czy są naprawdę. Teraz zupełnie inaczej. Żal mi ich.

Niby mam oczy otwarte, patrzę na pana, a widzę pola lodowe — nic, tylko lód i śnieg. Ani jednego krzaczka, ani jednej krzewiny. Ani sosny, ani trawy. Nic, tylko lód i śnieg. Potem przychodzi noc. Wiatr, ciemność, tylko czasem zorza. Czuję w sobie mróz i tęsknotę. Biedni Eskimosi! Zimne mają życie. Bo u nas najbiedniejszy wygrzeje się chociaż w słońcu.

Tak było cicho, kiedy pan czytał. Ktoś z tyłu raz jeden coś szepnął, cichutko, pan nawet nie spojrzął na niego, że rozmawia. Ale myśmy się zaraz odwrócili. Jeżeli był głupiec,

którego i to nie zajęło, nie odważyłby się przeszkodzić. Niechby spróbował, miałby się z pyszna!

Wszyscy wpatrzeni w pana, znieruchomieli, a oczami rzadko mrugają. Na pewno widzą jak ja — pola wiecznego lodu.

Szkoda, że przed rysunkami nie było geografii, byłbym lepiej narysował. Byłbym prawdziwiej narysował oczy chłopców. Chociaż wtedy inaczej patrzyli, kiedy dawano różgi. Teraz w oczach mają rozmarzenie, a wtedy zgrozę.

Wyjmuję zeszyt rysunkowy, oglądam swój tryptyk i już przestaję uważać. Zmęczyło mnie współczucie dla biednych Eskimosów.

Dobrze, że znów jestem mały. I dobrze, że nie jestem Eskimosem albo Chińczykiem. Ile to dzieci męczy się na świecie. Cyganięta, Chińczycy, Murzyni. Dziwnie jest świat zbudowany. Bo dlaczego urodził się Murzynem, i zawsze: mały, potem dorosły i starzec. Bierze i umiera. Musi umrzeć.

A tu nagle hałas taki w klasie. Co to? Wszyscy mówią. Dopiero domyśliłem się, o czym pan czytał, kiedy nie słuchałem, kiedy przestałem uważać. Musiał pan czytać, jak polują na fokę, na morsy.

Każdy zadaje pytanie. Jeden to chce wiedzieć, drugi tamto. Aż wybiegają z ławek. A pan mówi, żeby usiedli, że jest krzyk i nic pan nie powie, dopóki się nie uspokoją. A nie mogą się uspokoić, bo każdy chce wiedzieć, wszystko chcą wiedzieć dokładnie.

— Czy Eskimosi nie jedzą chleba? Dlaczego nie pojadą, gdzie cieplej? Czy nie można im wybudować domów z cegły? Czy mors silniejszy od lwa? Czy Eskimos może zmarznąć na śmierć, jak zabłądzi? Czy wilki są? Czy umieją czytać? Czy nie ma między nimi ludożerców? Czy lubią białych? Czy mają króla? Skąd mają gwoździe na sanki?

Jeden opowiada, jak dziadek jego zabłądził w zimie, w polu. Drugi o wilkach. Każdy krzyczy, żeby inni byli cicho, bo sam chce coś ważnego powiedzieć albo się zapytać.

Jeśli człowieka mało coś obchodzi, może zaczekać. A ich Eskimosi bardzo obchodzą. Sami przed chwilą jakby mieszkali het, pod biegunem, więc teraz chcą wiedzieć, jak żyją ci bliscy ich, znajomi, krewni, którzy zostali i jest im tam źle — i pragną im pomóc.

Kiedy dawniej posyłali na Syberię więźniów politycznych, jak kto stamtąd powrócił, też różne matki, siostry i narzeczone pytały się, jakie tam życie, co robią, czy i kiedy przyjadą. Bo z listu niewiele się można dowiedzieć.

Tak samo z książki. Nauczyciel powinien jeszcze raz sam opowiedzieć wszystko, co wie, o fokach, śniegu, reniferach, o zorzy północnej. A nawet powtórzyć. Bo ze wzruszenia nie wszystko słyszeli.

Dla nauczyciela — to czwarta lekcja, czwarta godzina pracy w szkole, a dla klasy — wieści z dalekiego lądu od drogich im osób. Zmęczony jest nauczyciel i my także, tylko inaczej. I oto rodzi się zniecierpliwienie. On ma dosyć, my pragniemy jeszcze.

Już pan prawie się gniewa. Grozi, że za karę nigdy nic nie przeczyta.

Nigdy!

Uciszyło się na chwilę, chociaż nie wierzą. Gdyby powiedział: tydzień, ale — nigdy. A jakiś głupi zaczyna błaznować.

— Eee, pan nie będzie taki zły — mówi. — Oni głupie, że hałasują, ale to dobre chłopaki!

Niby się wstawia, od razu widać, że chce pana zniecierpliwic, żeby była awantura, żeby pan zaczął krzyczeć. Wszędzie się jeden taki znajdzie. Albo go nic nie obchodzi, więc nawet nie lubi, jak lekcja ciekawa, bo musi być cicho, bo wszyscy słuchają. Albo na złość będzie przeszkadzał, bo mu się akurat w tej chwili to nie podoba.

Już nauczyciel patrzy, kogo wyrzucić za drzwi, już spojrzął na zegar, bo chce, żeby się skończyło. I robi się nieprzyjemnie. A nauczycielowi samemu szkoda nawet, bo wie, że słuchali. Więc się powstrzymał, niby się uśmiechnął i mówi:

— No, ty tam, co tak rezonujesz, powtórz, o czym czytałem.

I zaczyna się zwyczajna lekcja, kiedy nauczyciel się pyta, a klasa stęka, bąka, źle odpowiada. I pan myśli, że nie umiemy, żeśmy głupie dzieciaki.

Jakem był duży, im bardziej mnie coś obchodziło, tym lepiej mogłem mówić. A u dzieci jest może inaczej. Jeżeli coś bardzo obchodzi, właśnie dlatego trudno opowiedzieć, choćby nawet wiedziały. Jakby się wstydziły, że powiedzą nie tak, jak trzeba. Bo przykro,

Tęsknota

że w szkole trzeba mówić naukowo, na stopień, pochwałę albo naganę, a nie — jak się czuje naprawdę.

Nudno skończyła się lekcja, dopiero na pauzie mówiliśmy o Eskimosach naprawdę. Jeden to lepiej pamięta, drugi inne. I kłóć się:

— Pan tak czytał.

— Nieprawda.

— To możeś<sup>12</sup> wrony łapał, kiedy czytali.

— Sam wrony łapałeś!

Wzywają świadków.

— Nieprawda, że pan czytał, że okna robią z lodu?

— Nieprawda, że foka to ryba?

— No, dobrze, zapytamy się pana.

Pewnie ze wszystkimi jest tak jak ze mną. Zamyślił się w jakimś miejscu, potem już nie mógł dogonić. Więc każdy co innego pamięta. I dopiero cała klasa wie naprawdę wszystko. A potem bawią się w Eskimosów; gdzieś na schodach czy na podwórku opowiedzą takim, którzy nie byli, z głowy dołożą, żeby było ciekawiej.

A do domu wracałem z Mundkiem.

Ulica mi się teraz wydaje bardzo ciekawa. Wszystko ciekawe. I tramwaje, i pies, i przechodzący żołnierz, i sklepy, i szyldy nad sklepami. Wszystko znów nowe, nieznanne, jakby świeżo pomalowane. Nieznane nie jest, bo znam tramwaj, ale chcę wiedzieć, czy ma numer parzysty, czy nie.

— Zgadujmy, czy pierwszy tramwaj będzie parzysty, czy nie, czy mniejszy niż sto, czy większy.

Już gotowa zabawa.

Żołnierz, więc trzeba spojrzeć, czy ma naszywkę, czy nie, z piechoty czy artylerii.

Mechanik coś majstruje w skrzynce telefonu, robotnicy czyszczą kanał miejski. Zatrzyma się zaraz człowiek, bo może będzie ciekawe.

O wszystkim nowe myśli przychodzą do głowy.

I psów się dużo widziało. Ale ten nos liznął językiem — i znów:

— Psy nie potrzebują chustek do nosa, bo językiem nos przelizują; a ludzie tylko pociągają nosem. I bierze ochota spróbować<sup>13</sup>.

Sięgam do nosa językiem, a Mundek radzi:

— Nachył nos palcem.

Ja mówię:

— Palcem to nie sztuka.

A on:

— No, spróbuj.

Przechodzi obok kobieta i mówi:

— Głupie dzieciaki, jęzory powywalali.

Myśmy się zawstydzili, bośmy zapomnieli zupełnie, że ludzie chodzą i patrzą.

Gdyby ta pani wiedziała, o czym rozmawiamy, toby się nie dziwiła, bo to była próba, jak bardzo ludziom chustki do nosa potrzebne, czy psy mają wiele dłuższe języki i jak sobie radzi człowiek bez nosa. Chcieliśmy sprawdzić, a jak kto nie słyszał rozmowy, zdaje mu się, że głupie.

Kiedy jeszcze byłem dorosły, spieszyłem się raz na pociąg. A tu wiatr z kurzem prosto w oczy. Nie wiem, czy walizkę trzymać, czy kapelusz, czy oczy zasłonić. Zły jestem i spieszę się, żeby nie spóźnić, bo bilet trzeba kupić, a może tłok przy kasie.

A tu chłopaki tyłem lecą — trzech było. Śmieją się, że wiatr ich pcha. Też coś tam między sobą mówili. A jeden mi prosto pod nogi. Chciałem się usunąć, a on o walizkę zawadził. Rugnąłem<sup>14</sup> go, że wariuje, że ludziom przeszkadza. No tak, ale i ja mu przeszkodziłem. Kto go tam wie, w co się bawili, co sobie myśleli. Może był akurat balonem, okrętem, żaglowcem, a ja ze swoją walizą byłem mu rafą podwodną. Dla mnie wicher — przykreść, dla niego — uciecha. Przeszkadzają sobie dorośli i dzieci: ci tym, a ci tym.

<sup>12</sup>możeś wrony łapał — dziś: może łapałeś wrony. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>spróbować — dziś popr.: spróbować. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>rugnąć — skrzyknąć, zwymyślać. [przypis edytorski]

Kiedy pierwszy raz byłem mały, lubiłem z zamkniętymi oczami chodzić po ulicy. Mówię: „Dziesięć kroków przejdę z zamkniętymi oczami”. Jak ulica pusta, zamknę oczy na dwadzieścia kroków i żeby nie wiem co, nie otworzę. Idę z początku zamasyście, a już potem wolniej, ostrożniej. Nie zawsze się udawało. Raz wpadłem do rynsztoka. Wtedy jeszcze w rynsztokach woda płynęła, teraz jest już kanalizacja, kanały, rury są w ziemi. Więc wpadłem w rynsztok, nogę wywichnąłem — z tydzień mnie bolała. W domu nic nie mówiłem, bo co mówić, kiedy nie rozumieją? Powiedzą, że po ulicy trzeba chodzić z otwartymi oczami. Przecież to każdy wie, ale raz dla odmiany można spróbować<sup>15</sup>.

Drugi raz łbem wyrznąłem o latarnię — guza nabiłem, a dobrze, że czapka trochę ochroniła. Bo niech się tylko da jeden krok krzywo, cały kierunek się zmienia i albo w latarnię, albo w przechodnia. Gdy się wpadnie na kogo, jeden tylko odsunie i nic albo coś wesołego powie. A czasem jak zwierzę się obruszy:

— Ślepy jesteś, nie widzisz?

I spojrzy złowrogo, jakby chciał pożreć.

Raz byłem już dużym chłopakiem — z piętnaście lat miałem. Idę, a dwie dziewczynki goniły się — bokiem jakoś leciały — i prosto na mnie. Za późno było wyminąć, więc nachyliłem się, rozstawiłem ręce — i bokiem obie naraz mi wpadły. Spojrzały wystraszone. Jedna miała oczy niebieskie, a druga czarne — roześmiane oczy. Chwilkę je zatrzymałem, żeby złapać równowagę i wyminąć. Jedna krzyknęła „Oj!”, a druga powiedziała „Przepraszam”. Ja powiedziałem „Proszę bardzo”. I obie mi wyfrunęły. Uciekły i odwróciły, i śmieją się, a jedna na jakąś panią wleciała. A ta pchnęła ją, że aż się zatoczyła. Tak ordynarnie.

Dzieciństwo, Zabawa,  
Gniew

Przecież dzieci potrzebne są na świecie i właśnie takie, jak są.

Mówię:

— Mundek, chcesz się ścigać z tramwajem?

Staliśmy akurat koło przystanku.

On mówi:

— Dobrze. Kto prędzej: tramwaj czy my. Do rogu.

— Do rogu.

Z początku łatwo, bo tramwaj nie miał rozpędu. Ale potem pędzimy już środkiem ulicy, koło chodnika — gdzie konie; dorożka nam przeszkodziła. Przeegraliśmy.

On mówi:

— Ale ja pierwszy!

Ja:

— To nie sztuka, ty miałeś palto rozpięte.

On:

— A kto ci bronil? I ty mogłeś palto do tyłu podwinąć.

Ba, zapomniałem. Tyle lat się z tramwajem nie ścigałem, że wyszedłem z wprawy.

— No, dobrze — mówię — jeszcze raz; i ja się rozepnę.

Ale już nie chce. Mówi, że drą się buty. A ja bym tylko pędził. Cieszę się, że się nie męczę. Bo byłem zasapany i serce mi stukało, ale przystanąłem na chwilę, już wypoczęty. Bo dziecinne zmęczenie nie męczy.

Mówimy, jak się nauczyć wskakiwać do tramwaju. Wcale nie niebezpiecznie, tylko trzeba umieć. Trzeba biec za tramwajem, choćby z daleka. Kiedy się umie, trzeba biec przy tramwaju i ręką dotykać. A potem już sięgać. A dopiero później — ale nie w pełnym biegu, tylko kiedy rusza, wskoczyć i wyskoczyć. W miesiąc można się nauczyć. I lepiej do przyczepnego<sup>16</sup>, bo jak się nawet przewrócisz, nie wpadniesz pod koła. I trzeba się rozejrzeć, czy z tyłu nie jedzie samochód.

I dorośli też nogi łamią.

Zaczęliśmy mówić o wypadkach.

Powiadam:

— Za moich czasów nie było samochodów.

Spojrzał zdziwiony:

— Jak to nie było?

<sup>15</sup>spróbować — dziś popr.: spróbować. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>przyczepny — tu: drugi wagon tramwaju. [przypis edytorski]

— No, nie było — mówię ze złością, że mi się wymknęło.  
 I zatrzymaliśmy się przy słupie z ogłoszeniami.  
 W kinie dają *Katusze miłości*.  
 — Chciałbyś widzieć?  
 Mundek się skrzywił:  
 — Tak sobie. Miłosne obrazy są nudne. Albo się całują, albo chodzą po pokojach.  
 Tylko czasem ktoś strzela. Wołę detektywów.  
 — A chciałbyś być detektywem?  
 — Ja myślę. Gonić po dachach, przez płoty — z brauningiem<sup>17</sup>.  
 Przeczytaliśmy ogłoszenie cyrku.  
 — Najlepiej lubię cyrk.  
 Stoimy, gwarzymy, idziemy dalej.  
 — A jutro pięć lekcji<sup>18</sup>.  
 — Przyroda.  
 — Żeby nam pani coś więcej o fokach opowiedziała, o białych niedźwiedziach.  
 — Chciałbyś być niedźwiedziem?  
 — Jeszcze jak!  
 — Ale niedźwiedzie niezgrabne.  
 — Wcale nie są niezgrabne, tylko się tak zdaje. Ale wolałbym być orłem. Wzbiłbym się na najwyższy szczyt skały, wyżej niż chmury. Stanąłbym samotny i dumny.  
 Przyjemniej mieć skrzydła niż fruwać aeroplanem. Zawsze benzyna i może się zepsuć, potrzebne hangary i nie wszędzie można lądować. Czyścić trzeba, brać rozpęd. A skrzydła, jak nie fruwasz, zwinąłeś, i dobrze.  
 Gdyby ludzie mieli skrzydła, ubranie musiałyby być inne. W bluzie byłyby z tyłu otwory i trzymałoby się skrzydła na wierzchu albo pod marynarką.  
 Idą sobie dwaj chłopcy — niby nic — rozmawiają. Ci sami, co przed chwilą języki wyciągali, żeby nos polizać, ci sami, co dopiero z tramwajem się ścigali. A teraz mówią o skrzydłach dla ludzkości.  
 Dorośli myślą, że dzieci tylko dokazywać i pleść trzy po trzy potrafią, a one przepowiadają odległą przyszłość, spierają się o nią i debatują. Dorośli powiedzą, że nigdy ludzie nie będą mieli skrzydeł, a ja byłem dorosły i powiadam, że mogą mieć skrzydła.  
 Więc mówimy, że przyjemnie byłoby fruwać do szkoły i ze szkoły. Wyfrunę, a jak się zmęcze, przejdę kawałek drogi. Raz skrzydła odpoczywają, raz nogi.  
 Można by się i z okna wychylić, i na dachu przysiąść — do lasu na wycieczkę pofrunąć. Nad miastem lecimy parami, a za miastem każdy w swoją stronę. W lesie możesz iść, dokąd chcesz, a zgubiłeś drogę, więc frunąłeś w górę i patrzysz, gdzie miejsce zlotu — i nie możesz zbłądzić.  
 — Co, Mundek, dobrze by było?  
 — Pewnie, że dobrze.  
 I ludzie by wyćwiczyli wzrok. I mówimy, że ptaki przelotne trafiają do swoich wsi i do swoich gniazd. Ani atlasów, ani kompasów nie mają, a przez morza i góry, i rzeki trafiają.  
 Mądre ptaki, mądrzejsze od człowieka. A człowiek nad wszystkim panuje, wszystko go słucha.  
 — Może tak jest dlatego, że najlepiej zabija, a nie, że najlepszy.  
 Zamyślił się, a tu nagle chłopak jakiś przechodzi — duży taki łobuz — i czapkę mi z głowy zrzucił. Kijek trzymał i tak za daszek czapkę zgarnął z głowy.  
 Doskakuję od razu do niego:  
 — Czego zaczynasz?  
 — A ja ci co zrobiłem? — udaje zdziwionego.  
 — Czapkę zrzuciłeś.  
 — Jaką czapkę?  
 Śmieje się bezczelnie i w żywe oczy udaje.

Idealista

<sup>17</sup>*brauning* a. *browning* (daw.) — pistolet, nazwa pochodzi od nazwiska amerykańskiego konstruktora i twórcy broni palnej, Johna Moseesa Browninga (1855–1926). [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*lekcji* — dziś częstsza forma D. lm: lekcji. [przypis edytorski]



— A nie zrzuciłeś może?

— Pewnie, że nie. Patrz, on trzyma twoją czapkę.

A Mundek czapkę podniósł i patrzy, co z tego będzie.

— On trzyma, a ty zrzuciłeś.

— Odlewaj się, smarkaczu! Czapkę mu będę znów zrzucał! Nie mam co do roboty.

— Pewnie, że nie masz, łobuz taki. Spokojnie przejść nie daje.

— Tylko nie łobuz, uważasz, bo możesz dostać!

I szturchnął mnie tym patykiem pod brodę. A ja łap za patyk, ten kijek, i złamałem.

On do mnie. Ja stoję.

— Oddaj mi laskę albo zapłać.

Ale się nachylił. On wyższy, więc podskoczyłem trochę i pięścią go w czoło. Ale mu czapka nie spadła. Ja w nogi, a Mundek za mną.

Aleśmy<sup>19</sup> szorowali<sup>20</sup>.

„A masz — myślę — na drugi raz nie czepiaj się, bo i od małego możesz dostać, andrusie<sup>21</sup>”.

Z początku zaczął gonić, ale widzi, że nie ma racji, że nie na frajera trafił, więc daje pokój.

Staliśmy — śmiejemy się.

Przed chwilą taki byłem wzburzony, że mi krew oczy zalała. Wszystko na czerwono widziałem. Teraz znów wesoło. Czapkę okurzam rękawem.

A Mundek mówi:

— Po coś z nim zaczynał?

— Ja z nim zacząłem czy on?

— No, tak, ale on większy.

— Większy, więc ma ludzi po świecie roztrącać?

— A jak jutro cię pozna i nawali<sup>22</sup>?

— Nie pozna, co ma poznać.

Ale Mundek ma słuszość. Teraz będę się musiał pilnować.

Ale czy to słychane, żeby w biały dzień na ludnej ulicy czapki z głowy zrzucać? Gdyby tak dorosłem, byłaby cała heca, zbiegowisko, milicjant<sup>23</sup>. A że dzieciakowi, to nic. Wśród dzieci też są awanturnicy, a nie mamy przed nimi żadnej pomocy ani osłony — sami radzić musimy.

Stoimy na rogu, a szkoda nam się rozchodzić. Mówiliśmy przecież o czymś ważnym, a ten nam przeszkodził. Przyjemna była droga: zabawa, rozmowa, przygoda.

Idę teraz sam już powoli i staram się chodzić, żeby stanąć akurat na środek kamienia. Jak się gra w klasy: żeby nie wejść na linię. Byłoby łatwo, ale przechodniów trzeba wymijać; a od razu zrobić krok w krok i nie stanąć na linii nie zawsze się uda.

Więc wolno mi tylko dziesięć razy. Jeżeli będzie więcej, to przegram. Liczę: raz mi się nie udało — dwa, trzy, cztery razy. Jeszcze mi wolno — sześć, pięć. Boję się, ale taki strach w zabawie przyjemny.

Tylko osiem razy stanąłem i wchodzę do bramy. Jeszcze tylko przed sklepem postraszylem kota. Kot do bramy, ja za nim. Uskoczył w bok i patrzy: śmiesznie podniósł łapkę do góry.

— Wydawałeś<sup>24</sup> z czego? — pyta się mama.

— Nie.

Pocałowałem w rękę — serdecznie. Aż mama na mnie spojrzała i pogłaskała po głowie.

Sierota

<sup>19</sup>Aleśmy szorowali — ale szorowaliśmy, tj. biegliśmy niezwykle szybko. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>szorować (daw. pot.) — biec, iść. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>andrus (daw.) — łobuziak. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>nawalić (tu pot.) — pobić. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>milicjant — formacja, która pilnowała porządku w przedwojennej Polsce, nosiła nazwę policji, ale jej funkcjonariuszy autor nazywa często milicjantami. *Milicja* i *policja* to wyrazy bliskoznaczne, oba oznaczają zorganizowaną grupę ludzi przygotowanych do walki, których obowiązkiem jest pilnować porządku i zapewnić spokój w społeczności, np. w mieście czy w państwie. Nazwa *policja* pochodzi od łac. *politia* i gr. *politeia*, a te słowa oznaczały pierwotnie sztukę zarządzania miastem, utrzymywania porządku w mieście, zaś *milicja* wywodzi się od łac. *militia*, co znaczyło: służba wojskowa. W Polsce przed II wojną światową używano obu tych słów, w latach 1944–1990 stróżów prawa nazywano oficjalnie Milicją Obywatelską, a potem przywrócono nazwę Policja. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>wydawać, właśc. *wydawać lekcję* — odpowiadać na ocenę z zadanego tematu. [przypis edytorski]

Cieszę się, że kierownik przebaczył i że znów mam matkę.

Dzieciom się zdaje, że dorosłemu matka niepotrzebna, że tylko dziecko może być sierotą. Już tak jest, że im starsi, tym rzadziej mają rodziców. Ale i dorosły ileż ma chwil takich, kiedy zatęskni za matką, za ojcem, gdy mu się zdaje, że tylko rodzice mogliby wysłuchać, zrozumieć, poradzić i pomóc, a jeśli trzeba — przebaczyć i pożałować. Więc i dorosły czuje się sierotą.

Ano, zjadłem obiad, co teraz będę robił?

Więc schodzę na podwórko. Felek, Michał, Wacek.

— *Bawiem*<sup>25</sup> się w polowanie?

Michał wystrugał rewolwer, pomalował atramentem na czarno, ponabijał gwoździakami. Skądciś<sup>26</sup> takich gwoździ nabral ze złotymi łebkami — przecież nie złote były — mosiężne, błyszczące. Michał nazwał go „Zwycięski rewolwer”. Niby że dostał na polu bitwy w nagrodę za waleczność. Sam generał mu dał za czyn bohaterski. Niby że po bitwie cały pułk ustawili w szereg. Orkiestra gra, sztandary — huknęły na wivat — defilada, a potem generał mówi:

— Ten rewolwer zdobył mój pradziad na Turkach i przechodził po mieczu z syna na wnuka. Dwieście lat był w naszym rodzie. A teraz, jako mi życie uratowałeś, niech ci służy.

Tak powiada Michał.

Raz mówił, że pod Wiedniem, drugi raz — Cecora, to znów Grunwald. Ale to nieważne. Teraz, kiedy znów jestem dzieckiem, zdaje mi się, że historia nieważna, co człowiek wie, ale jak ją czuje w sobie. Kiedy byłem nauczycielem, inaczej myślałem.

No, więc Michał będzie myśliwy, Felek — zając, a my z Wackiem — psy.

Nie od razu postanowiliśmy. Z początku miał być pościg za bandytą, ja chciałem, że wyprawa Eskimosów.

Rzadko bywa, żeby wszyscy jednakowo. Czasem ktoś nie bardzo chce się bawić, więc trzeba mu ustąpić dla zachęty. W Eskimosów nie chcę, bo nie ma śniegu, a w bandytów Michał nie pozwala.

— Jakeśmy<sup>27</sup> się wtedy bawili, toście<sup>28</sup> mi rękaw oberwali.

Nie oberwali, tylko był słabo przyszyty, więc się nitka przetała. Bo Michał był niebezpiecznym bandytą, nieśliśmy go do piwnicy na stracenie. Wyrwał się i mógł uciec, więc nie mogliśmy zwracać uwagi na rękaw.

Zabawa w zająca jest spokojniejsza, to prawda, i jeśli się uda, też może być bardzo ciekawa.

Najważniejsze w zabawie, z kim się bawić. Są dzikusy, że z góry wiadomo, że się skończy jakim wypadkiem. Taki na nic nie zważa, byle na swoim postawić, że wygrał. Z takim nie bardzo przyjemnie, bo się trzeba pilnować. Bierze się do zabawy, bo inaczej przeszkadza, ale mu się stawia warunki. Nieprzyjemna też jest zabawa z kłótliwym. Byle co, zacznie się kłócić albo się obrazi. Chłopcy mniej się obrażają, ale dziewczynki często... W najciekawszym miejscu o byle co się przyczepi:

— No to nie gram.

Mogą wszyscy mówić, że nie ma słuszności, a on swoje. Jeżeli można, to mu się ustąpi, żeby nie psuć wszystkiego, ale to strasznie gniewa.

Dorośli nie rozumieją. Powiedzą:

— Idźcie się bawić. Dlaczego się z nim nie bawicie? Dostyc się już bawiliście.

I źli są, że nie słuchamy.

No bo jakże się bawić z niezdara, co się zaraz przewróci, popłacze i pójdzie na skargę? Albo z głupim, co nic nie rozumie i w najważniejszym miejscu zepsuje?

Jakże przerwać nagle zabawę i nie wiadomo, jak by się skończyła.

Zabawa musi być dobrze zmontowana, a się nie zawsze uda, więc jeżeli się uda, chciałoby się skorzystać.

Ano, bawimy się w polowanie.

<sup>25</sup>*bawiem się* (gw.) — bawimy się. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*skądciś* (gw.) — skądś. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*jakeśmy się bawili* — dziś raczej: jak się bawiliśmy. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*toście mi rękaw oberwali* — dziś: to mi rękaw oberwaliście. [przypis edytorski]

Zając pokręcił się po podwórzu, ale psy z obu stron zachodzą. Więc daje susa do sieni... Ja za nim. Stoję i węższę, czy poleciał na górę po schodach, czy do piwnicy... Zdaje mi się, że w piwnicy chrobocze. Skradam się, a tu ciemno.

Zając prawie zawsze pędzi do piwnicy, bo w ciemności łatwiej przycupnąć i wywinąć się. I jeżeli chciał spokojnej zabawy, też do piwnicy lepiej... Bo zawsze troszkę strach, przy tym trzeba uważać, żeby na kogo nie naskoczyć.

W zeszłym roku Olek z rozmachu zrzucił ze schodów matkę Józka z koszykiem węgla. Byłem wtedy dorosły i pamiętam nawet, jak się oburzałem, że chłopcy za wiele sobie pozwalają, a stróż za mało miotłą goni z podwórza. Rozpuszczone toto i lokatorzy spokoju nie mają. Szczęście, że kobieta nic sobie nie zrobiła, tylko skórę na nodze zdrapała; ale mogło być gorzej.

Myśmy mieli wielkie współczucie dla każdego dorosłego guza albo siniaka, a jak się dziecku co stanie, mówimy: „Dobrze ci tak, na drugi raz nie wojuj”.

Jakby dziecko mniej czuło, miało inną skórę niż oni.

I dobrze, jeśli tylko wyśmieją, chociaż i to też gniewa. Bo masz ból i przestraszyłeś się, a oni żartują. Bywa gorzej: wykrzyczą. Wiedzą, że nieumyślnie, bo kto by sam chciał się kaleczyć, a wygląda, jakby „właśnie im na złość rozbiję się czy skaleczę”.

Teraz już rozumiem, że jeśli jestem psem myśliwskim, a w piwnicy ukrył się zając, a jeszcze mignie w ciemności — nie mogę schodzić noga za nogą, muszę szust-szust, po trzy stopnie, choćbym miał się pośliznąć i zwalić na łeb, albo mi drzazga z poręczy wlezie pod skórę. Rzykuję wtedy, a właściwie nie zastanawiam się wcale, bo go chcę złapać. A bo raz pies z tego pędu wyrznie w lesie o drzewo i głowę roztrzaska? A pies ma cztery łapy, a ja dwie.

Jestem psem i szczekam, i skomłę, że ślad straciłem. Gdy byłem dorosły, miałem gruby głos i nie mogłem już ani szczekać, ani pisać jak kogut, ani gdakać jak kura. Teraz znów odzyskałem świeży głos dziecięcy i poszczekuję jak dawniej.

Stoję tak, stoję — przywarowałem, i do piwnicy. A Wacek za mną. A tu nam zając nad głowami wali z przygórka<sup>29</sup> na podwórze.

Szczeknąłem z tego zawodu, co mnie spotkał, i za nim!

Wymówiliśmy<sup>30</sup>, że na ulicę nie wolno, ale na podwórku ciasno, więc parę razy okrążył, a tu już i psy, i myśliwy z boku zachodzi. No i zając w bramę.

— Nie wolno!

Ale gadaj z zającem, kiedy broni życia, dokąd i co mu wolno! Przecie życia broni. I jeśli chcemy się bawić, my to rozumiemy.

Zawsze się przed zabawą wymawia, co wolno, ale trudno się trzymać przepisów w niebezpieczeństwie.

Jeżeli jesteśmy zmęczeni albo nie bardzo się chce bawić, albo zrobi już coś takiego, czego zupełnie nie wolno — wtedy przerywa się zabawę i zaczyna się kłótnia. Nie kłótnia, ale tylko tak, żeby trochę wypocząć albo coś zmienić w zabawie, jakieś ulepszenie wprowadzić. Jednego się wyrzuci z zabawy, drugiego przyjmie; albo pies zostaje zającem, albo nie tak, nie tu. Albo ktoś inną teraz wymyśli.

I dlatego właśnie przyjemnie się bawić samemu, bez dorosłych. Dorosły z góry mówi, jak ma być, sam wybiera, kto czym ma być, i popędza, jakby mu czasu było szkoda. A przecież nie zna chłopców dokładnie.

Dobrze dla odpoczynku trochę się poswarzyć<sup>31</sup>.

Zejdą się w kupkę i radzą. Czasem spokojnie, a czasem w złości.

Jeżeli się stanie, że się uderzył albo mu co pęknie (z ubrania), całą winę składa się na tego, kto inaczej robił, niż była umowa.

— Przez ciebie.

On się broni, że nie, ale czuje winę. I my wiemy, że przykro przyznać się do winy, chyba że zanadto sobie pozwala albo że kto już się zanadto czepia.

— No dosyć.

— Więc się bawimy czy nie?

— No dobrze, już dobrze. Więc zaczynamy.

<sup>29</sup>przygórek — strych. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>wymówić — tu: umówić się, zastrzec. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>poswarzyć się — pokłócić się, pospierać się. [przypis edytorski]

— Przestańcie się kłócić.

— Kto nie chce, może sobie odejść.

Więc zając do bramy i na ulicę, a my za nim. On na drugą stronę i my na drugą. Nam łatwiej, bo jak jeden zwolni biegu, drugi z boku zachodzi i nastraszy. My równą drogą, a on zygzakami musi nakładać. Ale wybraliśmy dobrze, bo zając starszy o jakie dwa lata, silniejszy i prędzej biegnie. Złapiemy go w końcu, ale cała sztuka, jak długo się będzie bronił.

No i złapaliśmy aż na trzecim piętrze. Zmordowany był, ledwo dyszał. Żywcem go złapaliśmy, bo już się nawet nie bronił, sam się poddał.

I usiedliśmy na schodku, i rozmawiamy. My też byliśmy zmęczeni, bo po schodach w górę. Tylko tak w sobie powiedzieliśmy, że żeby nie wiem co, już się nam nie wymknie, że go mieć musimy.

Mógł się jeszcze chyba skryć do mieszkania, do nory. Ale nie w tej sieni mieszka.

A on mówi:

— Jakbym chciał, tobyście mnie nie złapali.

My mówimy, że przecie nie mógł już uciec.

On mówi:

— Jakbym chciał, tobym mógł.

— To i my mogliśmy prędzej złapać, tylkośmy nie chcieli zmordować się na całego. I ciebie nam było żal.

— A żal! Jakaście mi ani na chwilę nie dali odpocząć. Nawet prawdziwy pies tak nie goni.

— Więc po coś leciał na ulicę, kiedy było wymówione?

— A co? Bo gdzie miałem uciekać?

— No to mogłeś się poddać.

— Mądryś<sup>32</sup>. Trzeba było strzelać. Jakbyś zranił, tobyś mnie miał. Rewolwer trzyma, a nie strzela.

Prawda. Michał powinien był strzelać, a on też gonił. Zapomniał, że jest myśliwym, a nie psem. To był błąd. Gdyby strzelał, byłby się Felek przewrócił, jak już był bardzo zmęczony, byłby się z honorem poddał. Michał jest rozdrażniony.

— Pod Cecorą dostał rewolwer od samego króla, a w zająca strzelić nie potrafi. Bohater.

Michałowi przykro się zrobiło.

— Jak się będziesz wyśmiewał, już ci nic nie powiem.

Wacek zląkł się, że się pokłóci, więc mówi:

— Pamiętasz, jakeśmy się bawili w tygrysy, coś z cyrku uciekł, a ja byłem pogromca?

Zaczęliśmy mówić o tresowanych zwierzętach, co kto widział. O lwach, co skaczą przez ogniste obręcze, o słoniu, co jechał na rowerze, o małpach i psach.

O psach ciekawie mówić, bo każdy sam widział, a o innych zwierzętach więcej się słyszało i czytało.

Wujek Felka ma psa, który służy, aportuje, udaje nieżywego i nie daje się ruszyć. A tu jeden żołnierz na urlop przyjechał i miał psa uczonego. Na podwórku różne z nim sztuki wyrabiał. Bagnet pokazywał chłopakom i o karabinach maszynowych i bombach opowiadał.

— Żeby była wojna, tobym zaraz poszedł na ochotnika.

— Zapytaj się, czyby cię przyjęli.

Za mały.

Westchnienie.

Mówiliśmy o wodołazach, że mają pletwy jak kaczki i tonących ratują. I o topielcach. I już się ciemno zrobiło. I straszno mówić.

— Pan czytał w szkole o Eskimosach.

Rozmawiamy o Eskimosach i o szkole.

Jakby dobrze było, żeby prawdziwi podróżnicy, wynalazcy i wojskowi opowiadali w szkołach, co robią i co widzieli.

<sup>32</sup>mądryś — jesteś mądry; tu ironicznie: udajesz mądrego. [przypis edytorski]

— Raz pani opowiadała o swojej wycieczce w Tatrach. Jaka była burza, pioruny. Zupełnie inaczej mówi się, jeżeli widzieć, a inaczej z książek. Mniej ciekawie.

— No tak, opowiadają podróżnicy, ale dorosłym. Dzieciakom tam będą mówić tacy sławni ludzie. Nie warto.

Przycichliśmy. A stróż zapala światło na schodach. Zobaczył nas i pędzi.

— Co wy tu po ciemku robicie? Marsz do domu!

I tak się podejrzliwie rozgląda, że niby tu pewnie robiliśmy, czego nie wolno. Pewnie myślał, że papierosy palimy, bo leżała zapalka, to naprzód na nią, a potem na nas po kolei...

Może nam się tylko zdaje, ale nieufność jest bardzo nieprzyjemna. I jeszcze mają zwyczaj załatwiania różnych spraw przy okazji. Jeżeli nie widzą, to nic, a jak zobaczą, to zawsze:

„Zapnij guzik, dlaczego masz buty zablocone, czy odrobiłeś lekcje, pokaż uszy, obetnij paznokcie”.

I to nas uczy po trochu unikać, kryć się — nawet jeżeli nic złego nie zrobiliśmy. A kiedy przypadkiem spojrzą, czekamy zaraz na jakąś uwagę. Może dlatego nie lubimy lizuchów. Może on nawet nie lizuch, tylko się zanadto kręci między dorosłymi, nie boi się ich wzroku, więc jest jakby w znowiu.

Kiedy byłem nauczycielem, robiłem tak samo. Zdawało mi się, że tak dobrze, że wszystko widzę i na każdy drobiazg zwracam uwagę. A teraz nie: dziecko powinno być swobodne, kiedy się na nie patrzę. A jeśli chcę coś powiedzieć, to nie, że mi się przypadkiem nawinęło, ale że naprawdę chcę mu coś powiedzieć.

No, siedzimy na schodach po ciemku. A jak mamy siedzieć, jeżeli światło nie zapalone? Rozmawialiśmy sobie. A powiemy, że rozmawiamy, na pewno nam odpowiedzą:

„O czym wy tam możecie rozmawiać? Pewnie o głupstwach jakich?”

Jużci, nie o mądrych. Tak sobie. A czy dorośli zawsze tylko mądrze rozmawiają? Dlaczego zaraz lekceważenie?

Dorosłym się zdaje, że dobrze nas znają. Co tam w dziecku może być ciekawego? Mało żyło, mało wie, mało rozumie. Bo każdy zapomni, jaki był dzieckiem, i myśli, że teraz dopiero najmądrzejszy.

— Marsz do domu! Ruszajcie!

Porozchodziliśmy się niechętnie, powoli, krok za krokiem. Żeby nie myślał, że się go boimy. Bo jakbyśmy naprawdę chcieli zostać i robić, co zabronione, toby nas nie upilnował. Nie tu, to gdzie indziej, nie teraz, to potem.

W domu jeszcze kolacji nie było, więc zacząłem się bawić z Irenką. Bo mam małą siostrę. Tak, i matkę, i ojca, i małą Irenkę.

Bawimy się, że ja zamykam oczy, zatykam uszy i odwracam się do ściany, a ona chowa lalkę, a ja szukam. A jak znajdę, niby nie chcę oddać, tylko trzymam wysoko nad głową. A ona ciągnie za rękę i piszczy:

— Oddaj lalkę, oddaj, oddaj!

Musi powiedzieć „oddaj lalkę” piętnaście albo dwadzieścia razy, bo to jest okup. Jeżeli od razu znalazłem, to mniej, a jak się długo męczyłem, zanim znalazłem, więcej.

Więc raz lalkę schowała pod poduszkę; od razu znalazłem. Dziesięć razy krzyczała:

— Dawaj lalkę!

Drugi raz schowała do kieszeni palta. Trzeci raz za szafę. Czwarty pod łóżkiem. A jak schowała do garnka, długo szukałem, i musiała krzyczeć trzydzieści razy:

— Dawaj lalkę!

I znów. To niegłupia sobie, dziecinna zabawa. Wykryć tajemnicę, znaleźć ukryte, pokazać, że się nie da schować, by znaleźć nie można. Im trudniej zdobyć, tym miłsze zwycięstwo. Czy prawda dorosłych, odkrycie, wynalazek, poznanie — czy lalka w garnku albo pod poduszką. Cała przyroda — to Irenka ukrywająca lalkę, a w mozole poszukująca ludzkość — to ja, mały chłopak. Tam zająca goniłem szybkością nóg i sprawnością biegu, tu chwytam lalkę domyślnością, czujnością, uporem.

Cóż innego w życiu robimy, co czyni ludzkość cała? Zające gonimy i szukamy lalek.

Już nawet zmęczony jestem tym długim dniem, w którym tyle przeżyłem. Zjadłem kolację, chcę się do łóżka położyć najprędzej.

— Coś taki spokojny? — pyta się ojciec. — W szkole nabroileś?

Wychowanie, Konflikt

Sprawiedliwość

Zabawa, Tajemnica,  
Wiedza, Naukowiec



— Nie — mówię — głowa mnie boli.  
— Może dać ci cytryny? — mówi mama.

Umyłem tylko ręce i twarz, prędko się rozebrałem, leżę z zamkniętymi oczami.

Skończył się pierwszy dzień, kiedy znów jestem mały. Ileż było wszystkiego w tym jednym dniu! Tylko część zapisałem, co mi akurat podsunęło wspomnienie, co dłużej trwało. Jeśli biją w człowieka wrażenia jak wiosenna ulewa, czy może spamiętać i opisać wszystkie deszczu krople? Czy dadzą się zliczyć rozkołysane fale wezbranej rzeki?

Byłem Eskimosem i psem, ścigałem i uciekałem przed pościgiem, zwycięzca i niewinna ofiara przypadku, artysta i filozof — życie mi gra jak kapela. I rozumiem, dlaczego dziecko może być dojrzałym muzykiem, a gdy się wpatrzymy uważniej w rysunki i mowę jego, gdy wreszcie zaufa sobie i przemówi, a my przenikniemy jego odmienną a dostojną wartość — znajdziemy w nim mistrza uczuć, poetę, malarza-artystę. To będzie. Aleśmy jeszcze nie dorosli. Zbyt głęboko tkwimy w materialnym życiu.

Odbyłem dziś podróż do kraju śniegu wiecznego, zaczarowany w psa błyskałem kłami — i jeszcze — i jeszcze — i jeszcze.

Gdy się bawiłem z Irenką, lalka nie była lalką, ale ofiarą zbrodni, ukrytym trupem, którego obowiązkiem moim było wytropić. Gdy znalazłem, wziąłem ostrożnie jak zmarłą.

Lalka była topielcem, a ja rybakiem. Kołysząc się szedłem przez pokój. Rękami poruszałem jak siecią.

Lalka była bandytą: gdzie też się ukrywa? Idę przez pokój ostrożnie, skradam się, żeby nie przywitał mnie śmiertelnym strzałem.

Nie w kieszeni palta ani pod poduszką leżała, ale w kniei, w lochu podziemnym, w trzęsawisku, na dnie morza. Chwytałem ją brutalnie, potrząsając.

Nie mówiłem Irencie, bo mała, więc i tak nie zrozumie. Była to już moja własna zabawa.

Zapomniałem dodać, że akurat mama weszła i mówi:

— Oddaj jej lalkę. Czego się z nią drażnisz?

— My się tak bawimy — powiadam.

— Ty się może bawisz, a ona się złości: na schodach słyhać jej krzyki.

Przepuściłem także, jak w piwnicy w kącie pokazało mi się coś białego, jak człowiek bez głowy, w całunie. I kiedy biegłem z piwnicy, to przez krótką chwilę nie zającą gonilem, ale uciekałem przed widmem. Chwilę trwało, ale jak w piersi tłukło, a przed oczami mignęły trzy czarne pioruny.

Nie napisałem, jak mi się na lekcji pić chciało. A pan wyjść nie pozwolił.

— Niedługo będzie dzwonek, to się napijesz.

Miał słusność. Ale jestem dzieckiem, inny teraz mam zegar, inaczej czas mierzę, inny mój kalendarz. Dzień mój jest wiecznością, która się dzieli na krótkie sekundy i długie stulecia. Nie dziesięć minut pić mi się chciało.

„Kiedy już będzie dzwonek? Bo cierpię. Żar mam w ustach, w oczach i myśli spiekota. Naprawdę cierpię. Bom<sup>33</sup> dziecko”.

Nie napisałem, że mi podczas przerwy kolega pozwolił zagrać na nowych organkach — aby tylko spróbować<sup>34</sup>, czy dobre. Bo chwalił, że najlepsze, nie rdzewieją, trwałe. Grałem może minutę — raz jeden — wytarłem o marynarkę — oddałem. I nic.

Właśnie, że nie nic. Bo jeśli on te organki zgubi, zamieni, sprzeda albo zepsuje, a ja będę miał za pół roku, a on poprosi — to będę pamiętał i też mu pozwolę. A gdybym nie dał, miałby prawo powiedzieć:

— Patrz, jaki ty jesteś! Ja ci pozwoliłem.

Takie przysługi się pamięta, jeśli się ma być uczciwym człowiekiem.

Nie wspomniałem także, że mam palto za długie, na wyrost. Przeszkadzało, kiedy się ścigałem z tramwajem. Dopóki nie urosnę, ciągle będzie przeszkadzało, ilekroć ubiorę<sup>35</sup>.

Znów nie drobiazg, ale trwać będzie, bo ja wiem, jak długo? Pół roku, rok, wieczność.

Nie wspomniałem, że nagle na szybie żywą muchę dostrzegłem. Ucieszyłem się, po kryjomu cukier ściągnąłem i rzuciłem kilka okruchów. Karmiłem wiosnę. I niechby się odważyła Irena albo kto ją skrzywdzić!

<sup>33</sup>bom dziecko — dziś: bo jestem dzieckiem. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>spróbować — dziś popr.: spróbować. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>ubrać (palto) — założyć (palto). [przypis edytorski]

Korek od butelki znalazłem. Przyda się. Mam go w kieszeni w spodniach, przy łóżku. Żołnierza widziałem na ulicy. Zrobiłem kilka kroków wojskowych. Salutowałem. Uśmiechnął się przyjaźnie.

Myłem twarz zimną wodą. Odczułem jak kąpiel — dobra, zimna woda — radość przelotna.

Gdy byłem dorosły, miałem dywanik stary, spłowiały, wyblakły. I raz na wystawie sklepowej widziałem taki sam, nowy, ten sam deseń, te same kwiaty. Jakoś wolniej i pochylony powlokłem się dalej.

Kiedy byłem dorosły, po długiej zimie wymyli w pokoju zakurzone szyby. Bardzo były zakurzone. Kiedym wrócił do domu, długo stałem przy oknie, zadowolony patrzyłem w przezroczyste okno.

Kiedy byłem dorosły, spotkałem raz dawno nie widzianego, zapomnianego wujka. Siwiuteńki idzie, laską się podpira. Pyta się, co słyhać. Odpowiadam:

— Starzeję się, wujku.

A on:

— Co, już? A co ja mam powiedzieć? Młokos jeszcze jesteś.

Ucieszyłem się, że żyje, że nazwał po imieniu.

I nagle ciepła ręka dotyka mego czoła. Drgnąłem. Otwieram oczy. Spotykam się z niespokojnym spojrzeniem mamy.

— Śpisz?

— Nie.

— Boli cię głowa?

— Nie.

— Nie zimno ci, może cię przykryć?

Ręka matki dotyka twarzy, piersi.

Siadam.

— Niech się mama nie boi. Głowa wcale mnie nie bolała.

— A mówileś.

— Zdawało mi się. Spać mi się chciało.

Obejmuję rękami za szyję, patrzę w oczy. I szybko chowam głowę pod kołdrą. Jeszcze słyszę:

— Śpij, synku.

Jestem znów dzieckiem i mama mówi mi: „synku”. Znów mówią mi „ty”. Znów szyby są przezroczyste, znów dywan odzyskał dawne, minione barwy.

Znów mam młode ręce, młode nogi, młode kości, młodą krew, młody oddech, młode łzy i radość.

Radość — łzy — i modlitwę młodą, dziecięcą.

Zasnąłem. Jak po dalekim marszu.

## DZIEŃ DRUGI

W nocy spadł śnieg.

Biało — bielusieńko.

Tyle lat nie widziałem śniegu. Po tylu, tylu latach cieszę się, że śnieg, że biało.

I dorośli lubią piękną pogodę, ale oni myślą, rozważają, my tak jakoś jakbyśmy ją pili. I dorośli lubią jasny ranek, ale dla nas jest winem mrożonym — jesteśmy nim jakby pijani.

Kiedy byłem dorosły, widząc śnieg już myślałem, że będzie błoto, czułem wilgotne obuwie i — czy węgla wystarczy na zimę? I radość — ona także była — ale przysypana popiołem, zakurzona, szara. Teraz czuję tylko białą, przejrzystą, oślepiającą radość. Że co? Że nic: śnieg!

Idę z wolna, ostrożnie, szkoda mi ją deptać. Wokoło iskry, łśni, błyszczą, mieni się, gra, żyje. I we mnie tysiące iskierek. Jakby kto proszek diamentowy rozsypał po ziemi i w duszy. Zasiał i rosnąć będą brylantowe drzewa. Bajka się łśniąca urodzi.

Spadnie na rękę gwiazdeczka biała. Śliczna, maleńka, serdeczna. Szkoda, że zniknie spłoszona. Szkoda — albo chuchnę, cieszę się, że nie ma, bo już jest druga. Otwieram usta i chwytam wargami. Czuję kryształowy chłód śniegu, biel czystą i chłodną.

Starość

Radość

Zima

A gdy topnieć zaczniesz, będą sopły lodowe. Można je ręką strącać. Można nadstawić usta i chwycić śnieg i spadające krople. Władnym ruchem ręki zgarniasz je spod gzymsu — spadają i kruszą się w chłodnym dźwięku.

Naprawdę zima i naprawdę wiosna.

To nie śnieg, to królestwo czarodziejskie tęczowej bańki mydlanej.

No i kule ze śniegu. Kule, piguły — psota, niespodzianka; piłek — ile zapragniesz! Nie kupujesz, nie pożyczasz, nie prosisz. Masz je. Cisnąłeś — miękko uderzyła i rozpadła się. To nic — zaraz będzie. Ty w niego, on w ciebie, w plecy, w rękaw, w czapkę — i nic. Śmiech i łopot serca.

Przewróciłeś się, otrzepujesz na niby. Za kołnierz — brr — zimno — przyjemnie. Przypoda.

Toczysz kulę. Oblepia się równo, rośnie. Wybierasz dobre miejsca, popychasz. Rośnie duża. Już nie dłonią, ale ręką, już czujesz, że cięży. Pośliznąłeś się, więc wolniej, ostrożniej. Czyja większa? A teraz co? Czy bałwana ulepić, czy wskoczyć z rozmachu obiema nogami?

Zgarną stróżę w dwie strony po bokach ulicy, więc w środek, po kolana brodzisz w białym puchu.

Na Boga, potrzeba mi desek i gwoździ! Najkonieczniejszą rzeczą, jedynie ważną na świecie — poza tym nic nie istnieje — są własne, blachą podkute sanki! Co by tu rozbić, rozebrać, wyszukać, wyprosić — żeby mieć deski? I łyżwę, jeśli nie można dwóch, bodaj jedną. Sierotą się człowiek czuje bez łyżwy i sanek.

Oto białe troski nasze, białe pożądania.

Żał mi was, dorośli, żeście tak ubodzy radością śniegu, którego wczoraj nie było!

Wiatr zgarnął pokruszone gwiazdki z gzymsów, futryn, rynien i sypnął biały puder w ulicę. Biały, chłodny tuman. W górę, na dół, w zmrużone powieki, firankę białych rzęs.

Tylko ulica. Nie las, nie pole — ale biała ulica. Dziarski, młody okrzyk radości. Stać będą na dachach domów drobne ludzkie postaci, zrzucac łopatami na zagrodzone chodniki. A ty zazdrościsz, że wysoko, że spaść mogą, a nie spadają, że łatwa, miła, piękna taka praca: z wysoka ciskać śnieg — i przechodnie się usuwają, i w górę patrzeć.

Gdybym był królem, rozkazałbym w pierwszy dzień prawdziwej zimy zamiast tysiąca dzwonek szkolnych dać z fortecy dwanaście wystrzałów armatnich na znak, że lekcyj<sup>36</sup> nie będzie.

W piwnicy czy na strychu każdej szkoły są skrzynie, paki, deski.

Święto pierwszej sanny.

Zatrzymuje się tramwaje, zabroniony ruch kołowy. Nasze sanki, dzwonki obejmują miasto w posiadanie. Wszystkie ulice, place, skwery, ogrody. Białe święto dzieci szkolnych — dzień pierwszego śniegu.

Taka oto była moja droga.

A teraz — tylko szkoła. Wiem, że nie jej wina, a czuję żal. No, bo jakże? W ławce — pięć godzin — i czytać — i zadania rozwiązywać?

— Proszę pani, śnieg.

— Prawda, proszę pani?

Pani ucisza łagodnie, potem już surowiej. Niecierpliwi się, ale zaprzeczyć nie może, czuje przecie<sup>37</sup>, że mamy słusność. No, bo jest.

— Proszę pani!

— Cicho.

Potem będzie:

„Kto się odezwie, kto piśnie — ostatni raz wam mówię”...

Grozić będzie.

Więc znów nasza wina? Więc to my? Więc nie śnieg winien, tylko ciągle my?

Spaliśmy — w nocy — nawet nie wiedzieliśmy, możemy przynieść świadectwo rodziny — on spadł sam, z nieba. A jeśli nie wolno mówić, jeśli trzeba udawać, że nie wiedzieliśmy, nie wiemy, jeśli źle, brzydtko, że wiemy i cieszymy się nawet, ano, trudno. Niechaj i tak będzie.

Jeden tylko stoi w kącie.

Zabawa

Marzenie

<sup>36</sup>lekcyj — dziś częstsza forma D. lm: lekcji. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>przecie — dziś: przecież. [przypis edytorski]

Cichnę wraz z klasą. Kilka niespokojnych w okno spojrzeń i ostatnie na panią spojrzenie nadziei, że może jednak. I cisza już. I już tylko lekcja.

Nie ma dwunastu wystrzałów białego wesela dla dzieci.

Ktoś mówi coś nieciekawie.

Otwieram piórnik i liczę, ile mam stałek<sup>38</sup>.

— Raz, dwa, trzy... Krzyżówka, serek, szóstka, oczko, sienkiewicz, koniar<sup>39</sup> — dwie, trzy krzyżówki. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Jedna bez końca: koniec ukruszony, pewnie pisać nie będzie.

Wyjmuję, próbuję<sup>40</sup>, pisze, ale grubo.

Jedenaście stalówek, jedenaście.

A potem już nic.

Mówią coś nieciekawie o chłopcu czy wieśniaku.

Ziewam.

— Nie wolno na lekcji ziewać.

Sąsiad pchnął, żebym wstał. Wstaję. Domyślam się, że ziewnałem i że pani do mnie.

— Siedź równo, nie opieraj się!

Siedzę równo, nie opieram się. Ziewam ukradkiem.

— Proszę patrzeć na tablicę.

Patrzę na tablicę i widzę, że śnieg znów za oknem prószy, ale już mnie nie obchodzi nawet.

Siedzę cichutko.

— Powtórz.

Co?

— Stań w kącie. Nie uważasz.

Włokę się w stronę kąta.

— Prędziej.

Ktoś się roześmiał. Często w klasie ktoś się tak roześmieje, nie wiadomo czemu. I bywa, że za nim wszyscy.

Nogi bołą. Nie bołą, ale załamują się. Dziwne. Starczyłoby sił na gonitwę, sanki, łyżwy. A teraz — nie zła wola, nie upór, nie lenistwo, nie psotne szkolne „na złość”, ale szczerze, uczciwe, rzetelne, bolesne „nie mogę”. Jakby kto wziął w rękę i złamał — jak patyk.

Surowa kara — w kącie. Jestem słaby, męczyło mnie siedzenie w ławce. Oparłem się, nie mogłem równo. Teraz muszę stać.

Pocieszam się:

— Lepiej w kącie. Jeśli zaczną dokazywać, nie poniosę wspólnej odpowiedzialności.

A mogą zacząć. Bo popod<sup>41</sup> ciszą omdlenia tli się zatajona uraza, chęć odwetu, który czeka na hasło. Znajdzie się czy nie znajdzie śmiałek? Bo jak teraz jeden tylko zacznie, nie skończy się na małej awanturze. Już ja wiem — znam.

Więc wbił tam ktoś stalkę w ławkę, przyciska, puszcza — i brzęczy. Nauczycielka jeszcze nie słyszała, ale my słyszymy — od pierwszego nieśmiałego razu. Złapać takiego trudno, bo wbił stalkę głęboko w kasetkę i tylko naciśnie, zaraz — dżdźdź!

Już teraz głośniejsze.

— Kto brzdąka?

Nie ma odpowiedzi.

Teraz jest ich już dwóch, na zmianę.

Kiedyż się wreszcie skończy ta lekcja? Przecież nie można tak wiecznie. Żeby choć zegar wisiał na ścianie. Czemu nie ma zegara? Dlaczego pani wie, tylko my beznadziejnie, w rozpacz?

— Pytam się, kto brzdąka? Olszewski, to ty?

<sup>38</sup>stalówka a. stalka — element pióra, blaszka dotykająca bezpośrednio papieru podczas pisania. W I połowie XX w. dzieci w szkołach uczyły się pisać piórem złożonym z drewnianej obsadki i metalowej stalówki, którą zanurzało się co chwilę w kałamarzu pełnym atramentu. Stalówki szybko się zużywały i trzeba było je często wymieniać. Długopis został wynaleziony w 1938 r., a do powszechnego użytku wszedł znacznie później. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>krzyżówka, serek, szóstka, oczko, sienkiewicz, koniar — pot. nazwy stalówek różnych firm lub kształtów. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>próbować — dziś popr.: próbować. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>popod — pod. [przypis edytorski]

— Co? Ja nic nie wiem.

— A kto?

— Ja nic nie wiem, a pani zaraz na mnie.

Klasa budzi się z drzemki. Zaczyna być ciekawie. Czekamy na nowe, już ryzykowne brzdąknięcie. Pani już zgadła kierunek. Teraz odezwie się trzeci, żeby zmylić panią. Teraz pewnie wyjmuje stalkę z pióra, robi niewinną minę, wtlacza stalkę w drzewo.

— Proszę wziąć rękę za siebie.

Nareszcie dzwonek.

Rozumiecie teraz, czemu, z pewnym zażenowaniem co prawda, żąda szkoła, by ręce mieć splecione i parami opuszczać klasę.

Bo zrywamy się — kupą, chmarą, wichrem — w drzwi.

Drzwi powinny być w szkołach szerokie na wypadek pożaru i takich dni śnieżnych.

Pchamy się, spieszymy, żeby nic-nic, ani chwili nie stracić. Musimy się ratować, a mamy tyle drogi, tyle przeszkód. Wąskie drzwi, ciasny korytarz, schody, sionka. A musimy być wszyscy pierwsi na podwórku. Więc łokciami, kolanami, piersią, głową — drogę torujemy, bo tchu brak, ręce parzy od zimnego śniegu.

Mignęło przed oczami — już.

Pierwsza byle jaka kula i bęc! — w pierwszego lepszego. Gniewać się nie będzie. Taka przecudowna, najjaśniejsza będzie zabawa. I dosłownie nikt nam nie przeszkodzi. Nie ośmieli się, nie zaryzykuje.

Woźny wie, że mu schody zabłocą. Nauczyciele ukryli się w kancelarii i palą papierosy. Nauczyciele udają, że się nie domyślają, bo nie wypada. A to są nasze dziesięć minut. I w ich obronie jesteśmy lawiną, huraganem, żywiołem.

Walka na kule na odległość i długość ręki. Z jednym i ze wszystkimi. Walka, gdzie nie ma wrogów, gdzie nie chce się krzywdy wyrządzić nikomu, ale trzeba koniecznie wyjść zwycięzcą. Nie liczy się zadanych i otrzymanych ciosów, nie sprawdza się wyniku strzałów i nie czuje zadanych z tyłu razów. Byle do końca na placu przetrzymać nawałę ataku.

Już ktoś za mocno upadł, już ktoś coś ogląda — rana w bluzie czy majtkach i pierwsze lzy w oczach.

Nie widzimy ran, nie współczujemy łzom. Przerwać zabawę może tylko coś najstraszniejszego: chyba tylko szyba wybita albo prawdziwa krew. Choć kto wie, czy to walkę przerwie od razu, bo może tylko na jednym najbliższym odcinku?

Nie ma planu ani kierownika. Każdy z każdym, każdy za siebie przeciw wszystkim. Tylko przypadkowe, przelotne przymierza.

Oto we trzech walimy w jednego. Przyparliśmy go do ściany. Broni się, ale pierścien się zwęży. Już wybrał cały śnieg spod stóp, już nie kulami, bo nie zdąży, a tak śnieg w popłochu nieszkodliwy miota, już się schylić nie może, bo stoimy pierś w pierś.

— Poddajesz się?

— Nie!

Ma słusność.

Bo jeden z trzech rzucił nagle z rozmachu kulę w sprzymierzeńca. Zdrada — popłoch w ataku. Nie zdrada właśnie, ale hasło, żeby się rozproszyć i w ciekawsze miejsce pędem się puścić.

Ma słusność, że się nie poddał, bo oto w momencie ostatnim odsiecz mu przybywa. Otrzymujemy nagle grad kul w nie osłonięte tyły. I wymknął się w zamieszaniu, osłabiony, biały od stóp do głowy, ale niezwyknięty.

Albo jeden z trójki ostatnią w prędkości nie uklepaną kulę — garść sypkiego śniegu — wpakuje w usta lub wysmaruje twarz i zadrapie zabłąkanym kamykiem. Właściwie nie wolno, ale jakie tam w boju mogą być przepisy?

Albo ot tak, rozlecimy się nagle, nie wiedząc, z kim walczyliśmy i przeciw komu.

Pomieszali się ludzie i oddziały<sup>42</sup>. Migają twarze znajome, półznajome, widziane przełotnie i zgoła obce.

Zmagamy się nie z człowiekiem, ale z czasem. Każda chwila musi być wyzyskana — szkoda każdego ułamka sekundy. Każda chwila zużyta, wyciśnięta, wyssana do ostatniej kropli rozkoszy ruchu.

<sup>42</sup>oddział (tu daw.) — klasa (w szkole). [przypis edytorski]



Oto obaj leżymy w śniegu. Ja w górze. I już umyślnie luzuję, żeby dać możliwość rewanżu, na chwilę leżeć pod nim. Na mgnienie. Zrozumiał. Zrywamy się obaj na nogi i biegniemy razem, trzymając się za ręce, lub w różne strony.

Jedyna ambicja: wyczerpać wszystkie możliwości sytuacji walki. Nachwytać i wchłoniąć najwięcej wrażeń. Wstrząsnąć każdym włókmem mięśni i nerwów. Odetchnąć ostatnim zakątkiem płuc. Po tysiącokrotnie przerzucić przez serce twardą falę krwi.

Bo i my zdolni zatracić się w rozkoszy — nie szkarłatnej, ale białej. I nic nie będzie zapomniane. I w znużeniu następnej szkolnej godziny przetrwać będziemy pojedyncze momenty pięknych chwil, mocnych wstrząśnień.

Dzieci rosną — wszak prawda? Ciało i duch ich wzrasta? Pragnąłbym dowieść naukowo, że w takie paury najbardziej. Żeby niezbicie przekonać.

Ano, dzwonek. Nie szkodzi. Jeszcze lepiej. Dzwonek dodaje rozpędu zabawie. Jak orkiestra żołnierzowi w marszu. Jeśli przed dzwonkiem może ździebełko oszczędziłyśmy siły, to teraz nie. Do ostatka, do dna, do cna — zupełnie już — wszystkie — okruchy sił — jak biały mazur<sup>43</sup> — rzucić w ostatnią chwilę walki.

Decydująca, niebezpieczna, nieprzytomna chwila. Tu, gdy już nie ma rachunku czy zastanowienia, właśnie teraz — najczęściej tłucze się szyba, ginie zbyt mocno ciśnięta piłka, łamie się noga. Tu wywiązać się może nagle krótka, niespodziana, zacięta bójka, co to się bijesz — nie, że go nie lubisz, nie, że masz z nim dawne porachunki, ale że — dzwonek wzywa już do klasy. Nienaumyślnie pchnął lub uderzył, przed dzwonkiem byłbyś darował, nie zwrócił uwagi nawet, ale teraz, po dzwonku, poczułeś i nie darujesz. Sam się potem dziwisz i wstydzisz, i żałujesz. I współczują ci koledzy, i przykro im, że w porę nie żegnali.

Bo szkoda, że się zepsuła taka piękna zabawa.

Piękna?

Jakże uboga jest mowa ludzka. Bo cóż powiesz?

— Ganialiśmy się. Było wesoło.

I już.

Gdybym był woźnym, dzwoniłbym długo — długo w takie śnieżne paury. Bo dopóki dzwoni, my tylko nie rozumiemy — odgłos dzwonka wpręgamy do zabawy. Dopiero gdy zamilkł, w tej pierwszej po nim ciszy — zabawa już nielegalna — trwożna — nieobliczalna. Już łamią się szeregi, karniejsi się wycofują, dostrzegasz wahanie w ruchach, niepewność w oczach, tracisz ufność, wiarę, sam w sobie nie dość pewien — wiesz, że ustąpić trzeba, ale to przecie porażka, dezercja, zdrada.

Cisza, ale w nią lada chwila uderzy bicz drugiego dzwonka. I będzie za późno.

Biegniemy do sieni. Tam pewnie nas zatrzyma przezornie ten, kto odpowiada za czyistość korytarzy.

— Nogi wycierać!

I tu właśnie ktoś ostatnią, twardą, mocno zbitą, na fest uklepaną — ostatnią kulę wymierzył w skłębiony przy drzwiach tłum. Czy ręka zdrząła, czy oko zawiodło, czy zatajona decyzja odwetu splątała kierunek — dość, że nie w nas, ale w okno.

Gdy znów będę dorosły, ja tę sprawę poruszę głośno, dobitnie; postawię ją na porządku dnia.

Ile szyb rocznie stłuc mamy prawo? Mówisz: ani jednej? Szaleństwo! Sam nie wierzysz.

Szkoło ponoć wynaleźli jeszcze Fenicjanie. I przez tyle stuleci nie można było nic trwałszego? A cóż robią chemicy? I fizycy w swoich pracowniach? Czy istotnie nic innego nie można?

Niech się szyby nie tłuką. Ich wina, nie nasza. Czemu mamy nagle zastygnąć, znieruchomieć w grozie? Czekać na nieszczęście? Dlaczego ja, niewinny, mam kryć się, uciekać z miejsca, gdzie dokonana zbrodnia? Czemu ot nagle wszyscy przypadkowo obecni staliśmy się przestępcami?

Dlaczego po tej tylko pięć minut, po tej — no — sześciominutowej<sup>44</sup> pauzie mam spotkać się z groźnym spojrzeniem i okrutnym pytaniem:

— Kto?

<sup>43</sup>biały mazur — ostatni taniec w czasie zabawy karnawałowej, już nad ranem, tradycyjnie wyróżniający się zasadą, że to kobiety wybierają tancerzy: „panie proszą panów”. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>sześciominutowy — dziś: sześciominutowy. [przypis edytorski]

— Nie ja.

A choć mówię prawdę, czuję, że jakby kłamię. Należało powiedzieć:

— Przypadek zdarzył, że nie ja.

Wiem, że są poszlaki. Oskarża mnie ośnieżona odzież. Rzuciłem kule jak inni, jak wszyscy. Przecież wolno. Bo ja wiem zresztą? Może nie? Spieszę do klasy, chcę zdążyć, na pewno zdążę. Bo ja wiem zresztą? Może naprawdę winien jestem, że nie zaraz z pierwszym uderzeniem dzwonka? Ale czy można było tak zaraz, od razu?

— Ja nie.

Rzuciłem kilka legalnych, niewinnych kul. Czy kilka? Nie wiem ile. Czy liczyć zupełnie skończone, dojrzałe, geometryczne kule, czy i te pół-, ćwierćkule, które ciskałem w pośpiechu?

A przecież znalazł się — fu, przebrzydły kłamczuch! — mówi:

— Ja tylko dwie kule, tam — daleko.

Krętacz, szachraj, kłamca.

Jesteśmy wszyscy solidarnie wpłątani w nieszczęście. Czujemy, że niewinny jest i ten, który najnieszczęśliwszy wśród nas — bo prawdą jest, że szybę stłukł przypadek, że jej nie stłukł ani ten, który ją stłukł, ani nikt. Tak my w tej chwili czujemy i pod grozą hańby nie wolno nic więcej powiedzieć niż krótkie:

— Nie ja.

I niechętnie. Nawet to niechętnie, pod przymusem tylko.

Bo wy raczej odpowiedzcie, czy istotnie nie wolno nam wytłuc ani jednej szyby? A jeśli wolno bodaj jedną na rok, czy nie powinna nią być właśnie ta i teraz?

Wiem, że nie odpowiecie, bo nie znacie, nie rozumiecie śniegu. Nawet nie chcecie poznać, lekceważycie.

Więc powiem:

Takich pauz, jak dzisiejsze, ma człowiek w życiu niewiele. Czasem w ciągu całej zimy nie ma ani jednej. Bo musi być ciepło, bo inaczej śnieg będzie sypki i kuli nie ulepisz. I ręce marzną zanadto. Śnieg musi być wilgotny i głęboki. Za ciepło być nie powinno, bo się przecie roztopi. Musi spaść w nocy lub rano, żeby nie zdążyli uprzątnąć. Musi być pierwszy, nieporuszony, żeby nie było w nim ani kawałków lodu, ani grudek ziemi. My, znawcy śniegu i czciciele, wszystko to mocno w duszy czujemy.

Wiemy, że jesteście z nas niezadowoleni. Bywa, że macie słuszność. Prawda, że chętnie skaczemy po kanapie. Mówicie, że kanapa się psuje, że sprężyny się łamią. Nie od razu, nie zaraz. Kanapa, jeśli nie skakać, przetrwa dziesiątki lat. Wierzmy, chociaż żyjąc lat dziesięć nie mogliśmy sprawdzić.

Nie pozwalacie tłuc we drzwiach orzechów. Drzwi się psują. To jeszcze dziwniejsze. Drzwi — to dom. Domy są wysokie, mocne, trwają setki lat. A niech i tak będzie. Nawet na kławkach nie wolno się huścić, bo choć z żelaza, może się złamać. Dziwne! Żyjemy od niedawna, dopiero się rozglądamy. I wy, i cały świat — dziwni jesteście. Ale o złą wolę was nie pomawiamy. Żelazo się łamie? Zgoda.

Ubranie się drze? Niestety.

Szyby się tłuką. I z byle powodu. One się tłuką — same — nie my. Świat jest twardy i nieustępliwy. Grzmotnąłem się na ziemię, wyrznąłem o ścianę, o parapet okna, o szafę, o stół, o kant, o róg — boli, często bardzo zaboli.

I nagle dobry Bóg dla nas, dla dzieci, usłał ziemię białym kobiercem, jak ptak pierzem dla piskląt wyściela gniazdo. Zielonej trawy w zimie nie ma i nieprędka będzie. A jeśli będzie, to zagrodzona i nie wolno deptać. A ze śniegiem wolno robić, co się chce.

Są kule śnieżne niewinne, są złośliwe, są szlachetne jak karabinowe, podstępne dum-dum — zakazane przez humanitarne prawo wojny. Są kartacze, bomby i granaty. A dla was wszystko: śnieżki, które tłuką szyby. Trudno: wojna.

I nawet przypadkiem nie ja.

— Więc kto?

Wzruszenie ramion.

— Nie wiem.

Naprawdę nie wiem. Jeśli wiem nawet, też nie wiem. Mnie się tylko zdaje, że on. Zapewne się dowiem, jeśli spokojnie przepytam, rozważę — później. Nie mam przecież bezwzględnej pewności, że on, on jeden, na pewno nikt inny.

Toć biegłem, bo po dzwonku, bo późno. Zmęczony, radosny i w strachu. Mogło mi się zdawać.

Dwóch ich stało. Zapewne jeden z nich. Czyjaś twarz mignęła i znikła. Może właśnie ten trzeci? Może jakaś zabłąkana kula? Trzeba ustalić — potrzebny czas — a nauczyciel chce, żeby już.

Zresztą niech inni powiedzą — może bliżej stali, może widzieli lepiej.

I stoimy długo, chmurnie, niezdolnie. I pytam się, w jakim najrzadszym przypadku zdarzyć się tak może dorosłym? Jeden tylko znajduję.

Oto podczas pochodu<sup>45</sup>, w którym biorę udział, rozległ się nagle strzał. Otacza nas policja: kto strzelił? Ale tu, będąc niewinnym, wiem, że będzie śledztwo, że wszystkie „za” i „przeciw” będą solidnie zważone. A nasze sprawy załatwia się tak jakoś byle zbyć. Dlaczego tak jest? Dlaczego tak często bez winy krzywdą nam się dzieje? Dlaczego wolno dziecko niesprawiedliwie ukarać i uważa się to za drobiazg, i nie odpowiada się za to przed nikim?

Religia przeszła spokojnie.

Rozmyślałem o Józefie, którego faraon wtrącił do więzienia. Józef tłumaczył sny. Później było mu dobrze, ale jak ciężko być sprzedanym przez braci, oskarżonym złośliwie i w kajdanach długie lata w ciemnym siedzieć lochu. Ja niedługo stałem w kacie, a ile wycierpiałem! Stałem w klasie, gdzie są okna, wiedziałem, że tylko do dzwonka. Dlaczego nie wiemy, jak wyglądało egipskie więzienie, jak długo dręczył się Józef? Żal mi Józefa, chcę mu współczuć tyle, ile zasłużył, a nie wiem. Wtedy o Eskimosach chciałem wiedzieć wszystko, teraz o Józefie. Pytań mam bardzo wiele; czemu dorośli pytań naszych nie lubią? Przecież to było dawno i daleko, więc i oni mogą nie wiedzieć. Dlaczego dorośli nie lubią się przyznawać, że nie wiedzą, ale zobaczą w książkach albo zapytają kogoś, kto wie więcej. Może nie wiedzą, ale się domyślają. Im łatwiej.

Dawniej w szkole nie było nawet obrazków. Za moich czasów nie było kinematografu<sup>46</sup>. Jakże biedne były dziecinne lata bez kina! Mówili o górach, morzach, pustyniach, dawnych wojnach, dzikich ludach. I rosło coraz bardziej pragnienie, żeby to wszystko zobaczyć. Teraz, gdy się wychodzi z ciemnej sali kina, może człowiek przynajmniej powiedzieć:

— Byłem tam, widziałem.

Budzi mnie z zamyślenia szmer klasy. Znow jesteśmy wypoczęci i głodni dwunastu strzałów armatnich.

Bolą plecy, ale dopiero teraz. Twarda musiała być piguła. Przyjemny jest taki mały ból. Jak blizna, którą ojciec pokazuje synowi. Dumny, bezbolesny ból, o którym się mówi:

— To nic. Głupstwo.

Odwracam się, aby spojrzeć na Janka, którego zdzieraliłem prosto w czoło, aż mu czapka spadła... Od razu poczuł mój wzrok. Uśmiechnął się, błyskiem oczu odpowiedział: „Pamiętam. Ale poczekaj: zaraz znow się zaczniesz. Nie daruję”.

Nie wiem, czy my częściej się uśmiechamy, czy dorośli. Ale to pewne, że ich uśmiechy mało mówią, a my nasze rozumiemy dobrze, czasem więcej się powie uśmiechem niż słowem.

Wymowne spojrzenie i wymowny uśmiech. Widocznie wiedzą, bo zabraniają oglądać się i uśmiechać w klasie.

Gdy znow będę nauczycielem, spróbuję<sup>47</sup> porozumieć się z uczniami. Żeby nie było dwóch jakby wrogich obozów: z jednej strony klasa, a z drugiej on i kilku lizuchów. Spróbuję, żeby była szczerść.

Na przykład w taki pierwszy dzień białego śniegu nagle podczas lekcji klasnę w ręce i powiem:

— Niech każdy zapamięta dobrze, o czym w tej chwili myślał. Kto się wstydzi powiedzieć, niech powie, że nie chce, żeby nie było przymusu.

<sup>45</sup>pochód — tu, najprawdopodobniej: demonstracja. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>kinematograf (daw.) — kino. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>spróbować — dziś popr.: spróbować. [przypis edytorski]

Sprawiedliwość, Dziecko,  
Kara

Sztuka, Podróż, Wiedza

Uśmiech, Rozmowa

Pierwszy raz się nie uda. Ale będę częściej tak robił. Jak tylko zauważę, że klasa nie słucha.

I po kolei:

— O czym ty myślałeś? O czym ty myślałeś?

Jak kto powie, że myślał o lekcji, zapytam się:

— Czy tylko nie bujasz<sup>48</sup>?

Jak ktoś uśmiechnie się i widzę, że nie chce — zapytam:

— Może nie chcesz przy wszystkich, to powiedz do ucha albo na pauzie zapiszę.

A oni:

— Po co to panu?

Powiem:

— Chcę napisać książkę o szkole. Żeby się wszyscy przekonali, że nie zawsze można uważać na lekcjach. Może w zimie przerwy powinny być dłuższe, może w dni pogod-  
ne uczniowie prędzej się męczą. Wielu ludzi pisze książki o szkole. I coraz wprowadza się coś nowego, żeby dzieciom było lepiej i nauczycielom. No, bo wy skończycie szkołę i pójdziecie sobie, a my całe życie chodzimy do szkoły.

A oni się zdziwią, bo wcale do głowy nie przychodziło, że przecie i nauczyciel chodzi do szkoły i też spędza tu w klasie wiele godzin. Będziemy mówili, co kto chciałby zmienić. Powiem, że nauczyciele najczęściej chorują na gardło i na nerwy. I dlaczego jesteście nerwowi.

A kiedy każdy już powie szczerze, o czym myślał na lekcji, tak zażartuję:

— Więc teraz wszystkim, którzy nie uważali, postawię pałki.

— Ooo, jaki pan cwany!

A ja:

— Nieładnie mówić, że nauczyciel cwany.

A oni:

— Dlaczego?

Więc objaśnię. I znów:

— Więc może postawić pałki tym, którzy myśleli o lekcji?

Jedni zaczną krzyknąć:

— Tak, tak, tak!

A drudzy:

— Za co my? Przecież my uważaliśmy!

Ja powiem:

— Nie uważaliście.

— Dlaczego?

— A bo dziś jest pierwszy śnieg, a wy nie uważacie.

— No, bo śnieg to nie lekcja.

— Więc może dziś pałek nie stawiać?

— Ani dziś, ani nigdy.

— Bez pałek trudno.

— Ale nieprzyjemna pała.

— I dać pałę też nieprzyjemnie. Nauczyciel woli piątki stawiać.

— Więc niech stawia piątki.

— A czy można?

— No nieeee.

I będziemy się tak do dzwonka przekomarzali.

A pomyśleć tylko, jakie to dziwne! Chciałem być dzieckiem, a teraz znów myślę, co będę robił, gdy i dorosnę. Widocznie i dzieciom, i dorosłym dzieje się nie najlepiej. Ci mają swoje troski i smutki, ci swoje.

Mogłoby być nawet tak, żeby człowiek na zmianę raz był duży, raz mały. Jak jest zima i lato, dzień i noc, sen i czuwanie. Gdyby tak było, nikt by się nie dziwił. Tylko lepiej by się rozumieli wzajemnie dorośli i dzieci.

A na pauzie już była spokojniejsza zabawa. Jużemy się umówili, kto z kim. I śnieg był skopany, więc gorzej kule lepić. Niektórzy próbowali, ale więcej bawimy się w sanki. Ze

<sup>48</sup>bujac — tu: oszukiwać, kłamać. [przypis edytorski]

jeden chłopak z tyłu — woźnica, a dwaj z przodu — konie. I sznurem jeden za drugim, niby straż ogniowa, kulig czy artyleria. Każdy inaczej myśli, ale się ścigamy: kto ma lepsze konie albo samochód.

Z początku był porządek, potem się pokotłowało. Bo zaczęli najeżdzać. Zrobili katastrofę kolejową. Poprzewracali się całą kupą i pchają. Zawsze się znajdują narwańcy i ktoś musi płakać. Bo jednemu nadepnęli na rękę, a drugiego butem uderzyli — była żelazna podkowa. Jeszcze go tak przydusili, że nie mógł oddychać.

My nie wszyscy lubimy wariować. Wcale nie. Czasem wolimy wcale się nie bawić niż z dzikussem, co pcha, wrzeszczy i bije. Bo takiego na żarty trącić, zaraz z całej siły uderzy, żeby ból sprawić — w kość albo pięścią. Na nic nie zważa, pcha, rzuca się, szarpie ubranie. Jak nieprzytomny.

Ile razy chciałby się człowiek pobawić, a mówi:

— Nie chcę.

Bo on jest.

— Albo on, albo ja.

Niech wybiorą sami.

Czasem boją się szczerze powiedzieć, bo zaczną się czepiać, przezywać, dokuczać... Już nawet lepiej:

— Nie będę się bawił.

Domyślą się sami — to dobrze, a nie — to nie.

Ale przykro.

Na podwórku dzikusów się zna, ale tu całej szkoły znać nie można, więc się częściej przykrość przytrafi. I czasu nie ma, żeby się umówić.

Więc jak ktoś pierwszy zabawę pokaże i się spodoba, zaraz wszyscy za nim. On jakby dał hasło. A przyznać trzeba, że wariaci — bo ich wariatami nazywamy — dobre mają pomysły, tylko zrobić nie umią<sup>49</sup>.

Owszem, i my najeździliśmy jeden na drugiego, niby że się tramwaj spotkał z samochodem albo zderzyły się dwa aeroplany. Ale dwa i tylko bokiem.

Więc gonimy się i uciekamy, a jak jaka wariacka trójka chce najechać, usuwamy się i przystajemy.

— Odejdźcie, nie chcemy!

Dwa wściekle samochody kursowały przez całą pauzę.

Nasza trójka dobrze była dopasowana. Tylko jeden koń uderzył się w głowę, bo akurat uciekaliśmy przed wściekłym samochodem, a tu leć z boku. Już nie zdążyłem wyminąć i być! — w tamtego głowę. Nawet nie płakał, tylko już nie chciał być koniem.

Mnie się guzik oderwał, ale podniosłem, schowałem, żeby w domu przyszyć.

Tylko w jednym miejscu było bombardowanie. Galopem się tam przelatywało przez tę linię strzałów.

Kto sam się nie bawi, nic tu nie rozumie. Bo ważne nie tylko, że się lata, ale co się w człowieku samym dzieje. Gra w karty czy w szachy nawet — to tylko rzucanie papierków i suwanie drewnienek. Taniec — to kręcenie się w kółko. Ten wie, kto sam gra lub tańczy.

Nie wolno lekceważyć zabawy ani przeszkadzać, ani od razu przerwać, ani narzucić niemilego towarzysza.

Jeżeli jestem woźnicą, chcę mieć konie równego wzrostu, nie za duże, nie za małe, wesołe, ale posłuszne, rozumne, przytomne. Jeżeli jestem koniem, nie chcę woźnicy głupca albo brutala. Bo sam ustanawiam szybkość biegu, nie chcę, żeby mnie szarpał, bił i popychał. Inaczej czuję jako koń, inaczej jako woźnica. A wy co wiecie? Że parsknąłem, że niecierpliwie nogami w miejscu przebieram czy wołam: „stóóóój — wioooo!”

Gdy jestem strażakiem, rozglądam się, czy nie dostrzegę dymu — w górę patrzę, inaczej się spieszę, niż kiedy pędzę z armatą na pozycję. Przed strażą ustępują, artylerię bierze na cel nieprzyjaciel. Nieufnie się rozglądam, by nie wpaść w zasadzkę. Gdy jadę jako pogotowie, myślę, czy to ma być dziecko przejechane, czy samobójca, wisielec czy otruty. Nie tylko przecież leć jak głupi.

Zresztą ważne także, żeby się wylatać na zapas, bo znów godzina w ławce.

<sup>49</sup>umia — dziś popr. forma 3 os. lm cz.ter.: umięją. [przypis edytorski]

Ano, skończyła się szkoła. Idziemy do domu.

Nie wiem, czy i dziś wracać z Mundkiem. Jeżeli się ma jedną drogę do domu, a zacznie się razem z kim chodzić, to już trzeba zawsze. A może być nieprzyjemnie i już się trudno odczepić, już się trzeba albo na dobre pokłócić, nawet pobić, żeby znów zostać samemu i z kim innym wracać.

Są tacy, z którymi nikt wracać nie chce, więc się co dzień do kogo innego przyczepi. Są tacy, którzy sami wolą wracać do domu, ale tacy się rzadko zdarzają. Są tacy, którzy lubią kupą. A najczęściej wraca się we dwójkę, w trójkę, dwaj są jakby przyjaciele, a trzeciego doprosi się albo sam podejdzie i patrzymy, co on za jeden. Są zazdrośni, którzy nie lubią, żeby był i trzeci. Tacy są nieprzyjemni: wygląda, jakby cię kupił dla siebie.

Przykro, jeśli jeden chce razem, a drugiemu już się znudziło albo wybrał innego. Musi się wykradać ze szkoły, żeby go tamten nie znalazł. Jeżeli delikatny, zrozumie, już sam odejdzie. Ale inny robi awantury, rozpowie sekrety, nakłamię i z niby-przyjaciela zrobi się najgorszym wrogiem.

Nie zawsze ten, z kim się idzie ze szkoły, musi być przyjacielem. Bo przyjaciel może mieszkać akurat gdzie indziej, że nawet kawalka iść z nim nie można, od razu w przeciwną stronę. Więc co innego przyjaciel, a co innego, z kim się lubi wracać. Ale zawsze przyjaciel jest jakby brat i nawet więcej. Tylko że brata lepiej się zna, więc się nie można pomylić. A przyjaźni się człowiek słowami, więc zdaje się, że jest taki, jak mówi, a można się pomylić, bo będzie fałszywy. Inaczej w oczy, inaczej za oczy albo inaczej mówi, a inaczej robi. Jeżeli brat się nie uda, już nie ma rady: pokłócisz się, a musisz się w końcu przeprosić. A z niby-przyjacielem można się rozłączyć na zawsze.

Gdy wtedy pierwszy raz byłem mały, miałem też różnych przyjaciół. Pierwszy był rok, ale lubiłem go tylko parę miesięcy, potem widzę, że mnie namawia do złego, więc czekałem tylko, żeby sobie odszedł. A on nie. Aż został na drugi rok w tej samej klasie i tak się od niego zwolniłem.

Drugi też był nie bardzo udany, ale z nim łatwo się pokłóciłem. Dałem mu parę prezentów, pożyczyłem pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt groszy i tak, jakbym się od niego wykupił.

Potem długo byłem ostrożny. Różni się przysuwali, ale pójde raz, dwa razy, a potem niby że muszę gdzieś wstąpić albo że pióra zapomniałem i muszę wrócić do szkoły, albo przed dzwonkiem przygotuję wszystko i w te pędy łapię palto i już mnie nie ma. On na drugi dzień mówi:

— Gdzie się wczoraj podziałeś? Czekałem, szukałem ciebie.

A ja:

— Nie wiem. Sam wracałem do domu.

Aż znalazłem przyjaciela. Prawdziwego. Co to jak nie przyjdzie do szkoły — smutno. I chcę razem siedzieć. I bez niego nie bawię się na pauzie. A on często przepuszczał — coraz częściej. Nie dokazywaliśmy na ulicy, bo powoli chodził.

A inni mówili:

— Że też ci się nie nudzi? Tak się wlecze. Działdzia taki. Z dziewczynkami się całuje.

Nie był wcale działdzia, tylko chory na serce. Z dziewczynkami się nie całował, tylko miał kuzynkę. Myśmy już byli duzi, w czwartym czy piątym oddziale<sup>50</sup>, a ona w pierwszym. I czasem ją spotykaliśmy, i ona się z nim całowała. Mała i do tego cioteczna siostra. No więc co takiego?

Jeszcze miałem jednego. Był o dwie klasy wyżej. Bo zdarza się, że starszy zaznajomi się z małym i razem wracają, jeżeli się szkoła razem akurat kończy. Ale raz kazał mi czekać, a potem szedł z kolegą i z nim rozmawiał, a mnie jakby nie widzi. Płacę się obok jak piąte koło u wozu. Więc widzę, że zajęty, no i przechodzę na drugą stronę ulicy, i patrzę, czy się zapyta, dlaczego odchodzę. A on nic. Nie obraziłem się, ale pomyślałem: „Ma mi łaskę robić”. I tak się skończyło.

Pamiętam to wszystko i teraz już jestem ostrożny. Wolę poczekać, aż znajdę kogoś nie tylko do latania, ale żeby z nim można o różnych rzeczach porozmawiać. Nie tylko o szkole, ale w ogóle.

Więc idę, a Mundek na drodze dogonił.

<sup>50</sup>oddzienie — dziś popr.: oddziały; *oddział* (tu daw.) — klasa (w szkole). [przypis edytorski]

— Szukałem cię w szkole — mówił.

Nic nie odpowiadam. Idziemy obok. A on się pyta:

— Może nie chcesz ze mną chodzić?

Widzę, że delikatny, bo inny by się nie pytał.

Mówię:

— Owszem, chcę.

Spojrzał uważnie, czy naprawdę, czy tak tylko mówię. Uśmiechnęliśmy się.

— Chcesz się ścigać z tramwajem?

— Eee, co dzień się tam ścigać. Dosyć się na pauzach wylatałem.

Zatrzymaliśmy się przed wystawą sklepu.

— Ooo, patrz, jakie ładne cyrkle! Widzisz, to do wkładania, jak się chce duże koło zrobić. A to do tuszu. Jak ci się zdaje: ile takie cyrkle mogą kosztować? Chciałbyś mieć? Patrz, złoty atrament. Patrz, jaki mały kałamarzyk: do podróży. Muszę kupić pędzelek, ale nie tu. Frankowski kupił na rogu i ma już miesiąc, a w moim od razu włosy powylażyły. Złodziejstwo takie. Żeby ci pozwolili, co byś wybrał z wystawy? Żeby jedną rzecz pozwolili? Ja bym wziął cyrkle i tego Murzynka.

— To przecie dwie rzeczy.

— No to tylko cyrkle.

W sąsiednim sklepie wybieramy po dużej tabliczce czekolady, na wypadek, gdyby nam pozwolili.

Później on wybrał dla mamy wazon do kwiatów, ja lalkę dla Ireny.

Wystawa zegarmistrza obok pierścionków i broszek z drogimi kamieniami ma i zegarki. Nie jesteśmy chciwi. Zaopatrujemy się w zegarki. Długo naradzaliśmy się, czy lepszy zegarek na rękę, czy kieszonkowy z łańcuszkiem.

Bo my, dzieci, różnimy się od was, dorosłych. Mało nas obchodzi rynkowa cena przedmiotu. My znamy przedmioty potrzebne i niepotrzebne i zawsze gotowi jesteśmy zamienić rzecz droższą, ale obojętną, na to, co chcemy mieć. Gdybyście się chcieli wtajemniczyć w nasze transakcje handlowe, wiedzielibyście, że inaczej zgoła u nas wygląda oszustwo.

Kiedy pierwszy raz byłem dzieckiem, otrzymałem raz łyżwy. Wtedy łyżwy były jeszcze rzadkim prezentem, kosztownym. No i zamieniłem na piórnik z wiśniowego drzewa, okrągły, z mopsikiem. Mopsik był bez oka, ale bardzo miły. Piórnik co dzień potrzebny, a łyżwy czasem, i zima była akurat łagodna, lodu nie było. Kiedy się w domu dowiedzieli, zrobili mi awanturę. Musiałem oddać. Wstydziłem się bardzo, bo jeśli łyżwy były moje, powinienem mieć prawo robić z nimi, co chcę. Co komu do tego, że mnie się lepiej podoba piórnik z pachnącego drzewa z ślepym mopsikiem? On wcale nie oszukiwał, wiedziałem, że łyżwy droższe, ale chciałem mieć piórnik. A czy podróżny w pustyni nie oddał worka kosztownych pereł za dzbanek wody?

Długo naradzaliśmy się, co wybrać z wystawy stolarza. Chcieliśmy mieć stół z szufladą zamykaną na kluczyk, ale czy nam pozwolą postawić? Może coś dla rodziców? Ale bardzo przyjemnie mieć chociaż mały, ale własny stół.

Zaczęliśmy mówić o domu: że jemu źle jest, bo jego ojciec pije.

To wielkie nieszczęście mieć ojca pijaka. Pijakom powinni zabronić się żenić. Bo męczą się potem i żona, i dzieci.

— Boimy się przed każdą wypłatą: czy ojciec przyniesie pieniądze do domu, czy cały tydzień będziemy się głodzili. I pomyśl tylko, co to za przyjemność, kiedy pijany, nie wie, co się z nim dzieje, a jak się wyśpi, wstydzi się i głowa go boli.

— A ty nie możesz powiedzieć, żeby przestał?

— Co ja tam będę mówił? Już mama dosyć płacze, krzyczy i przeklina. Obiecuje, a potem tak samo. Jak dziecko.

— A ty spróbuj<sup>51</sup> po dobroci powiedzieć.

— Kiedy się wstydzę. Raz byliśmy na wsi u ojca kolegi. Tam pili. A ojciec powiedział, że nie chce. Bo znów wtedy zaklął się mamie, że wódki do ust nie weźmie. Więc kiedy go zaczęli namawiać, żeby choć jeden kieliszek, pociągnąłem ojca za rękaw, bo wiedziałem, że jak jeden, to zacznie już więcej. I ojciec wstał i mówi: „Chodź, pójdziemy do rzeki”.

<sup>51</sup> *spróbować* — dziś popr.: *spróbować*. [przypis edytorski]

I tak sobie szliśmy. I skowronki śpiewają. I zboże jakby nam się kłaniało. I słońce. I ładnie, przyjemnie. Ojciec trzyma mnie za rękę. Potem usiedliśmy nad rzeką, a tata znów trzyma za rękę. I raz mu ta ręka drygnęła, jakby się oparzył pokrzywą. I ja powiedziałem: „Widzi tata, że lepiej nie pić”. A tata na mnie spojrzął i strasznie się zawstydzilem, i strasznie mi się żal zrobiło taty. Bo się na mnie spojrzął tak żałośnie. Wiesz, czasem pies spojrzy, kiedy o coś prosi albo się boi, żeby nie uderzyć. Ja wiem, że co innego człowiek, a co innego pies. A mi tak przyszło do głowy. Już bym za nic w świecie drugi raz tego ojcu nie powiedział. Bo patrz: ojciec jakby się domyślił, bo tylko patrzy na wodę, patrzy, patrzy — i mówi: „Psie życie, synku”. I westchnął. A ja chcę pocałować w rękę, niby żeby przeprosić. A ojciec mocno trzyma rękę i nie daje. Nie wiem, czy miał do mnie żal, a może pomyślał, że niegodzien, żeby go całować. Już ojciec nie wrócił do tych tam, tylko powiedział, żeby mu łaskę przynieść, że go głowa boli. Nie chciał, żeby się z niego prześmiewali. A w kolejce kupił obarżanków. Ani jednego nie zjadłem, braciszce wszystkie oddałem. Nawet chciałem zjeść parę, żeby tata nie myślał, że gardzę. Ale nie mogę: tak mnie coś ścisnęło. Długo potem, pewnie z miesiąc, nie pił, już mama myślała, że dobrze. Dopiero mamie powiedzieli, że jak ktoś się odzwyczają, a chodzi osowiały, to znaczy, że jeszcze; dopiero jak przestanie myśleć i znów będzie wesoły, to już nie będzie. Tylko słuchaj: nie mów nikomu w szkole. Tylko tobie mówię. Nie powiesz? Nawet jakbyśmy się pokłócili?

— Dlaczego się mamy kłócić?

— No nie wiesz? Pójdzie nam o co i pokłócimy się.

I jeszcze troszkę mówiliśmy, jacy różni są na świecie ludzie: jeden pije, drugi robić nie chce, trzeci kradnie, ten to lubi, ten to. Lubi albo nie lubi.

Na przykład są tacy, co nie lubią obcinać paznokci. Bo jak obciąć, to razi. I noszą długie pazury. Albo gryzą.

I że na palcach robią się zadry, że boli. I że na paznokciach robią się białe plamki: z czego to jest?

Bo mówią, że to szczęście kwitnie. A inni mówią, że ktoś zazdrości. Zawsze tak jest: jeden powie inaczej i drugi inaczej, i nie wiadomo potem, komu wierzyć. Okropnie dużo jest kłamstwa na świecie.

I tak rozmawiamy długo, aż się spóźniłem na obiad. Bo ja jego odprowadzałem, a on mnie, i szliśmy tam i z powrotem.

Przyjemnie było chodzić i rozmawiać, bo wszędzie śnieg i śnieg.

No więc się spóźniłem.

A mama zaczyna krzyczeć, dlaczego się na obiad spóźniłem. Że latam, że mama dosyć ma pitraszenia<sup>52</sup> i zmywania, że buty drę, że nie jestem dziewczynką, bobym pomagał, że mama pójdzie do szkoły na skargę, że na łobuza wyrosnę, że Irena powinna być starsza, a ja młodszy, że mama umrze przeze mnie.

Stoję i nic nie rozumiem.

Jak się spóźniłem, mogę jeść zimny obiad albo wcale nie jeść, mogę sam zmyć miseczkę.

Postawiła mama jedzenie, a ja nie chcę. Mama jeszcze gorzej:

— Masz jeść!... Jeszcze grymasy będzie robił, ceregiele stroił!

Już nie chcę drażnić więcej i jem. Ale mi każdy kęs w gardle stoi. I nie mogę przełknąć. Aż proszę Boga, żeby się to jedzenie skończyło.

Dopiero się wieczorem dowiedziałem, że mamie mole pocięły suknię. Mają być imieniny, a suknia pogryziona przez mole. Więc i za to, co zrobią mole, mają dzieci odpowiadać?

Jeszcze więcej zabolęła mnie niesprawiedliwość. Już lepiej nawet nie wiedzieć, dlaczego dorośli są źli, kiedy dają bury. Przeczujesz, że im się coś przytrafiło, ale szukasz i w sobie winy. Aż znajdziesz.

Usiadłem w swoim kącie i lekcje odrabiam. Ale się boję, że któryś z chłopaków przyjdzie i znów się zacznie:

„Idź, buty drzyj, już twoi koleżkowie cię wołają!”

Przecież tylko dlatego chciałem być dzieckiem, żeby bawić się znów z kolegami.

<sup>52</sup>pitraszenie (pot. pogard.) — gotowanie, przygotowywanie posiłków. [przypis edytorski]



I nawet zgadłem, bo ktoś zastukał, ale cicho i tylko raz. A mama usłyszała.

— Żebyś się nie ważył wychodzić! Lekcje rób!

Ano, robię. Nie mam nawet ochoty iść.

I tak mi się zdaje, że siedzę sam jeden w polu, a tu noc i mróz, i jestem sam jeden, i boso, i głodny. I wilki wyją. I zimno. I strach. I już cały drętwięję.

Dziwny jest człowiek. Albo mu wesoło, a tu nagle smutno.

Nie wiem na pewno, ale mi się zdaje, że dorośli częściej bywają źli niż smutni. A może w cichości się smucą dla siebie, a na dzieci się złością. Rzadko bywa, że o nauczycielu mówimy:

„Pan był dziś smutny”.

A niestety często:

„Pan był zły”.

Dzieci częściej płaczą niż dorośli, nie dlatego, że mazgają, ale że głębiej czują, więcej cierpią.

Czemu dorośli nie szanują naszych dziecięcych łez? Bo im się zdaje, że często o wszystkim, o byle co płaczemy. Nie. Małe dzieci krzyczą, bo to ich jedyna obrona: narobi krzyku, to się ktoś znajdzie, co zwróci uwagę i przyjdzie z pomocą. Albo z rozpaczki już krzyczy. A my płaczemy rzadko i nie o to, co najważniejsze. Jeżeli bardzo zabolę, to się jedna tylko łza pokaże, i koniec. I z dorosłymi tak bywa, że w nieszczęściu wyschną, wystygną nagle łzy.

A już najrzadziej zapłaczesz, kiedy się gniewają, a nie mają racji. Głowę spuścisz i nic. Czasem pytają się, a ty nie odpowiadasz. Czasem chcesz odpowiedzieć, a tylko wargami poruszasz i nie możesz. Oni mówią, że upór. I czasem naprawdę jakaś zaciętość wybuchnie, że już wszystko jedno: niech zbiją, to się prędzej skończy. Więc wzruszysz ramionami albo coś mrukniesz pod nosem. Bo ci się po głowie same najgorsze myśli kołują i słowa brzydkie. Już wtedy nie zastanawiasz się, że to nauczyciel czy ojciec. Albo w głowie nic, tylko w piersi niema rozpacz i gniew.

Często nawet nie słyszysz, co krzyczą, ani jednego słowa nie rozumiesz. Nawet nie wiesz, o co im idzie. Tylko w uszach huczy i w głowie się mąci.

A jeszcze szarpną, pchną, uderzą. Raz uderzą albo za rękę szarpną i zdaje im się, że niebicie nie boli. Bo oni biciem nazywają katowanie dzieci. Kiedy tłuką pasem, trzymając i wałą jak zbrodniarza, a dziecko się wyrzywa i wrzeszczy:

— Już nie będę, już nie będę!

Za takie bicie — może go teraz już mniej, ale jeszcze jest — w przyszłości będą od razu do kryminału sadzali. Co czuje ten, który bije, i co czuje dziecko, nie wiem. Ale my patrzmy z obrzydzeniem, oburzeniem i zgrozą. My się nad koniem więcej litujemy niż oni nad człowiekiem.

Może myślicie, że przecież my między sobą także się bijemy. Ale my mamy małe ręce i małą siłę. I nawet w największej złości tak krwiożerczo nigdy nie bijemy... Wy naszych bójkę nie znacie. Zawsze próbujemy naprzód, kto silniejszy, i miarkujemy siłę na wiek i odpór. On mnie, a ja jego. A jak się uda obezwładnić, że się ruszać nie może, zaraz przestajemy. Albo kiedy nam kto przeszkodzi, wtedy możemy za mocno uderzyć. Albo jak się szarpiemy, uderzysz w nos, a z nosa zawsze krew leci.

My wiemy, co znaczy: boli.

(Jakiś doktor<sup>53</sup> półgłówek wymierzył, że dzieci w zakładach karnych mniej czują. Ja bym zmierzył jego wrażliwość i wyspał<sup>54</sup> pięćdziesiąt batów, bo wstyd, że takie prace uczone pisze Polak i lekarz).

Siedzę tak sobie i rozmyślam, co dawniej wiedziałem i co wiem teraz. I coraz większy żal mnie ogarnia, że my tacy mali i słabi. A najbardziej żal Mundka, że ma ojca pijaka.

Ano, już chyba będę jego przyjacielem. Jemu źle i mnie. Niech będzie braterstwo. I przez niego cierpię teraz, bo przez niego się na obiad spóźniłem.

I tak mi się w oczach ciepło zrobiło i prędko odsunąłem zeszyt, żeby nie kapnęło na zadanie. Ale nie: tylko do nosa wpłynęły, nie spadły.

Przemoc

Cierpienie, Nauka

<sup>53</sup>doktor — dziś popr.: doktor. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>wyspać (tu pot.) — wymierzyć (komuś uderzenia), zbić. [przypis edytorski]

A tu Irena podchodzi. Stanęła z daleka i patrzy. A ja na nią bokiem, bo nie wiem, czego chce. A ona stoi i nic nie mówi, potem krok bliżej i znów nic nie mówi, tylko stoi. Ja czekam, a ona coś trzyma i z ręki do ręki przekłada. Wiem, że się stanie coś dobrego, i tklivość wchodzi do serca. Cichutko się zrobiło we mnie. No i podaje mi Irenka toto. Chce mi podarować szkiełko szlifowane, że jak się przez nie patrzy, wszystko widać w różnych kolorach. Prosiłem wczoraj, nawet patrzeć nie dała, a teraz mówi:

— Masz. Na zawsze.

Czy powiedziała „masz”, nie wiem, bo nie słyszałem. Bo tylko usłyszałem:

— Na zawsze.

Tak cichutko, delikatnie, przyjemnie, wstydliwie.

Nie chciałem wziąć, bo da, a potem się pokłóci albo pożałuje i odbierze. Jeszcze się poskarży, że sam wziąłem. Bo z małymi dziećmi trudno się porozumieć, bo dorosli nam przeszkadzają. Jak oni się wyśmiewają i dokuczają, że my mali, to my — z jeszcze mniejszych. Przecież ładniej powie małe dziecko „na zawsze”, a my się z nich wyśmiewamy. Więc nie chciałem wziąć, bo nie ufam, boję się, że będę miał przykrość. I wziąłem, patrzę, a tu zamiast jednego okna, dużo okien — i różnokolorowe.

I mówię:

— Oddam ci.

A ona:

— Nie tseba.

I położyła małą rączkę na mojej dużej ręce. Patrzę na jej rękę przez szkiełko — i uśmiechnęliśmy się do siebie.

A tu mama się pyta, czy skończyłem lekcję, że mi da na tramwaj, żebym pojechał do ciotki, żeby suknię odnieść, co ją mole pogryzły. A ja, rozżalony na dom, myślę sobie:

„Dobrze, że przynajmniej trochę w domu nie będę”.

— Tylko nie zgub — mówi mama.

Pomyślałem tylko:

„Dziewczyna by może zgubiła, a nie ja”.

Bo jak nam wymawiają, że jesteśmy chłopcy, to sami nas na dziewczynki szczują. Bo co my winni? Już nas Bóg tak stworzył.

A oni ciągle:

— Chłopaki, chłopaki.

To my w odwecie:

— Dziewuchy to i to.

Jak dwa wrogie obozy.

Przecież sami wiemy, co one warte, a co my.

Ano, wziąłem suknię, co mama owinęła w płótno — i idę.

Na tramwaj długo musiałem czekać i zły jestem, bo chciałem w mig wrócić, że prędko załatwiłem. A tam się coś stało, że tramwaje się zatrzymały, więc jak już przyjechał, był pełen i jeszcze się pchają. I ja się pcham. Już się nawet trzymam za sztabę, żeby wejść, a tu jakiś jak nie odepchnie, aż się potoczyłem. Taki zły byłem, że zakląłem. A on stoi na schodku, mówi:

— Gdzie leziesz? Zlecisz!

„Jaki litościwy — pomyślałem. — Sam zlecisz, pijaku jeden”.

Ale wcale nie był pijany, tylko już w złości przezwąłem. On mnie na trzeźwo wypchnął z tramwaju, bo silny, bo duży.

Czekam, a drugi tramwaj też pełny. Zapłaciłem i jadę. Ale myślę ciągle, jak on mnie ordynarnie zepchnął. Taki ordynus, cham, a jeszcze dorosły — dzieciom przykład daje.

I znów jeden popchnął. Jakoś odgarnął mnie, jak nieżywego człowieka: mało mi suknia nie wypadła. I co ja złego takiego powiedziałem? Każdy by tak samo powiedział:

— Ostrożniej.

A on, jak nie wsiądzie na mnie:

— Ja ci dam ostrożniej!

Powtórzyłem tylko:

— No, bo ostrożniej.

A on swoją łapą pod brodę.

Mówię:

— Niech pan puści.

A on:

— To nie urągaj!

Mówię:

— Nie urągam.

A tu jakiś stary się wtrąca. Nic nie wiedział, nic nie wie i zaczyna:

— Takie to teraz wychowanie! Starszemu łobuz nie ustąpi!

Powiadam:

— Bo nie mówił, żeby ustąpić.

A ten do mnie:

— Już ja ci powiem, szczeniaku!

— Nie jestem szczeniakiem, tylko człowiekiem, a pan nie ma prawa się pchać.

— Będziesz mnie uczył, co mam prawo!

— Bo pewnie.

Serce mi bije i w gardle dławi. Niech będzie awantura. Nie dam się! A tu się ludzie zaczynają patrzeć. Dziwią się, że mały, a tak się odgryza.

— No a co mi zrobisz, jak ci dam tak po uszach?

— Zawolałem milicjanta<sup>55</sup> i każę pana aresztować, że pan awantury w tramwaju wyrabia.

A tu jak się wszyscy nie zaczęli śmiać. I on też. Już się nawet nie gniewają, tylko się śmieją, jakbym jakiś żart powiedział. Aż z ławek wstają, żeby na mnie popatrzeć. Już nie mogę dłużej, więc mówię:

— Przepraszam, już chcę wyjść.

A on mnie zatrzymuje.

— Dopiero wsiadłeś — powiada. — Pojedź sobie trochę.

A tam siedzi gruba, rozwalona i mówi:

— A to rak zajadły!

Już nie słyszałem nawet, co każdy dogryzał.

— Chcę wyjść! — krzyczę.

On nic.

— Zdążysz — mówi — młody jesteś. Co ci tak pilno?

Krzyknąłem z całej siły:

— Panie konduktorze!

Dopiero jeden się ujął:

— No, puśćcie go już, panowie!

I wyszedłem, a wszyscy patrzą jak na jakieś dziwo. Pewnie jeszcze z pół godziny się wyśmiewali.

Każą nam ich szanować, ciekaw jestem za co. Ordynusy tylko. Przykazanie mówi: „Czcij ojca”, a nie każdego, że się wcześniej urodził. Sztuka wielka. A co ma robić Mundek, jak ma ojca pijaka? „Szczeniak, rak zajadły, łobuz, złe wychowanie”. Ano, dajcie przykład dobrego wychowania. A jak nauczyciel podczas lekcji całą godzinę w nosie dłu-bał? Co się ma przed szczeniakami krępować? A jeszcze nas smarkaczami nazywają. Byle ubliżyć i poniżyć. Czy dziw, że potem dzieci jak wyrosną, tacy rozjuszeni po świecie chodzą?

My przytomni jesteśmy, wiele widzimy, wiemy, więc domyślamy się, przeczuwamy. Tylko musimy udawać, bo nam usta zamurowali.

Pan na lekcji w nosie dłu-bie, a pani odwróci się do okna, ukradkiem wyjmie lustro i usta sobie maluje. Czy myśli, że my ślepi jesteśmy, jak siedzi nas czterdzieścioro? Dlaczego przy inspektorze tak nie zrobią?

I dziwią się, że im czasem na złość co się zrobi.

<sup>55</sup>*milicjant* — formacja, która pilnowała porządku w przedwojennej Polsce, nosiła nazwę policji, ale jej funkcjonariuszy autor nazywa często milicjantami. *Milicja* i *policja* to wyrazy bliskoznaczne, oba oznaczają zorganizowaną grupę ludzi przygotowanych do walki, których obowiązkiem jest pilnować porządku i zapewniać spokój w społeczności, np. w mieście czy w państwie. Nazwa *policja* pochodzi od łac. *politia* i gr. *politeia*, a te słowa oznaczały pierwotnie sztukę zarządzania miastem, utrzymywania porządku w mieście, zaś *milicja* wywodzi się od łac. *militia*, co znaczyło: służba wojskowa. W Polsce przed II wojną światową używano obu tych słów, w latach 1944–1990 stróżów prawa nazywano oficjalnie Milicją Obywatelską, a potem przywrócono nazwę Policja. [przypis edytorski]

Bo czujemy przecie, że nas psują. Morały mają tylko na języku, a wychowują w nas fałsz i służalczość. Żeby, jak dorośniemy, pomiatać słabszym, a płaszczyć się przed silniejszym.

Jak się chwalił pruski nauczyciel, że to on wygrał bitwę pod Sedanem<sup>56</sup>. A nad Marną<sup>57</sup> dostał w skórę, a my zwyciężyliśmy, kiedy szkół u nas prawie nie było.

Idę z tą suknią pod pachą, a tak mi się dorosłe myśli płaczą z dziecięcym bólem i obrazą. Tylko cztery przystanki przejechałem, do ciotki jeszcze daleko, ale wolę klusem lecieć niż z nimi się użerać.

A w domu mama jak na złość:

— Coś tak długo siedział?

Nic nie odpowiedziałem. Bo mi się nagle zdawało, że mama wszystkiemu winna. Gdybym już z domu nie wyszedł rozdrażniony, może bym w tramwaju nie robił awantury. Tyle razy się ustępuje, byłby jeszcze raz. A przysłowie, jak na kpiny — mówi, że mądry ustępuje głupiemu. Szukaj teraz mądrego.

Zal mi, że dzień tak się ładnie zaczął, a tak marnie skończył.

Już leżę, a zasnąć nie mogę, tylko dalej myślę:

„Już tak widać być musi. W domu nie bardzo dobrze, a świat jeszcze gorszy. Więc takie im się śmieszne zdawało? Więc jak jestem mały, nie wolno mi podejść do milicjanta, tylko mogą spychać z tramwaju, szczypać pod brodę i grozić obiciem.

Czy wreszcie dzieci są ludźmi, czy nie? I już nawet nie wiem, czy cieszyć się, że jestem dzieckiem, czy się cieszyć, że śnieg znów biały, czy smucić się, że jestem słaby”.

Aż na pomoc przychodzi marzenie. Bo ile razy zbyt ciężko żyć na świecie, zawsze przychodzi pocieszenie w przyjemnej jakiejś myśli. Zacznie się tak:

„Jakby to dobrze było, gdyby...”

I już dalej — dalej, jakby naprawdę tak było.

„Więc niby, że dalej jestem dzieckiem, ale silny jak dorosły. Nie, jak Pytlasiński<sup>58</sup>. Siłacz jestem. I jak on mi powiedział w tramwaju, że da po uszach, ja mówię:

— Proszę bardzo.

A jak go nie ścisnę za rękę, aż podskoczył z bólu:

— Puść! — krzyczy.

A mówię:

— Przecież miał pan dać po uszach. Jeżeli jestem szczeniak, niech pan mnie uderzy.

I jeszcze więcej ściskam. On się drugą ręką zamierza, ja za drugą.

— Puść — puść w tej chwili!

— Jak pan przeprosi, to puszczę”.

Przyjemnie było myśleć i rozmaicie układać. Bo przecie w drugiej ręce trzymałem suknię, więc nie mogłem drugą też go trzymać.

Dorośli się dziwią, że chłopcy chcą być silni.

A czy lew silniejszy od niedźwiedzia? A czy najsilniejszy człowiek może się obronić, jeżeli go stu ludzi napadnie? A czy kierownik silniejszy, czy nauczyciel gimnastyki? Kto najsilniejszy w klasie, w całej szkole? W całej Polsce? Kto kogo położy, kto prędzej, kto dalej, kto wyżej — dobiegnie, rzuci, skoczy?

To nie głupia dziecinna ciekawość, nie zabawa, ale próba, przed kim się potrafimy obronić.

Dorośli nie wiedzą, ile młodszy cierpi od starszego i silniejszego. Wyrwie ci z ręki i ucieka, uderzy i śmieje się jeszcze, bo wie, że mu nic nie zrobisz, zepchnie z miejsca, odepchnie, chociaż byłeś pierwszy, palto ci zrzuci z wieszaka, przezwie, obrazi, czapkę z głowy zerwie, zepsuje zabawę, nie pozwoli popatrzeć. A ty nic, chyba się rzucisz jak oszalały, no i obje cię jeszcze. A zawsze się łatwiej wykręci, bo sprytniejszy. I nie zawsze

<sup>56</sup>*Sedan* — miejscowość w płn. Francji, przy granicy z Belgią; w 1870 r. pod Sedanem cesarz fr. Napoleon III poddał się wojskom niemieckim, pozostawiając im wolną drogę do Paryża, czego konsekwencją był wybuch Komuny Paryskiej. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*Marna* (fr. *Marne*) — rzeka w środkowej Francji, wpada do Sekwany w pobliżu Paryża; nad Marną odbyły się w czasie I wojny światowej dwie ważne bitwy: we wrześniu 1914 r. i w lipcu 1918 r., obie zakończyły się przegraną Niemców. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*Pytlasiński, Władysław* (1863–1933) — mistrz świata w zapasach. [przypis edytorski]

nawet powiesz, poskarżysz się, bo ci nic nie pomogą, a on mścić się będzie. Co chcą, robią z nami.

Jeżeli jesteś zwinny, jeszcze mu coś krzykniesz albo dasz raz i uciekniesz.

Nie ma wśród nas prawa i sprawiedliwości. Żyjemy jak ludzie przedhistoryczni... Jedni napadają, a drudzy kryją się i uciekają. I pięść, i kij, i kamień. Nie ma ani organizacji, ani cywilizacji. Bo niby jest, ale dla dorosłych, ale nie dla dzieci.

Mowa nasza uboga i niezdana (tak wam się zdaje), bo niegramatyczna. Dlatego zdaje wam się, że mało myślimy i gorzej odczuwamy. Wierzenia nasze naiwne, bo wiedzy książkowej nie mamy, a świat taki wielki. Tradycja zastępuje nam prawo pisane. Obrzędów naszych nie rozumiecie i w sprawy nasze nie wnikacie.

Żyjemy jak ludek małosrosły, ujarzmiony przez wielkoludów kapłanów, którzy posiadają siłę mięśni i wiedzy tajemnej.

Jesteśmy klasą upośledzoną, którą pragniecie utrzymać przy życiu ceną najmniejszych zrzeczeń, najmniejszego wysiłku.

Jesteśmy tworamami bardzo a bardzo złożonymi, przy tym w sobie zamknięci, nieufni i skryci, i nic wam nie powie mędrca szkiełko i oko, jeśli nie macie wiary w nas i odczuwania z nami.

I badać nas winien etnolog, socjolog, przyrodnik, a nie pedagog, demagog.

A bratem jedynym wśród was jest artysta, życzliwy ludowi naszemu w chwili natchnienia, rzadkiej, kapryśnej, wyjątkowej chwili. Wówczas przypomina wam dziecko. Ale i on tylko — bajkę nam opowie.

No tak: kierujecie się względem nas humorem, rzadko dobrym, często złym.

Smutny się obudziłem.

## ŁATEK

Obudziłem się smutny.

Kiedy się jest smutnym, nie jest źle. Smutek — to łagodne i przyjemne uczucie. Dobre myśli przychodzą do głowy. Żal wtedy każdego: i mamy, że jej mole suknię zniszczyły, i taty, że pracuje, i babci, że staruszka i niedługo umrze, i pieska, że mu zimno, i kwiatka, że listki zwiesił i pewnie chory. Chce się pomóc każdemu i samemu chce się poprawić.

Przecież lubimy smutne bajki także, to znaczy, że potrzebny nam smutek, który jest jakby aniołem, który stanie i patrzy, i rękę na twojej głowie położy, i jakby skrzydłami oddycha.

Chciałby człowiek być sam albo z kimś jednym porozmawiać o różnych rzeczach.

I boi się, że mu ktoś ten smutek zepsuje, nie zepsuje, ale spłoszy.

Stałem przy oknie, a na szybach porobiły się w nocy piękne kwiaty. Nie kwiaty, ale liście. Palmy takie. Dziwne liście, dziwny świat. Bo dlaczego tak się stało, skąd to się wzięło?

— Dlaczego się nie ubierasz? — pyta się ojciec.

Nic nie odpowiedziałem, tylko podchodzę do ojca i mówię:

— Dzień dobry.

I pocałowałem ojca w rękę, a on się na mnie spojrział.

Już teraz prędko się ubieram. Zjadłem i idę do szkoły.

— Co ty tak dziś pędzisz do szkoły? — pyta się mama.

— Wstąpię do kościoła — powiadam.

Bo sobie przypominałem, że nie bardzo się modłę, i przykro mi się zrobiło.

Więc wychodzę przed bramę i patrzę, czy Mundek nie idzie. Ale nie.

Woda pozamarzała. Już chłopcy wyrabiają ślizgawkę. Żeby wyslizgać na gładko. Z początku mały kawałek, a potem coraz dalej — i już wszyscy mogą się ślizgać.

Przystanąłem, ale nie. Idę dalej.

I zamiast Mundka spotykam Wiśniewskiego. A on:

— Te, trypsztyk, jak się masz?

Nie zrozumiałem najprzód<sup>59</sup>, czego chce. Dopiero sobie przypominałem, że daje mi nowe przezwisko. Od tego rysunku wtedy. Że tryptyk narysowałem.

Mówię:

<sup>59</sup>najprzód (daw.) — naprzód, z początku. [przypis edytorski]

— Odsuń się.

A on staje na baczność, salutuje i mówi:

— Rozkaz!

Widzę, że szuka zaczepki, więc przechodzę na drugą stronę. A on mnie jeszcze tylko pchnął — i zaraz skręciłem w poprzeczną ulicę.

„Mam czas — myślę sobie — obejdę naokoło”.

Niechętnie idę do szkoły. Tam zaraz krzyk, popychają, każdy coś mówi. Czasem umyślnie idzie się powoli albo dalszą drogą, żeby od razu zaczęła się lekcja. Przyjemnie przyjść akurat na dzwonek, bo zaraz pan wchodzi i jest spokój. Żeby mieć zegarek, toby można wyliczyć, a tak to się spóźnić nawet można.

Ale nic. Jeszcze w jedną ulicę skręciłem. Jakby mnie tam ktoś wołał, jakby mnie coś pchało. A bywa, że człowiek coś robi i sam nie wie dlaczego. I wychodzi na złe albo na dobre. Jak wyjdzie na złe, mówi się, że skusiło. Bo dopiero aż później dziwi się: dlaczego tak zrobiłem?

Więc sam nie wiem, ale więcej okrążam, zupełnie inną drogą. Ano, idę, a tu nagle stoi na śniegu piesek.

Taki mały, taki wystraszony. Stoi na trzech łapkach, a czwartą trzyma w powietrzu. I drży — i trzęsie się. A ulica pusta. Tam gdzieś tylko ktoś idzie.

Stoję i patrzę na niego, i myślę, że go pewnie wygnali, a on nie wie, gdzie iść. Biały, tylko jedno ucho ma czarne i koniec ogonka czarny. I ta łapka mu wisi, i żałośnie patrzy na mnie, żebym się zaopiekował. Aż podniósł ogonek, ale tylko dwa razy jakoś smutnie zakiwał. Tylko w jedną i w drugą stronę, jakby nadzieja w niego wstąpiła. I do mnie. Ale widać, że go boli. Tak mi się zdawało. I znowu stoi i czeka. I to czarne ucho postawił do góry, a białe zwieszono. I zupełnie jakby prosił, ale się jeszcze boi. Obliznął się — pewnie głodny — i patrzy tak błagalnie.

Ja na próbę idę parę kroków, a on za mną. Tak na tych trzech łapkach utyka, a co się obejrzę, przystaje. Przyszło mi na myśl, żeby tupnąć nogą i zawołać „do domu”, żeby zobaczyć, dokąd pójdzie. Ale mi go żal było, więc nie krzyknąłem, tylko mówię:

— Idź do domu, bo zmarzniesz.

A on już prosto do mnie.

Co tu robić? Przecież go nie zostawię, bo zmarznie.

A on podszedł — no, podszedł<sup>60</sup> — zupełnie blisko i pokornie przywarł do ziemi i drży. I już pewien jestem — już jestem zupełnie pewny, że mój Łatek jest bezdomny. Może już całą noc się błąkał? Może to już ostatnia jego godzina wybiła? I ja akurat zupełnie inną drogą idę do szkoły, i akurat mogę go uratować w tej ostatniej godzinie.

Biorę go na rękę, a on mnie poliznął. Cały zimny, a języczek tylko trochę ciepły. Więc prędko rozpinam palto — i pod palto go — tylko mu łebek wyścibiłem, sam aby pyszczek, żeby mógł oddychać. A on pogrzebał łapkami, aż się tam o coś zaczepił, żeby nie wypaść. A ja chcę go podtrzymać, ale się boję, żeby mu łapki nie urazić, więc go ręką objąłem, a tu mu serce bije tak, aż się tłucze.

Żeby wiedział, że mama pozwoli, tobym jeszcze zdążył do domu. Co by szkodziło, żeby sobie był? Ja bym go ze swego karmił. Ale się boję wracać do domu, a do szkoły mnie z nim nie wpuszczą. No, a on już się wygodnie ułożył pod paltem i przestał się ruszać, i śleпки przymrużył, i ja go tak pod paltem trzymam, to mi w rękaw w górę trochę podszedł, a on nawet nie chce oddychać powietrzem, tylko wsunął mordkę w rękaw i chucha. I już się cały robi cieplejszy. Pewnie zaraz zaśnie. Bo jak całą noc na mrozie i nie spał, to teraz na pewno już zaśnie. I co ja wtedy zrobię?

Rozglądam się, a tu sklepik. Myślę:

„Co będzie, to będzie. Wejdę. Może się z tego sklepu zabłąkał? Spytałem się”.

Wiem, że nie, ale próbuję<sup>61</sup>, bo co miałem robić?

Więc wchodzę i pytam się:

— Czy to nie pani piesek?

A ona spojrzała i mówi:

— Nie.

<sup>60</sup>podszedł — dziś popr. forma 3 os. lp cz.przesz. r.m.: podszedł. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>próbować — dziś popr.: próbować. [przypis edytorski]

Ale ja nie wychodzę. Żebym miał pieniądze, tobym mu mleka kupił.

A ta pani mówi:

— Pokaż no go.

Ja ucieszony przedziutko go wyjmuję, a on już śpi. I mówię:

— Ooo.

A ta pani jakby się czegoś namyślała i mówi znów:

— Nie, nie mój.

A ja:

— Może pani wie czyj? Bo musi tu być z niedaleka.

A ona:

— Nie wiem.

Więc mówię:

— Jemu zimno, proszę pani.

I tak go trzymam, a on się nawet nie ruszył, tak — mocno śpi. Żebym nie czuł, tobym myślał, że umarł — że martwy już.

A wstydzę się powiedzieć, żeby go choć tymczasem wzięła, że go potem zabiorę. I przyszło mi do głowy, że jak nie, to może go pan woźny u siebie zatrzyma przez lekcję. Bo ten z pierwszego piętra jest zły, ale z drugiego dobry: rozmawia, żartuje z nami i ołówki temperuje.

A pani mówi:

— Ty na tej ulicy mieszkasz?

Niby że mnie nie zna i nic nie kupuję, więc po co stoję?

— No, idź już, idź — mówi — do szkoły cię matka posłała, a ty psem się bawisz.

I drzwi dobrze zamknij.

Myślała, że jak taki zafrasowany, to pewnie zapomnę drzwi zamknąć i zimna napuszczę. Bo każdy myśli tylko, żeby jemu ciepło było. A przecie<sup>62</sup> pies też boskie stworzenie.

Wychodzę i już nie wiem, co robić, ale jeszcze próbuję:

— Niech pani zobaczy, taki biały, nie parszywy wcale.

Ale ręką zasłaniam, że ma łapkę kulawą. A może mu tylko zmarzła?

A ona:

— Nie zwracaj ty mi psem głowy.

Masz: już głowę zwracam. Niby to moja wina, że pies marznie na mrozie.

Ano, trudno. Jeżeli się pan woźny nie zgodzi, to niech sam go wyrzuci.

I chłopcy zaraz wrzasku narobią na całą szkołę:

— Ooo, psa — psa przyniósł!

I nauczyciel jaki usłyszy. A trzeba w tajemnicy. A ja tyle czasu niepotrzebnie straciłem, więc prędko pakuję go nie pod palto, ale pod kurtkę, już nawet nie zważam, że mu będzie duszno. I pędem do szkoły. Bo pan woźny na pewno się zgodzi. Pożyczę od kogo i dam na mleko dla mojego Łatka.

Łatkiem go nazwałem.

Pędzę tak, a on się już zupełnie rozgrzał. Przez koszulę — tak go sobą zagrzałem — i dopiero się zbudził, i zaczyna drapać, kręcić się, aż nosek wyscibił i szczeknął — nie szczeknął, ale mruknął — taki głos wydał, że mu dobrze i że dziękuje. Z początku zimno od niego szło mi w piersi, a teraz już on mnie grzeje. Jakbym dziecko tulił. Nachyliłem się i pocałowałem, a on oczy przymrużył.

Dopiero ja od razu do woźnego:

— Proszę pana, niech pan go schowa! Taki był zmarznięty.

— Kto zmarznięty?

— On.

Zobaczył, że psa trzymam. Zrobił się markotny.

— A ty skąd go wzięłeś?

— Z ulicy.

— Po coś go brał — cudzego psa?

— On bezdomny. Łapkę ma przetrąconą.

— No i gdzie ja go schowam? Po coś go ruszał? Może on tam miał kogo?

<sup>62</sup>przecie — dziś: przecież. [przypis edytorski]

— Nikogo — mówię. — Wszystkich się pytałem. Jakby miał, toby go w mróz z domu nie wyginali.

A on:

— Parszywy może jaki.

— Co też pan mówi! Bielutki.

Niby się obraziłem, a cieszę się, bo jak weźmie do oglądania, to zatrzyma.

Ale już któryś zobaczył, więc prędko go pod kapotę. A pan woźny mówi mu:

— Odejdź. Patrz, buty masz zaśnieżone.

I odpędził. I jeszcze nie chce. Mówi:

— Jak was tu tyle i każdy mi zacznie psy z ulicy znosić?

— Proszę pana, tylko na parę godzin. Ja go zaraz wezmę do domu.

— Akurat ci pozwolą.

Mówię:

— Pójdę na tę ulicę, może się kto przyzna do niego.

Podrapał się w czoło, a ja myślę „dobrze”.

Jeszcze marudzi:

— Mało tu mam z wami — powiada — jeszcze z psami.

No i wziął. Ludzki człowiek. Ten z pierwszego piętra by nie wziął — jeszcze by n wymyślał.

No i wziął. A już chłopcy zaczęli się gromadzić. A mój Łatek jakby rozumiał, bo ani drgnie, tylko na mnie patrzy. I już był dzwonek. I Łatka tymczasem umieściłem, i nie spóźniłem się do klasy. I lekcja się zaczęła.

Siedzę, ale mi smutno. Bo chociaż Łatkowi teraz ciepło, ale pewnie głodny.

Siedzę, ale myślę, skąd zdobyć pieniądze na mleko dla Łatka.

Siedzę, ale myślę, że spałem całą noc w ciepłym łóżku i ani wiedziałem, że psina na mrozie nocuje i że choćbym wiedział, to i tak nic nie poradzę. Bo co? Przecież się nie ubiorę, nie pójdę w nocy Łatka po ulicy szukać.

Siedzę, ale mi smutno, że mógłbym tym smutkiem całą klasę obdzielić. Już chyba nigdy nie będę się z chłopakami ganiał. Bo wczoraj bawiliśmy się a to w konie, a to w polowanie. Takie dziecinne zabawy. Nikomu pożytku nie przyniosą. Żeby mi pozwolili wziąć mego pieska do domu, tobym się przynajmniej zaopiekował. Wykąpałbym go, wycesał, musiałby być bielutki jak śnieg. Jakby chciał, tobym go różnych sztuk nauczył. Ale cierpliwie, żeby nie bić. Nawet bym na niego nie krzyczał. Bo słowo często tak samo boli jak uderzenie.

Jeżeli się lubi nauczyciela, to nawet najmniejsza uwaga boli. Powie tylko:

— Nie kręć się.

Albo:

— Nie rozmawiaj.

Albo:

— Nie uważasz.

I już ci przykro. Zaraz patrzysz, czy tak sobie tylko powiedział i zapomni, czy już się gniewa.

A Łatek będzie mnie lubił, więc jak źle jaką sztukę zrobi — no, powiem mu, że źle, ale zaraz pogłaszcę, a on zamerda ogonkiem i będzie się starał.

Nie będę drażnił, nawet na żarty, żeby go nie przyuczać do złości. Bo to dziwne, dlaczego przyjemnie drażnić psa, żeby czekał. I ja wczoraj kota postraszyłem. I przypomniałem sobie, i wstyd mi się zrobiło. I co ja od niego chciałem? A jemu pewnie też serce mocno ze strachu biło. I czy koty naprawdę są fałszywe, bo może tylko tak mówią?

A pani mówi:

— Czytaj dalej.

Niby ja.

A ja ani wiem co, bo nawet książki nie otworzyłem.

Stoję jak głupi. Oczy wytrzeszczyłem. I żal mi i Łatka, i siebie.

A Wiśniewski mówi:

— Trypszyk wrony łowił<sup>63</sup>.

<sup>63</sup>wrony łowić (pot. przen.) — zamyślić się, nie uważać. [przypis edytorski]



Aż mi łzy napłynęły do oczu, więc spuściłem głowę, bo nie chciałem, żeby kto widział.

Pani się nie gniewała, tylko mówi:

— Książki nawet nie otworzyłeś. Chyba cię za drzwi postawię.

Powiedziała pani: „postawię”, a nie „wyrzucę”.

Ale nie wyrzuciła, tylko:

— Stój w ławce.

Nawet nie w kącie.

Musiała się pani domyśleć, że coś się ważnego stało. Bo żebym ja był panią, a chłopiec by siedział nad zamkniętą książką, tobym się zapytał, co ma za zmartwienie, co się z nim porobiło.

No, a gdyby się pani spytała, dlaczego nie uważam, czybym powiedział? Przecież nie. Bo co to panią może obchodzić. Jak lekcja — to lekcja. No i nie mogę zdradzić pana woźnego.

A pani powiedziała:

— Stój w ławce.

A potem jeszcze mówi:

— A może wolisz za drzwiami?

Ja taki czerwony, nic nie odpowiadam. A oni zaraz w krzyk. Jedni mówią:

— Chce za drzwi.

A drudzy:

— Nie woli, proszę pani!

Byle co, zaraz sobie zabawę robią, kontenci<sup>64</sup>, że się lekcja przerwała. Nie pomyślą, że człowiekowi przykro i boi się, że panią rozgniewają.

No i dzwonek, i tak się skończyło. A ja lecę do pana woźnego.

Ale mnie woźny z naszego piętra zatrzymał — ten zły.

— Gdzie? — pyta się. — Nie wiesz, że nie wolno?

Więc już się boję, ale myślę:

„Pożyczę skądciś dziesięć groszy na mleko”.

Może od Bączkiewicza? On zawsze ma pieniądze. Ale nie da, bo go mało znam. I jak raz od niego chcieli pożyczyć, powiedział:

— Będę ci pożyczał, pętaku.

Myślę tak: „Może ten — może ten” — i rozglądam się. Ale przypominam sobie, że mi przeciw Frankowski winien pięć groszy. Szukam, a on się bawi — ucieka.

— Słuchaj, oddaj mi pięć groszy.

— Odsuń się — mówi — nie przeszkadzaj.

— Ale mnie potrzebne.

— Później, teraz nie mogę.

— Ale mnie potrzebne!

— Mówię ci, że później! Nie mam teraz.

Widzę, że się złościć zaczyna, no i nie ma, więc co mu zrobię. Mundek też.

Nie ma rady, idę do Bączkiewicza. Jego ojciec ma sklep: bogaty.

A on:

— Na co ci?

Mówię:

— Koniecznie mi potrzeba.

A on:

— A kiedy oddasz?

— Jak będę miał.

Bo co mam mówić. Inny powie:

— Jutro.

I nic sobie z tego nie robi. Jeszcze naurąga<sup>65</sup>, jak się upominać. Powie:

— Odczep się.

<sup>64</sup>kontent (daw., z łac.) — zadowolony. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>naurągać — nakrzyżdeć, nawymyślać, obrazić brzydkimi słowami. [przypis edytorski]

Dorośli, żeby najbiedniejsi, mają choć dwadzieścia groszy, a my dla pięciu groszy musimy się czasem męczyć. Bardzo przez to cierpimy, że nie mamy choć najmniej, ale stale. Żeby z góry wiedzieć, że będą.

— No co, pożyczysz?

— Kiedy nie mam.

— Masz — mówię — tylko nie chcesz dać.

Gdybym powiedział na co, toby dał. A może powiedzieć?

A on:

— Napożyczałem już, a nikt mi nie oddaje. Idź do Franka: już miesiąc winien mi dwadzieścia pięć groszy.

A Franek nikomu nie oddaje, więc się skrzywiłem, ale nie mam rady.

Szukam, ale znaleźć nie mogę. Bo gdzie? W takim tłoku?

A Bączkiewicz nawet dobry, nie lubi odmawiać. Tylko ciekawy: wszystko lubi wiedzieć. I sam mnie zaczepia:

— Co, dał?

— Nie wiem, gdzie jest.

Pomyślał trochę i mówi:

— Powiedz, po co ci?

— To dasz?

— Dam.

— A masz?

— Mam, ale chcę kupić dyktę; chcę ramkę zrobić.

Więc mu prędko powiedziałem i przekradamy się na drugie piętro razem, a tu dzwonek. Trzeba iść do klasy.

Niespokojny jestem. Łatek głodny, może zacznie piszczeć, skomleć i pan woźny weźmie go i wyrzuci.

Nazwałem go Łatkiem. Ale teraz myślę, że niedobrze. Wygląda jakby przezwisko. Pies nie rozumie co prawda, ale człowiekowi byłoby przykro. Może go Śnieżek nazwał, że go na śniegu znalazłem? Albo Bielas — Bielasek. Albo coś od zimy.

Myślę tak, jakbym już wiedział, że mi go trzymać pozwolą.

Ale pani ze sklepu i woźny mówili, że ma właściciela, więc może się przepytać chłopaków koło tej bramy. Ale tam nawet bramy blisko nie było. I przyzna się który, że jego, a nieprawda: pobawi się i znów na mróz wyrzuci. I choćby naprawdę, i tak o niego nie dbają, kiedy go wygonili. A może sam uciekł? Przecież go nie znam, nie wiem, jaki jest. A młode psiaki są psotne. Może co zbroił, bał się kary i uciekł sam z domu.

Męcę się, bo nie wiem, co robić. Bo i to, i to, i to — jakbym miał dziecko, taki skłopotany siedzę. A Śnieżek myśli pewnie, że o nim zapomniałem. A pies tak samo żyje jak dziecko. Dziecko płacze, a pies skomle żałośnie. I szczeka z gniewu albo z radości. I bawi się tak samo. I patrzy w oczy, i dziękuje, polize — i warczy; jakby ostrzegał i mówił „prześtań”.

Ale sobie przypomniałem, że lekcja i trzeba uważać, bo już i tak w ławce stałem.

Kiedy byłem dorosły, myślałem, że łatwo być pilnym uczniem, uważać na lekcjach i dobrze się uczyć. A teraz dopiero widzę jak trudno. Kiedy byłem nauczycielem, a miałem zmartwienie, też na lekcji nie uważałem, a nikt mnie do kąta nie stawiał. Przeciwnie nawet: wtedy surowszy byłem i ciszej być musiało w klasie, żebym się mógł martwić wygodnie.

Oj, Bielasku, Bielasku! Mały jesteś i słaby, więc poniewierają, lekceważą cię. Nie jesteś wodołazem, który ratuje tonących, albo bernardynem, który w górach zmarzniętych ze śniegu wykopuje. Ani psem Eskimosa. Ani nawet mądrym pudlem jak pudel wuja.

Pójdę z moim pieskiem do wuja, niech się zaprzyjaźni. Bo pies też lubi towarzystwo.

Myślę: „Pójdę do wuja”. Nie myślę, ale marzę. Bo na pewno mi go wziąć nie pozwolą.

Dorośli powie dziecku: „Nie wolno, nie można” — i zaraz zapomni. Nawet nie wie, jaki ból zadaje.

Kiedy chciałem być dzieckiem, myślałem tylko o zabawie i że dzieciom wesoło, że o niczym nie myślą i nic ich nie obchodzi. A przecie większy mam teraz w duszy niepokój

o jednego pieska na trzech łapkach niż dorosły o całą rodzinę. Alem<sup>66</sup> się wreszcie doczekał dzwonka.

No i dajemy panu woźnemu dziesięć groszy na mleko. A on mówi.

— Czekalbym tam na wasze dziesięć groszy! A patrzcie tylko, co ten pies narobił.

I prowadzi nas, a tam Łatek zamknięty piszczy w ciemnej komórce.

— To nic — mówię. — Czy można tą ścierką, to wytrę?

I wytarłem, i nawet wcale się nie brzydziłem.

A Bielasek mnie poznał, bo się ucieszył. Mało na korytarz nie wyleciał. Tańczy w kółko i podskakuje. Całkiem zapomniał o swojej biedzie i niebezpieczeństwie. Już może teraz by leżał rozciągnięty i nieżywy na zimnym śniegu.

— No, wynoście się — powiedział pan woźny, ale się zaraz poprawił i mówi:

— No, idźcie już, bo nie mam czasu.

Bo dorosłemu nikt nie powie „wynoś się”, a dziecku często się tak mówi. Zawsze jak dorosły się krząta, to dziecko się płacze, dorosły żartuje, a dziecko błaznuje, dorosły płacze, a dziecko się maże i beczy, dorosły jest ruchliwy, dziecko wiercipięta, dorosły smutny, a dziecko skrzywione, dorosły roztargniony, dziecko gawron, fujara. Dorosły się zamyślił, dziecko zagapiło. Dorosły robi coś powoli, a dziecko się guzdrze. Niby żartobliwy język, a przecie niedelikatny. Pędrak, brzdąc, malec, rak — nawet kiedy się nie gniewają, kiedy chcą być dobrzy. Trudno, przyzwyczailiśmy się, ale czasem przykro i gniewa takie lekceważenie.

Słowo, Grzeczność

Biedny Bielasek (a może lepiej — Śnieżek?), znów dwie godziny ma siedzieć w ciemności zamknięty.

— A może by go trzymać pod bluzą, może będzie spokojny?

— Głupiś<sup>67</sup> — powiedział pan woźny i zamknął na klucz.

A Mundek spotyka i mówi:

— Co ty masz za tajemnice?

Zazdrosny, że nie wie. Więc mu powiedziałem.

— To taak? To ty jemu wpierw powiedziałaś?

— No, musiałem, bo nie chciał pożyczyć na mleko.

— Wieceem, wieceem.

Żal mi Mundka, bo i mnie byłoby przykro, gdyby innemu naprzód powiedział. Ale na dużej pauzie pytam go się:

— No, chcesz iść zobaczyć?

A tu na drugim piętrze chłopaki papierosy palili i idzie śledztwo, kto palił, kto na drugie piętro wchodził. (A nie mówi się „wchodził”, tylko „łaził”).

A nasz woźny mówi:

— Ciągłe ich zganiam, a oni się przekradają.

I patrzy na nas. A ja się schowałem za Tomczaka. Boby od razu poznali, bo się zrobiłem czerwony. Od razu mi się gorąco zrobiło. A dorośli, jak dziecko o coś pytają, a ono się zająknie i zaczerwieni, zaraz myślą, że kłamie albo że winien. A my się od samego podejrzenia rumienimy ze wstydu, ze strachu albo w ogóle serce mocno tłucze. A niektórzy jeszcze mają zwyczaj, że każą w oczy patrzeć. No a są tacy, co winien, a prosto w oczy patrzy i łże, aż się kurzy. Takim dobrze. Bo najgorzej się dzieje dziecku wrażliwemu. Niewinne, a cierpi. Bo dorośli krzyczą na wszystkich. Zaraz mówią: „wy”.

„Wy zawsze. Wy nigdy. Wy wszystkie”.

Krzyczą i grożą wszystkim:

„Już ja was znam! Wasze wykręty! Ja już teraz z wami!”

I wrażliwy boi się, żyje w ciągłym strachu. Jak zając. Bo zając nawet jak śpi, boi się. A i my też mamy sny niespokojne. I budzimy się w strachu.

Skrzypnie coś w nocy, to się zdaje, że chodzi albo duch, albo morderca. Albo się coś w oknie pokaże, albo się coś białego rusza. Nakryjesz się kołdrą na głowę, spocony, oddychać się boisz, tylko myślisz:

„Co będzie, jak mnie dotknie jaka zimna ręka?”

Najstraszniejsze bajki się wtedy przypominają, różne wiadomości straszne z gazety.

Strach

<sup>66</sup>alem się doczekał — dziś: ale się doczekałem. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>głupiś — dziś: jesteś głupi. [przypis edytorski]

Bo nie tylko w bajkach dzieją się straszności. Bo są przecie ludzie bez nóg, bez nosa, bo człowiek może oslepnąć, zwariować, bo idzie sobie ktoś po ulicy, nagle się przewróci i zaczyna się rzucać, a z ust mu piana leci; zupełnie szedł, jak wszyscy, i nagle tak się stało. Zbierają się ludzie i radzą, a ciebie odpychają. A ty nie chcesz, a musisz patrzeć: jak skamieniały.

A czarna ospa, galopujące suchoty, a egipskie zapalenie oczu, gangrena, zakażenie krwi? Nie zwraca się na te strachy uwagi. Bo dorośli umyślnie dużo rzeczy mówią, żeby dzieciaki słuchały i zanadto nie dokazywały. A ty widzisz, że cię samochód nie przejechał, żeś z okna nie wypadł, nogi nie złamali, oka nie wybili. No i przestajesz im wierzyć. Zresztą nie można ciągle być tylko ostrożnym.

Ale niech przyjdzie taka noc, wszystko się od razu przypomina. A tu wszyscy śpią, a tu ciemno albo księżyc świeci. Więc się znów boisz, że może zaczniesz we śnie po ścianach i po dachach chodzić.

Dziwne. Raz jest się tak odważnym, że w największy bój albo w nocy na cmentarz, a raz znów byle głupstwo nastraszy. I trudno powiedzieć, czy się jest odważnym, czy tchórzem.

I w ogóle bardzo trudno wiedzieć, jakim się jest naprawdę. Bo jak zadam sobie pytanie: czy jestem porządny, tak jak chłopak powinien, sam nie wiem. Bo sobie przypomnę różne tajemnice, ale zaraz myślę:

„A inni są przecie gorsi”.

Nawet jeżeli się zdaje, że ktoś porządniejszy ode mnie, lepszy, toć przecie<sup>68</sup> nie wiem o nim wszystkiego, co robi i co myśli. Bo czasem ktoś może udawać albo nie robi nic złego, bo się boi, że się może wydać.

Są znów tajemnice, kiedy się nic złego nawet nie zrobiło. Chyba dzieci najwięcej takich mają tajemnic. A muszą się ukrywać, bo im nie wolno. Na przykład ja teraz. Bo i co w tym złego, że się nad głodnym, zmarzniętym psem zlitowałem. Zmarznięty piesek — żywa istota.

Bo dlaczego dorośli tyle zabraniają?

No i co?

Powiemy pani na lekcji:

„Niech pani pozwoli wziąć Śnieżka do klasy. Zobaczy pani, że będziemy spokojni, że będziemy uważali”.

A już. Nic by z tego nie wyszło. Pierwszy Wiśniewski zacząłby na złość dokazywać.

Źle, że jesteśmy razem — i delikatni, i ordynarni, i honorowi, i bez ambicji. Przez nich żadnej obietnicy, żadnego słowa nie można dotrzymać. Przez nich wszystko się zawsze źle kończy.

Przez nich dorośli nam nie ufają, nie wierzą i lekceważą wszystkich.

Bez nich byłoby może mniej śmiechu i wesołości, ale życie byłoby spokojniejsze.

Ale dorośli myślą, że my tylko łobuzów lubimy, że tylko najgorszych słuchamy i co nam tylko powiedzą, zaraz robimy. Że oni wszystkich psują!

Nieprawda. Jak my takiego łobuza dziesięć razy nie posłuchamy, nikt o tym nie wie. A jak raz coś z nim razem zrobimy — zaraz huzia na wszystkich.

Ładnie by świat wyglądał, gdybyśmy naprawdę zawsze i wszyscy ich tylko słuchali. Ładnie by wyglądał, gdybyśmy ich nie uspokajali.

Ile razy się mówi:

„Daj spokój — zostaw — przestań — nie rób tego. Ej, bo będziesz potem żałował!”

I posłucha się łobuz. I doprawdy, jeżeli dorośli mogą z nimi wytrzymać, nasza w tym zasługa.

No i skończyło się tak, że kto palił papierosy na drugim piętrze, nie wiadomo, a my pieska naszego nie widzieliśmy.

Dopiero po szkole pan woźny mówi:

— Biercie go już, a drugi raz mi tu psów nie przyprowadzajcie, bo nie mam czasu. Razem z psem pomaszerujecie do kancelarii.

I wyszliśmy: ja, Mundek i Bączkiewicz. I Łatek. (Niech już zostanie Łatek).

<sup>68</sup>toć przecie — dziś: to przecież. [przypis edytorski]

Jakże się cieszył, kiedyśmy go puścili na swobodę. Jak wszystko, co żyje, ciągnie do wolności. Czy człowiek, czy gołąb, czy pies.

Radzimy we trzech, co dalej robić. A Bączkiewicz zgodził się wziąć go do jutra, a ja się tymczasem przepytam.

A jakby żal miałem do Bączkiewicza, kiedy mi Łatka mojego zabierał.

Przecież on mój. Przecież ja go grzałem pod kapotą. On mnie pierwszego polizał. Ja go znalazłem i przyniosłem do szkoły, i o nim cały czas myślałem. A Bączkiewicz dał tylko przecie dziesięć groszy — i już.

Boże mój, czy sprawiedliwie, że jednym rodzice pozwalają, a drugim nie? Każdy najczęściej kocha swoich rodziców i dom. Ale wie, że inny ojciec pozwala — i ma żal. Porówna siebie z innymi i boli go.

Dlaczego Bączkiewicz bierze Łatka i nic, a ja się muszę dopiero prosić i pewnie skończy się na niczym.

Że jeden bogatszy, a drugi biedniejszy, i bogatszy może, co chce, kupować — to głupstwo. Wolność ważniejsza od bogactwa.

No, bo jeśli się wie, rodzice naprawdę nie mają, jeszcze się ich więcej kocha tą żalnością. Kto będzie się gniewał, że ojciec nie ma roboty albo mało zarabia? Ale jak na niepotrzebne rzeczy wydaje, a dziecku poskąpi, o sobie tylko myśli, a dziecku żałuje — tu już trudno, tu i ksiądz nie pomoże. Bo dlaczego ojciec Mundka na wódkę wydaje i jeszcze awantury wyrabia?

Żal mi Mundka i żal mi Łatka białego, że się przez niego tyle namartwiłem, a teraz inny zabiera.

— Możesz mi nie oddawać tych dziesięciu groszy — mówi Bączkiewicz.

A ja:

— Bez łaski. Może jutro ci jeszcze oddam.

A on:

— Jak masz być zły, możesz go nie dawać.

Ja:

— Chodź, piesiunio, pożegnamy się.

A Łatek się wyrывa i nawet nie rozumie, że to jest rozstanie. Potem dopiero oparł mi się łapkami na piersiach i niby wesoło macha ogonkiem (z tą czarną kitką) — i patrzy — — — prosto — — — w — — — ooczy!

Aż mi się łzy zakręciły.

I dopiero — — — liznął mnie w same usta. Że przeprasza.

I ja go przytulilem ostatni raz!

Aż Mundek leciutko pociągnął mnie za kieszeń.

— No już chodź.

I prędko poszliśmy, i nawet się nie obejrzałem.

Mundek przez całą drogę mówił o gołębiach, królach<sup>69</sup>, o srokach, jeżach. A ja tylko jakie słowo wtrąciłem. I droga do domu przeszła niepostrzeżenie. Bo jest tak: niby godzina na zegarze zawsze taka sama, ale w człowieku jest jakby inny zupełnie zegar, inaczej zupełnie pokazuje. Czasem godzina przeleci, ani się spodziewasz, czasem wlecze się, że już chyba nigdy nie skończy. Czasem ledwo wejdziesz do szkoły, już dzwonek i powrót do domu. A jeżeli się źle powiedzie, czekasz, zanim się cały ten kram skończy, i wychodzisz jak więzień, i nawet już sił nie ma, żeby się cieszyć.

No i żegnam się z Mundkiem, ale coś mnie skusiło, że się pytam:

— A czy twój stary urznął się wczoraj znowu?

Mundek się zaczerwienił i mówi:

— Myślisz, że mój ojciec co dzień pije?

Tak prędko odszedł, że nic już nie zdążyłem. Po co mi to było? Przez brak zastanowienia powie się coś czasem, a potem już nic nie poradzisz.

Raz mi ojciec powiedział przysłowie:

— „Jest to cnota nad cnotami trzymać język za zębami”.

Bardzo mądre przysłowie. Wtedy nawet byłem zły i nie podobało mi się. Bo coś powiedziałem, co było prawdą, a krzyczeli na mnie, jakbym nie wiem jakie kłamstwo

<sup>69</sup>król — tu: królik. [przypis edytorski]

powiedział. Nikt się nie pytał, więc mogłem nie mówić. Ale byłaby nieuczciwość, że się prawdę w sobie kryje.

Dużo jest w życiu fałszu. Kiedy byłem dorosły, przyzwyczałem się, już mnie nie obchodziło. Jest — no to jest — trudno — a żyć trzeba. Teraz inaczej czuję — znów boli, że człowiek nie może powiedzieć człowiekowi, co naprawdę myśli. Tylko ciągle trzeba udawać.

Bo kłamstwo może być takie sobie — ani złe, ani dobre. Ale człowiek fałszywy — to już chyba najgorszy. Co innego myśli, co innego mówi, w oczy tak, za oczy inaczej. Już wolę stawiaka<sup>70</sup>, kłamczucha, każdego wolę niż fałszywego, bo jego najtrudniej poznać. Tamtemu powiem:

— Kłamiesz.

Albo:

— Nie stawiaj się.

I skończone.

Jakoś prościej, szlachetniej.

A fałszywy taki słodki, miły, że go trudno przyłapać na gorącym uczynku.

No i co? Przykrość sprawiłem Mundkowi. Ma żal do mnie. Na ojca powiedziałem — stary — i że się urżnął. Tak ordynarnie powiedziałem jak człowiek dorosły, co to zawstydzi dziecko, urazi i nawet nie czuje.

Ale wchodzę do bramy, a na schodku siedzi ten sam kot co wczoraj. Żal mi się go zrobiło i chciałem pogłaskać, a on w nogi. Więc pamięta. Może za kota Bóg mnie skarże, że mi Łatka wziąć do domu nie pozwoli?

— No, jak ci tam poszło w szkole? — pyta się mama.

Łagodnie się zapytała. Może czuje, że niesłusznie mnie wczoraj skrzyczała?

Mówię:

— Nic takiego.

A mama się pyta:

— A w kącie nie stałeś?

I dopiero przypominam sobie, że naprawdę.

Mówię:

— Stałem w ławce.

A mama:

— No i mówisz, że się nic nie stało.

Mówię:

— Zapomniałem.

Biorę nóż i zaczynam kartofle z mamą obierać.

A mama:

— Za co?

Mówię:

— Nie uważałem.

— Dlaczego nie uważałeś?

— A tak zamyśliłem się.

— A o czym?

Prędko obieram — niby zajęty — i nie odpowiadam.

— Widzisz, niedobrze, że zapomniałeś. Dziecko porządne wstydzi się stać w kącie i stara się już więcej tego nie robić. Przecież pani stawia w kącie dla nauki, dla przykładu: żebyś lepiej wszystko rozumiał. A jak zapominasz, to cała nauka z kary idzie w las. Trzeba swoje kary pamiętać.

Spojrzałem na mamę i myślę:

„Biedna, dobra mama, ona nic nie wie i nic nie rozumie”.

I pomyślałem:

„I biedna, i stara”.

Bo jak mama siedziała pochylona, zobaczyłem, że ma siwe włosy i zmarszczki. Może niestarsza jeszcze, ale życie ma ciężkie.

<sup>70</sup>stawiak (daw. pot.) — osoba, która zachowuje się niegrzecznie i arogancko, aby zrobić wrażenie odważnej i niezależnej. [przypis edytorski]

I myślę:  
„Dobrze, że znów mam matkę. Kłopot z rodzicami mają dzieci, ale bez rodziców gorzej — źle — bardzo smutno i źle”.

— A może ty co jeszcze zmajstrowałeś w szkole?

Mówię:

— Nie, nic.

— A nie kłamiesz?

— Co mam kłamać? Jakbym nie chciał, i o kącie nic bym nie powiedział.

Mama mówi:

— No, pewnie.

I już cicho. Ale tak jakbyśmy dalej rozmawiali. Bo ja w myśli mam prośbę o mojego Łatka, a mama wie, że czegoś nie mówię, że coś tam ukrywam.

My, dzieci, lubimy gawędzić z dorosłymi. Oni lepiej wiedzą. Ale żeby nie mieli do nas tyle pretensji. Żeby byli z nami łagodni. Nie tylko ciągle burczeć, zrzędzić, fukać, krzyczeć, besztać.

Żeby mama innym razem tak się zapytała:

— A może kłamiesz?

Tobym się zirytował i może tak samo bym odpowiedział, tymi samymi słowami, ale w tych słowach byłaby już złość.

Dorośli nie chcą zrozumieć, że dziecko na łagodność odpowiada łagodnością, a na gniew zaraz się w nim budzi — jakby odwet, zemsta. Że niby:

„Taki jestem i już inny nie będę”.

Przecież każdy, nawet najgorszy z nas, chce się poprawić.

I może złe dzieci najbardziej tym się różnią od złych ludzi dorosłych, że wyście już próbowali<sup>71</sup> — próbowali — a nic z tego nie wyszło, więc trudno. A my się borykamy, my się zmagamy ze sobą, staramy się, postanawiamy, a jak nam się znów raz nie uda — wy zaraz — huzia na nas! To okropnie przeszkadza. Im się człowiek więcej wysili — już zdaje się, że dobrze — masz — zaczynaj znów od początku! Taka złość bierze, taki ból i zniechęcenie! A wy zamiast pomóc, dodać otuchy — zaraz bij, zabij. Dlatego mamy takie feralne dni, złe tygodnie. Że jak się jedno nie powiedzie, zaraz drugie, trzecie — wszystko się z rąk wali.

A najgorsze, jeśli się nie uda, a wy podejrzewacie złą wolę. Czasem nie dosłyszysz się albo przesłyszysz, zapomni, nie zrozumie albo źle zrozumie. A wy myślicie, że na złość. Czasem chce się właśnie coś dobrze, jaką niespodziankę, przyjemność wam zrobić, a że nie mamy doświadczenia, więc wyjdzie źle — szkoda jaka, strata. Sami czujemy przecie, więc po co zaraz robić awantury?

Źle człowiekowi, który mocno czuje.

No i kręcę się po izbie. Doniczki z okna pozdejnowałem i kurz wytarłem. A potem w całym pokoju zacząłem wycierać. A mama się dziwi. I takeśmy się z mamą przeprosili za wczorajsze. Bo kto wie? Może tam i mojej winy było trochę? Nie powinno się na obiad spóźniać. Przecież nawet święci grzeszyli.

— Idź, polataj trochę — mówi mama. — Co będziesz tu siedział?

A ja:

— Pójdę do ochronki<sup>72</sup> po Irenę.

Mama:

— Ano, idź.

Ubrałem się, ale idę, sam nie wiem, dlaczego. Pewnie przez Łatka. Bo małymi dziećmi też trzeba się opiekować.

Niedobry jestem brat. Nad psem się lituję, a dla rodzonej siostry nie mam prawdziwej miłości. Co tam miłości — nawet wyrozumienia.

Takie małe dziecko musi przecie przeszkadzać, musi z nudów naprzykrzać. Jeśli się z nią pobawię — jak z łaski. A tak to fukam na nią i potracam. Zupełnie jak dorośli z nami, starszymi dziećmi. Widać od nich idzie dla nas taka nauka.

Trzy są najgorsze rzeczy, przez które nie lubimy malców:

<sup>71</sup>próbować — dziś popr.: próbować. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>ochronka (daw.) — przedszkole. [przypis edytorski]

Pierwsze, że dorośli każą nam ustępować, czy mają słuszość, czy nie.

Drugie, że każą im dawać dobry przykład.

Trzecie, że każą się z nimi bawić, kiedy nam przeszkadzają.

Czyli, że przez młodsze rodzeństwo często otrzymujemy bury. Więc się podwójnie cierpi: przez siebie i przez malca.

Na przykład coś mam, a ona się napiera. Jeżeli zechcę, sam dam, bo wiem, co dać można, co nie. A czy dorośli nam ustępują, jak się napieramy? Jeszcze skrzyczą, a jak dadzą dla świętego spokoju, to jeszcze gorzej, bo nauczą, że dobrocią się nic nie dostanie. A taki mały pieszczoł widzi, że się za nim ujmują, i uczy się krzyczeć, jak czego chce. To strasznie gniewa.

Niech płacze. Ale nie: ono się drze głośno, najgłośniej — właśnie, żeby wszyscy słyszeli, żeby zaraz było zbiegowisko.

Bo jak tu jedni tacy mieszkali, co mąż nie chciał jej czego dać, to narobiła krzyku na całe podwórko.

A on tylko mówi:

— No, cicho już, bo wstyd robisz mnie i sobie.

A ona:

— Właśnie chcę ci wstydu narobić! Niech ludzie wiedzą, niech się cały dom zleci! Niech policja przyjdzie, niech pogotowie przyjdzie, niech w kurierze napiszą!

Ona się pewnie z małości przyzwyczaiła. Bo tak robią małe. Drze się, a dorosłym nie chce się dowiedzieć, jak naprawdę było, tylko chcą, żeby cicho. I dopiero:

„Ona mała, powinienes ustąpić”.

Dorosłym ustępuj i malcom jeszcze także.

Dorosły da klapsa, nie zawsze sprawiedliwie, ale jak brat uderzy, zaraz się litują i biorą pod opiekę.

Zrobiłem sobie wiatraczek. Pół dnia się mordowałem.

— Daj.

Zaczyna mi wyrywać.

— Odejdź, bo dostaniesz!

A ona:

— Daj, daj!

A mama co?

— Zrobisz sobie drugi.

Zrobię albo nie zrobię. I niech poprosi, poczeka, a nie wyrywa i:

— Maaaamooooo!

Ledwo się człowiek wstrzymuje w tej złości. A ona chce nawet, żeby uderzyć, bo wtedy już na pewno poleci na skargę. I masz awanturę:

— Taki brat! Taki duży (chłop?).

Niby moja wina.

Jak wygodnie — jestem mały, jak wygodnie — tom<sup>73</sup> duży.

Albo znów.

Już nie tylko za to odpowiadam, co sam zrobię, ale i za nią.

„Ty ją nauczyłeś. Ty jej pokazałeś. Od ciebie słyszała. Twój przykład”.

Czy ja kazałem po sobie małpować? Jeżeli daję zły przykład, niech za mną nie łązi, niech do mnie nie mówi, niech się ze mną nie bawi.

Aleeee! Właśnie mam się z nią bawić. I to jak?

„Ubierz palto, bo i ona też zechce bez palta. Nie dostaniesz piwa albo kielbasy, bo i ona będzie chciała. Idź spać, bo sama nie pójdzie”.

Tak ci obrzydzą to małe dziecko, że nie chcesz mieć z nim nic do czynienia. Ale nie: musisz iść się bawić.

No dobrze.

Są zabawy, gdzie mały może się przydać. Ono też może coś robić. Ale niech słucha, niech zabawy nie psuje, niech rozumie, że nie może tego wszystkiego co my.

I mówi mu się:

— Usiądź tu, będziesz to i to.

---

<sup>73</sup>tom duży — dziś: to jestem duży. [przypis edytorski]



A ono nie chce. Chce latać. A przecież ja odpowiadam, jak się przewróci i guza nabije albo podrze. No i płacze się przecie i przeszkadza.

Dla dorosłych dziecko — wszystko jedno, czy ma pięć lat, czy dziesięć. Jak wygodnie — to nie ma różnicy.

— Dzieci, idźcie się bawić.

A jak wygodnie, to jesteś starszy i masz być opiekunem, i ustępować, i dobry przykład dawać.

Sami sięją waśń między rodzeństwem i dlatego nie może być zgody. Dlatego staramy się unikać małego i wtedy tylko się zbliżyć, kiedy bardzo się nudzi albo chce od młodszego wypętać<sup>74</sup>.

Bo i my nie bez winy. Dużo jest między nami oszukaństwa. Niech tylko ma coś mały, zaraz znajdzie się przyjaciel, co sprobuje<sup>75</sup> wymanić<sup>76</sup>. Niby się bawi, aż dostanie, co chce, a potem ani spojrzy. A mały dumny, że go proszą, albo się wstydzi upomnieć, żeby oddał.

Bo różni są i starsi, i mali.

Dlatego, co porządniejszy, nie zadaje się z malcem, żeby go nie mieli w podejrzeniu, a garną się do nich najgorsi.

I naprawdę starsi dają małym zły przykład i psują. I tak od najmniejszego już cudak jakiś rośnie. A potem, jak ma rozum, trudno się odzwyczaić, trudno się poprawić.

Idę przez ulicę i myślę. Aż patrzę, a tu mój Łatek. Ażem przystanął. Ale tak mi się tylko zdawało. Nie bardzo był nawet podobny. Więc teraz znów myślę o Łatku.

„Może go nie odbierać? Może lepiej mu tam będzie? Może mama pozwoli, a potem się będzie gniewała? Przecie jakby chcieli, toby był pies i beze mnie. Zaczekam chyba parę dni, co powie Bączkiewicz, jak on się tam sprawuje. Bo nabrudził w komórce. Był co prawda zamknięty”.

I nie wiem, czy chcę, żeby mnie było z nim weselej, czy żeby Łatkowi lepszą przyszłość zapewnić. Bo co? Uratowałem mu życie i o miejsce się wystarałem. Może się teraz więcej zająć Ireną?

Ano, przychodzę do ochronki, do tego przedszkola, a tam się malcy bawią w koło. Trzymają się za ręce, kołują i śpiewają.

A pani mówi:

— Masz stać, to się baw z nami.

I wyciągnęła rękę, a ja się przyłączyłem.

Innym razem pewnie bym się wstydził i nie chciał, ale teraz nikt przecie mnie nie zobaczy. Zacząłem się bawić. Z początku zacząłem żartować, żeby było więcej śmiechu. To przykuciałem, że jestem malutki, to kulałem, że mnie noga boli. I chciałem panią wypróbować, czy nie zacznie się gniewać. Bo jak co, mogę przecie odejść. Ale pani też się śmiała, więc już się naprawdę bawiłem.

Malcy byli zadowoleni, każdy chciał ze mną, żeby trzymać za rękę. No, nie każdy, bo niektóre się wstydziły, że mnie nie znają. A najdumniejsza była Irena, że ma dużego brata. I już zaczęła rozporządzać:

— Ty tak, ty tu.

Myśli, że jak co, będę jej bronił.

A ja powiedziałem, żeby się uspokoiła, bo sobie pójdę.

Mali mają taki zwyczaj. Jeżeli wie, że mu starszy przyjdzie na pomoc, pierwszy zaczepi, a potem ucieka, żeby go brat bronił dopiero. A brat, jeżeli łobuz, sam chętnie się pobije, a tu nic przecie nie ryzykuje, bo jak co, on jeszcze szlachetny:

„A po co małego uderzył? Musiałem brata bronić”.

Sam nawali<sup>77</sup> kochanego braciszka cztery razy więcej, ale teraz — on kochający brat i opiekun.

A znów porządny nie chce, a musi się ująć, choć wie, że malec nie ma racji, bo się boi, że za małego przed rodzicami będzie odpowiadał.

Więc pani miała jakiś list napisać i mnie z malcami zostawiła, a oni się słuchali, a pani była w drugim pokoju.

<sup>74</sup>wypętać — tu: otrzymać coś podstępem. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>sprobować — dziś popr.: spróbować. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>wymanić (daw.) — wyłudzić. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>nawalić — tu: zbić, pobić. [przypis edytorski]

Tylko jeden cały czas przeszkadzał. Bo później im bajkę o kocie w butach opowiadałem, a mały szczeniak umyślnie przeszkadzał. To tak już złości, że nie wiem.

Więc idziemy z Ireną do domu, a tu mi coś w kieszeni bocznej brzdęknięło. I znalazłem dwa grosze. Żeby więcej, tobym zostawił dla Bączkiewicza, a tak to nie warto — i dałem Irence. Ona też, jak co ma, dzieli się ze mną.

Czasem wezmę, czasem nie. Bo jak co wziąć od małego, zaraz się nazywa wymanić<sup>78</sup>. Bo tak już jest, że za złego zawsze odpowiada porządny, który nic nie winien.

Gdyby można coś zmienić (ale nie wiem, co) toby nasze dziecinne życie naprawdę było miłe. Mało nam, dzieciom, potrzeba do szczęścia, a i tej troszki nie mamy. Niby dbają o nas dorośli, a źle nam jest na świecie.

Idę i przyjemnie mi małą za rękę prowadzić. Więcej uważam, jak iść, wybieram lepszą drogę. I czuję się starszy, silniejszy. I rączka taka mała i głodziuteńka, jakby atlasowa. I paluszki małe. I aż dziw, że raz to samo małe dziecko lubisz, a raz nienawidzisz.

Jeden cukierek zjadła, a drugi mnie kazała. Nie chciałem, ale zjadłem, a ona patrzy i śmieje się, że poczęstowała.

Przyjemnie czasem coś dać ze swego, ale nie zawsze tylko brać i brać od starszych. Nieprzyjemnie, kiedy się dorosłemu chce podarować, a oni nie biorą albo dadzą coś innego, co więcej warte. Zaraz zapłata. Poniżony się wtedy człowiek czuje jak jaki żebrak.

Żeby można było tak świat urządzić, żeby wszystko było wzajemną wymianą przysług. Kiedy byłem smutny, Irena dała mi szkielko, ja jej kupiłem cukierki, ona dała mi jeden. Cały łańcuszek dobrych przysług.

I wróciliśmy do domu. I wchodzimy. I ciocia była u mamy. I ciocia mówi:

— Ooo, już prowadzą się twoje cielęta.

Dlaczego cielęta, a nie ludzie? Cośmy złego zrobili, że nas ciotka od cieląt przeżywa? Tylko krowy rodzą cielęta. Co za taka ordynarna zaczepka?

Zły jestem i nie witam się wcale. Aż mama się rozgniewała:

— Dlaczego wchodzisz jak ordynus? Dlaczego się z ciotką nie przywitasz?

— Co się mam witać? — mówię. — Wczoraj przecież tam byłem.

— To było wczoraj, a to dzisiaj.

— A cielęta się nie witają — burknąłem.

— Jakie znów cielęta? — pyta się mama, bo nawet nie dosłyszała, bo tylko obrazy dorosłych słyszy się i pamięta.

A ciotka w śmiech.

— Patrzcie, jaki honorowy! Obraził się.

I już wstaje, żeby mnie pocałować, a ja się odwróciłem. Łaskę mi robi, że mnie poślini.

— Zostaw tego chama — mówi mama.

Dobrze: niech sobie będe. Obraziłem się.

Nie wolno mi? Jak teraz nie będę ambitny — kiedy wyrosnę, też pozwolę sobą po-niewierać.

Usiadłem i niby lekcje odrabiam. A cały aż drzę z oburzenia. Ale przypominam sobie, że i w tramwaju się śmieli, że jestem ambitny. Dorośli myślą, że dziecko nie potrafi się obrazić. Jakby to była sztuka. Każdy wie, co przyjemne, a co nie.

Mówią, że dzieci są uparte.

Upał się i nie chce się przywitać.

No bo nie.

„Powiedz w tej chwili, zrób w tej chwili”.

A nie. Wcale nie na złość, a wolisz oberwać niż honoru nie uszanować... I nie powinni zmuszać, bo tylko zaciętość wyrobiją.

Siedzę odwrócony i piszę. Ale nie tak prędko jak dawniej. Czy ja już ze wszystkim staję się dzieckiem? A może zapomnę, co umiałem, kiedy byłem dorosły? I znów będzie mi trudno w szkole. I już naprawdę będę musiał uważać na lekcjach. To byłoby straszne.

I akurat słyszę trąbkę, że jedzie straż ogniowa...

— Czy mogę?

Patrzę na mamę błagalnie i czekam jak na wyrok... Już nie wiem, co by było, gdyby

Kondycja ludzka,  
Dzieciństwo

Dar, Korzyść

Honor, Grzeczność

Prośba, Niewola

<sup>78</sup>wymanic (daw.) — wyludzić. [przypis edytorski]

mama nie pozwoliła. Bo jak często dorośli bez zastanowienia powiedzą: „nie” — i zapomną; a ile bólu zadadzą, wcale nie wiedzą.

Dlaczego „nie”? No, dlaczego? Bo się może coś stać, bo wolą być spokojni, bo to niepotrzebne, bo po co? Przecież taki drobiazg, nic ważnego. Oni by mogli, a nie chcą wcale. Więc nie, i basta.

I wiemy, że mogłoby być: „tak”, że ten zakaz jest przypadkowy, że zgodziliby się, gdyby zadali sobie troszkę tylko trudu, by pomyśleć, by spojrzeć nam w oczy: jak okropnie chcemy.

Więc pytam się:

— Czy mogę?

I czekam. Dorośli nigdy na nic tak nie czekają. Chyba więzien tylko, czy go wypuszczą na wolność.

Czekam i zdaje mi się, że gdyby mama nie pozwoliła, już bym jej nigdy tego nie wybaczył. Bo dorosłym się zdaje, że my zawsze i o wszystko zaraz prosimy, że chcemy bez zastanowienia i zaraz zapominamy. Owszem, i tak bywa, ale bywa i całkiem inaczej. Albo wcale nawet nie prosimy, bo i tak nic z tego nie będzie, bo nie chcemy usłyszeć szorstkiej odmowy (o, jak to boli, kiedy jeszcze z przekąsem, z jakimś złośliwym przycinkiem odmówią) — więc wolimy w sobie ten cały ból ukryć i wcale nie prosimy albo czekamy długo i cierpliwie, czy będą w dobrym humorze, czy są z nas całkiem zadowoleni, że im przykro będzie odmówić. I to czasem się nie uda; wtedy gniewamy się na nich i na siebie:

„Dlaczego się pospieszyłem, może kiedy indziej by pozwolili?”

Zdaje mi się, że dorośli mają inne jakieś oczy, inaczej patrzą niż my. Bo jak mnie kolega o co prosi, to spojrzę tylko i wiem, co robić. Więc od razu się zgadzam albo postawię warunek, rozpytam się dokładnie, odłożę na później. Choćbym nie mógł nawet, nie ośmielę się krótko i bez niczego odmówić.

Na przykład wczoraj jeden chłopiec powiedział, że chce wyjść — do ustępu. A pani:

— Dosyć tego kręcenia! Mogłeś wyjść na przerwie.

No, wiem, kręcą się bez potrzeby — to prawda. Ale czy on winien? Ja tylko spojrzę i już wiem. W końcu go pani puściła, a potem przy końcu lekcji krzyczała, że niespokojny. Pani nawet nie pamiętała, że do ustępu wychodził, a ja wiem, że przez zemstę zaczął dokazywać, bo tyle się musiał naciерpieć, tyle się nastraszył, bo co by było, gdyby nie zdążył.

Dorośli nie wiedzą, dlaczego i za co na złość im robimy. Im się zdaje, że tylko oni za karę tak i tak robią. My także karzymy ich — nieposłuszeństwem, jeżeli zasłużyli.

Bo dlaczego dla jednych jesteśmy inni i dla drugich inni?

Gdyby inna ciotka nazwała mnie cielęciami, ja bym się nie obraził, bo to mógł być żart. Ale ta nie pierwszy raz. Taki ma ton wyniosły, tak lubi rozkazywać i dumna taka. No niechby sobie, ale lubi wyśmiewać — i buntuje na dzieci. Pewnie zła, że ma dużo dzieci, ale kto jej winien? Niech nie ma.

„Muszę się z nimi użerać. Tyle kosztują. Od ust sobie odejmuję. Poświęcam się”.

Od ust sobie odejmuję, a gruba jak beczka. Dziecko musi kosztować, na to nie ma rady.

Są dorośli, którzy nas jakby wcale nie widzą. Powie:

„Dzień dobry, zuchu”.

Albo:

„Ho, ho, co za duży kawaler”.

Tak tylko, żeby coś powiedzieć. I widać, że nie wie nic więcej i jakby się krępował. Jak pogłaszcze po głowie, to ostrożnie, jakby się bał, żeby czego nie urwać albo nie złamać. To są ludzie silni i dobrzy, i delikatni. Lubimy słuchać, jak rozmawiają z dorosłymi, opowiadają o przygodach jakichś, o wojnie. Lubimy ich.

A inni, jakby nic nie mieli do roboty, albo żarty jakieś, wykpinka i przezwiska, albo wariackie zabawy. Brodę ma drapiącą, śmierdzi tymi papierosami i dopiero karesy<sup>79</sup>. Albo rękę ścisnie i śmieje się, że boli. Albo podrzuci w górę i myśli, że to dla nas pyszna zabawa.

„A wyrzucę cię przez okno, a nos ci nożem ukraję, uszy poobcinam, to się nie będziesz potrzebował myć”.

<sup>79</sup>kares — pieszczota. [przypis edytorski]

Głupie to wszystko i bez sensu. I czekasz tylko, żeby się odczepił.

A kobiety znów — zaraz głaskanie, klepanie i całusy. Albo w usta, albo tak cię przy-  
ciśnię, że żebra bolą. A ty musisz być grzeczny, bo ona cię kocha.

A jak młokos jaki, co ma lat szesnaście, zaczniesz udawać dorosłego, to już naprawdę  
wytrzymać trudno. Albo się kończy płaczem, albo szkodą takie baraszkowanie.

Najlepiej wy sobie, a my sobie.

No i mama mi pozwoliła iść na pożar. A już czas najwyższy, bo jak straż przejedzie,  
to i pożaru nie znajdzie.

— Tylko wracaj zaraz.

Pewnie miała o czymś z ciotką rozmawiać, że się od razu zgodziła.

— Tylko butów nie drzyj — wtrąciła się ciotka.

Ona wszędzie musi swój nos wściubić.

Kto zgadnie, co znaczy:

„Wracaj zaraz”.

Pędzę, bo się boję, że nie zdążę, że mama coś jeszcze doda albo się Irena przyczepi.  
Nigdy człowiek nie jest pewien, co go jeszcze czeka. Więc łap za czapkę — już mnie nie  
ma. Po cztery schody. Można tak schodzić, tylko się trzeba trzymać poręczy, i czasem  
drzazga wejdzie w rękę. Trudno: ryzykuję.

Jeden chłopak wiedział, gdzie się pali. Niedaleko. Sklep z naftą. Mówią, że w piw-  
nicy jest benzyna. Jak się zapali, cały dom wyleci w powietrze. Milicjanci<sup>80</sup> rozganiają,  
a maszyny i hełmy strażackie błyszczą w ogniu.

Nie chcę, żeby te beczki z benzyną się zapaliły, bo będzie szkoda i ludzie zostaną bez  
dachu. Ale jak ich z bliska nie widać, jakoś mniej żal, a byłoby ładnie widzieć wybuch  
taki, że cały dom się zawalił.

Dlaczego przyjemnie patrzeć na straszne rzeczy? Jakiś wypadek, topielec, jak się rower  
mało pod samochód nie dostał, jak się biją albo łapią złodzieja. Może właśnie dlatego są  
wojny, że ludzie lubią krew i niebezpieczeństwo.

A pożar chyba już najładniejszy... I walka taka szlachetna!

No i przecie dorośli też lecą się gapić, nie tylko dzieci. Oni to niby mogą się przydać,  
a nam mówią:

— Zjeżdżaj, tyś<sup>81</sup> tu potrzebny!

Więc stoję coraz gdzie indziej i patrzę, ale ciągle myślę, czy trzeba już wracać, że  
jeszcze tylko chwileczkę. A nie być do końca przecie nie można, chociaż się boję bury.

Mówią, że pogotowie ma przyjechać, bo poparzyło kobietę. Bo już nie widać ognia,  
tylko dym.

Nie będę chyba czekał na pogotowie. I tak się nie docisnę.

A tu znów słup ognia leci w górę. A tu strażak na piętro zakłada nowego węża.

„Jak puszcza wodę, to pójdę”.

A może dom teraz będzie się walił?

Nawet już chcę, żeby się skończyło: pomodlić się czy jak? A policja daleko nas ode-  
pchnęła. Znów mało widzę i chcę wrócić.

A tu mówią, że się strażakom popsulo i nowy oddział przyjedzie.

To znówu kobieta leci i krzyczy, ci ją zatrzymują, ona się wrywa. I widzę Felka  
i Bronka, i Gajewskiego. I już naprawdę chcę, żeby ugasili. Ale nikt nie odchodzi, a jak  
oni stoją, samemu przykro odejść.

Pożar nie jest nawet zabawą. Ale często musimy przerwać coś przyjemnego w najcie-  
kawszym miejscu, żeby się nie spóźnić albo kiedy każą.

Przecie i dorośli tak samo. Jak pójdą w goście, a dobrze się bawią, sześć razy powiadają:  
„No, trzeba wracać do domu”.

<sup>80</sup>*milicjant* — formacja, która pilnowała porządku w przedwojennej Polsce, nosiła nazwę policji, ale jej funkcjonariuszy autor nazywa często milicjantami. *Milicja* i *policja* to wyrazy bliskoznaczne, oba oznaczają zorganizowaną grupę ludzi przygotowanych do walki, których obowiązkiem jest pilnować porządku i zapewniać spokój w społeczności, np. w mieście czy w państwie. Nazwa *policja* pochodzi od łac. *politia* i gr. *politeia*, a te słowa oznaczały pierwotnie sztukę zarządzania miastem, utrzymywania porządku w mieście, zaś *milicja* wywodzi się od łac. *militia*, co znaczyło: służba wojskowa. W Polsce przed II wojną światową używano obu tych słów, w latach 1944–1990 stróżów prawa nazywano oficjalnie Milicją Obywatelską, a potem przywrócono nazwę Policja. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>*tyś* — dziś: ty jesteś. [przypis edytorski]

I tak samo mówią:  
„No, jeszcze chwilkę”.  
Że albo jeszcze po jednym kieliszku, albo jeden taniec, albo karty — i trzeba iść, bo niby się litują, że dzieci śpiące, że jutro wcześniej trzeba wstać. Przynajmniej mają zegarki i wiedzą, ile się spóźnią. A my nic nie wiemy, tylko odejść się nie chce.  
Żona mówi „już”, a on mówi „jeszcze”. I wiedzą, że nikt ich w domu nie skrzyczy.  
A najwięcej gniewa, jeżeli była przyjemna zabawa i potem trzeba w strachu do domu, a tu zaczyna się awantura dopiero. Niechby choć zaczekali do jutra.  
Bo się nawet myśli:  
„Już nigdy, już wcale nie chcę się bawić. Już mi i zabawy zbrzydły, i wszystko”.  
Wyrzeka się człowiek całej radości.  
Więc pędzę do domu, a mama tylko powiedziała:  
— Ładne zaraz!  
Czekam: może się mama zapyta, gdzie się paliło. Ale mama wyszła.  
Znów zasiadam do lekcji, a Irena podchodzi:  
— Gdzie ty byłeś?  
Mówię „odejdz”, bo przeczytałem zadanie i nie bardzo wiem, jak robić. A ona stoi.  
Więc mówię:  
— Byłem, gdzie się paliło. I odejdz.  
A ona:  
— Co się paliło?  
Przecie i tak nie zrozumie. Ale jestem cierpliwy. Mówię:  
— Sklep się palił.  
A ona:  
— Dlaczego?  
Mówię:  
— Dlatego, że masz zasmarkany nos! Idź sobie wytrzyj!  
Zawstydziała się i odeszła. Żal mi jej, że tak ordynarnie powiedziałem. Już dzisiaj drugi raz: rano Mundkowi, a teraz jej.  
Więc mówię:  
— No, chodź, to ci opowiem.  
A ona już odeszła. Pewnie się obraziła. Więc znów czytam zadanie, bo jutro pierwsze rachunki.  
A Irena znów:  
— Już wytarłam nos.  
Nic nie odpowiadam.  
Ona stoi i mówi cichutko, tak jakby do siebie:  
— Już mam teraz czysty nos. I majątek mi nie widać.  
Pokornie — boi się, żeby się na nią nie gniewać.  
Więc co? Chyba opowiedzieć? No i zacząłem. Nic nie rozumie. Ciągle:  
— Dlaczego?  
Dlaczego woda, dlaczego węże, dlaczego strażacy, jaka benzyna, czy żyje, czy duża?  
Mała i nie rozumie. Ja też nie wiedziałem.  
— Poczekaj, to ci narysuję.  
Narysowałem strażaka w hełmie, pompę — i miałem jakby jaką pogadankę.  
Żeby nie my, toby ci malcy nic nie wiedzieli. Od nas się wszystkiego dowiedzą. My od starszych, a oni od nas. I tak idzie nauka.  
Już nie wiem, co mówić dalej, więc powiadam:  
— Powtórz.  
A ona:  
— W sklepie się woda zapaliła. Przyjechała policja i rozganiała. I był ogień, i był pożar.  
Myśli, że ogień i pożar to co innego.  
— Od ognia zrobił się pożar.  
I znów ma świeczkę pod nosem, ale już nic nie mówię. Niech tam. I tak zadania nie zrobię. Wiersza się głośno uczyłem. Irena słuchała.

Mama wróciła i zeszedłem<sup>82</sup> na ślizgawkę. Taki długi kawał wyslizgali. Chcę się nacyć przykucać na jednej nodze. Umieć wykręcać się i tyłem jechać. Cztery aby razy się przewróciłem. Troszkę się uderzyłem.

I smutno mi było, kiedy spać poszedłem<sup>83</sup>.

Jeszcze większa tęsknota, niż kiedy byłem dorosły.

Tęsknota i samotność.

Tęsknota i samotność, i chęć do przygód jakichś.

Lepiej urodzić się w Afryce, gdzie są lwy, ludożercy i daktyle.

Dlaczego ludzie siedzą na kupie? Tyle świata pustego, a w mieście ciasno.

Trochę by pomieszkać między Eskimosami, między Murzynami albo Indianami.

Ładny musi być pożar stepu.

No, żeby choć każdy miał przed domem ogródek. Zagonki kwiatków nasadzić — podlewać i niech rosną.

Znów, myślę o Łatku.

„Co powiem Bączkiewiczowi?”

Bo nawet nie mam już ochoty. Kram z nim będzie. Zezłoszczę się może i obję. I będzie miał żal. I stróż go będzie gonil, i dzieciaki na podwórku. Za wielka odpowiedzialność brać żywe stworzenie pod opiekę.

Jeżeli chce, niech go sobie trzyma.

## MIŁOŚĆ

Nareszcie był bal. Mama ubrała się w suknię, co ją mole pogryzły. Ale nie było znać: ciocia dobrze przerobiła. Były imieniny i byli goście. Była zabawa — tańce. Zaczęło się wieczorem, a skończyło, nie wiem kiedy, bo spałem w mieszkaniu Karola.

Była Marychna z Wilna. I ja z nią tańczyłem. Bo wuj Piotr kazał tańczyć. Nie chciałem wcale. Wuj Piotr powiedział:

— To ty taki kawaler? Panna do ciebie aż z Wilna przyjechała, a ty nie chcesz z nią tańczyć.

Zawstydyłem się i uciekłem na schody. Bo jak można tak mówić? Niby że do mnie przyjechała. Jej mogło być przykro. Ale wuj mnie złapał i podniósł do góry, a ja się wyrwam i nogami w powietrzu fajtam. Aż się zasapał, ale nie puszcza. Byłem strasznie zły, bo się jeszcze więcej zawstydyłem. A postawił mnie, i mówi: „tańcz”. A ojciec mówi:

— No, nie bądź gamoniem, zatańcz, bo ona gość!

Z Wilna.

Stoję i nie wiem, co robić, bo chcę uciekać, a boję się, że znów złapie i będzie szarpał. Więc tylko po troszku, nieznacznie poprawiam ubranie, patrzę, czy się co nie odpięło albo nie podarło.

A Marychna spojrzała tylko i mówi:

— Nie wstydz się, ja też nie bardzo umiem.

I pierwsza podchodzi. I wzięła mnie za rękę. A miała niebieską wstążkę — taką dużą kokardę, włosy tą kokardą z boku zawiązane.

— No, chodź, spróbujemy<sup>84</sup>.

Spojrzałem na wuja ze złością, a on się śmieje. I wszyscy się rozstąpili, tylko my dwoje stoimy. I ojciec. Wiem, że jak nie posłucham, ojciec się rozgniewa, może z zabawy wygoni. Nie mam żadnej rady.

Zacząłem się z nią kręcić. W głowie mi huczało, bo już późno i piłem piwo. Więc mówię: „no, już”. A oni wołają: „jeszcze!” Gorąco mi jest, a zrobili sobie widowisko. I ona nie przestaje, więc dalej, aż już naprawdę tańczę do muzyki, do taktu.

Nie wiem, czy krótko, czy długo. Aż Marychna mówi:

— No, dosyć, bo widzę, że nie chcesz.

Mówię:

— Co nie mam chcieć, tylko mi się w głowie zakołowało.

A ona:

<sup>82</sup>zeszedłem — dziś popr. forma 1 os. lp cz.przesz. r.m.: zszedłem. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>poszedłem — dziś popr. forma 1 os. lp cz.przesz. r.m.: poszedłem. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>spróbować — dziś popr.: spróbować. [przypis edytorski]

— Ja mogę tańczyć całą noc.  
Potem zaczęli starsi, a my stoimy koło drzwi. Marychna i ja.  
— Warszawa jest bardzo ładna.

Ja:  
— Wilno też.

Marychna się pyta:  
— Byłeś w Wilnie?

— Nie, tylko pani nam w szkole opowiadała.

Ona mówi mi: „ty”, a ja nie wiem, jak mówić. U dorosłych jest porządek: nieznajomi mówią „pan”, „pani”, i koniec. A my, dzieci, nigdy nie wiemy. Jednemu mówi się: „ty”, drugiemu: „niech”, czasem „kawaler” albo „panienka”. Już sam nie wiem. Wiele mamy z tym wstydu, kłopotu i niepokoju. Trzeba się jakoś wywijać i mówić ani tak, ani tak.

Ona — Marychna — tylko tak przyjechała do Warszawy i znów wróci do Wilna. Będzie może tydzień.

— Czy na długo przyjechała?

— Kto?

— No, ta pani, ciocia — mama z Marychną?

— Na jaki tydzień może.

Jedzie się tam w nocy koleją. Nigdy jeszcze w nocy koleją nie jeździłem.

— Chciałabym — mówi — zawsze mieszkać w Warszawie.

— A ja bym wołał w Wilnie.

Tylko tak sobie powiedziałem, że niby Wilno też ładne miasto.

I zaczęła wyliczać, jakie ulice, a ja wyliczałem ulice w Warszawie. Potem pomniki i pamiątki różne.

— Przyjedź kiedy, to ci wszystko pokażę.

Tak głupio powiedziałem:

— Dobrze.

Niby, że ode mnie zależy.

Podszedł Karol i mówiliśmy o szkole. Jakie tam są nauczycielki, jakie tu, jakie tam są książki, jakie tu. Było bardzo przyjemnie. Ale wuj Piotr już widzi, że stoimy, więc prędko odchodzę, żeby się znów nie przyczepił.

Potem kazali Marychnie śpiewać. Nawet się nie wstydziła. Jak śpiewa, to oczy podnosi do góry, jakby w niebo patrzyła. I uśmiecha się.

Znów rozmawialiśmy. Bo Stefan mówi, że na ich podwórku mają trzy sanki. Jedne duże, że dwóch może się wozić.

Mówi do Marychny:

— Przyjdź, będę cię woził.

I dobrą ślizgawkę mają. Wszystko na ich podwórku. Nie lubię, jak kto za wiele opowiada.

I tak się skończył mój bal.

I ta pani, ta ciotka, zabrała Marychnę i poszli. A mama mówi:

— Może byś już poszedł spać?

Wcale się nie upierałem, tylko się pytam:

— Gdzie?

A mama:

— Do Górskich.

Rodziców Karola.

— Jutro trzeba do szkoły.

Widzę, że jak powiem, że jeszcze troszkę, to mi mama pozwoli, ale co będę robił? Spać się chce i nudno.

Irena od razu po kolacji też poszła. A ja spałem z Karolem.

Więc Karol się pyta:

— Dlaczego oni w Wilnie tak ciąąąąąąą<sup>85</sup>?

---

<sup>85</sup>oni w Wilnie tak ciąąąąąąą — mowa o charakterystycznym kresowym akcencie, o wymowie samogłosek; innymi wyrazistymi cechami kresowej polszczyzny były półmiękkie *ć, ś, ź* oraz przedniojęzykowe *ł*. [przypis edytorski]

— Nie wiem.  
— Bo chciałem się spytać tej Marychny, ale może jej będzie nieprzyjemnie.  
— Bo pewnie.  
— A włosy ma jak Cyganka.  
— Wcale nie: Cyganki mają twarde włosy, a ona mięciutkie.  
— Skąd wiesz?  
— No widać przecie.  
— A wuj Piotr mówił, że cygańskie.  
— Wuj Piotr tyle wie, co zje — mówię ze złością.

Ziewnął i przestał, a potem znów:

— U nas nie ma żadnej takiej.

A ja nic.

Potem:

— Klawa<sup>86</sup> dziewczyna.

A ja nic.

— Ładnie śpiewa.

Czekam, żeby się przewrócił na drugi bok, bo jak jestem gość, to mi nie wypada, że nie chcę z nim rozmawiać.

Więc się pytam:

— Odrobiłeś na jutro lekcje?

— Ooo tam lekcje...

I ziewnął, i nareszcie mówi:

— No, trzeba spać. A dlaczego się zgodziłeś zaraz iść? Może tam będzie co wesołego?

— Co może być wesołego? Jeszcze się więcej tylko popiją.

— A ty piłeś wódkę? Bo ja dwa kieliszki.

Jutro w szkole będzie opowiadał, jaki on bohater: że dwa kieliszki wypił i w głowie mu się nie kręciło.

Przewrócił się na drugi bok, przykrył się, ale się pyta:

— Nie zimno ci? Nie ściągnąłem za wiele koldrę?

— Nie, dobrze.

Kiedy człowiek śpiący, o byle co się rozdrażni. Przykro mi, że nie lubię Karola, a on się pyta, czy mi nie zimno. I dlaczego powiedziałem, że się popijają? Niedobrze sądzić dorosłych. Trudno: oni inni są i inne mają zabawy. No, żeby nie wuj Piotr, tobym nawet do Marychny słowa nie powiedział. Jak my się zawsze wszystkiego wstydzimy. Zawsze obawa, żeby czego głupiego nie zrobić albo nie powiedzieć. Ciągłe niepewność, czy tak będzie dobrze. Zeby się nie śmieli<sup>87</sup>.

Bo już sam nie wiem, czy wyśmiewanie jest dla nas gorsze, czy jak złączą krzyżec.

I w domu, i w szkole — wszędzie to samo. Zadasz jakieś pytanie, o coś się zapytasz, pomylisz się albo co — zaraz śmiech i drwina. Każdy chce być najmądrzejszy i tylko czeka, żeby drugiego wyśmiać i poniżyć.

Ta obawa, żeby się nie stać pośmiewiskiem, tak człowieka onieśmieli, skrępuje, zwiąże, że ciągle niepewny, a im się bardziej wystrzega, tym łatwiej coś niestosownego zrobi. Zupełnie jak na lodzie: ten się najwięcej przewraca, kto się najwięcej boi.

„No, jutro musimy zrobić sanki” — pomyślałem i zasnąłem.

I ledwo zasnąłem, a tu mnie już budzą, że trzeba wstawać. Spałem kilka godzin, ale mi się zdawało.

Przecieram oczy przy śniadaniu, a jeść mi się nie chce, a ojciec mówi na próbę:

— Może byś do szkoły nie poszedł?

Myślał, że się ucieszę, że można. Bo potem mówi:

— Zabawa — zabawą, a szkoła — szkołą.

Uważnie przeglądam teczkę, żeby czego nie zapomnieć — pióra albo czego. Bo jak się jest zaspanym, trzeba się pilnować. Ale nie. Idę.

<sup>86</sup>klawy (daw. pot.) — fajny, niezły. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>śmieli się — dziś: śmieli się. [przypis edytorski]



No i idę. A myślę sobie, że jadę do Wilna. Jadę całą noc. Iskry<sup>88</sup> za szybą lecą — ogniste gzygaki.

I w drodze do szkoły, i na lekcjach myślałem o tej podróży. I na drugiej godzinie spać mi się zachciało, i zapomniałem zupełnie, że w klasie, i zaczynam nucić, cicho — ale śpiewam pod nosem.

A pani:

— Kto śpiewa?

Ja i wtedy nawet nie oprzytomniałem, tylko się oglądam, kto śpiewa. A Borowski mówi na mnie. Pani się pyta:

— Ty śpiewałeś?

— Nie.

Bo naprawdę nie zauważyłem: I zupełnie znów zapomniałem, i drugi raz zaczynam. Chyba jeszcze głośniej, i pani się rozgniewała.

A Borowski:

— Może teraz powiesz, że nie ty?

Mówię:

— Ja.

Teraz dopiero widzę, naprawdę i wtedy, i teraz.

Pani zdziwiona spojrzała:

— Nie wiedziałam, że umiesz na złość robić i umiesz kłamać.

Czy pani nie zauważyła, że sam przecie mam minę zdziwioną, że jestem zmartwiony? Przecież panią lubię i ona jest dobra dla mnie. Po co miałbym robić jej przykrość? Zwiesiłem głowę, zaczerwieńnię się, i już. Będę się tłumaczył, pani i tak nie uwierzy. Teraz już wiem, że można nagle krzyknąć albo gwizdnąć jak we śnie. Więc zaraz mówią:

— Na złość. Niesforny.

Obrzydliwy wyraz: „niesforny”. Gorzej niż łobuz, niż wszystko. Taki ubliżający jakiś. Niby — sfora psów. Nie lubię także wyrazu: „karność”. Na przykład na gimnastyce.

Karność — dyscyplina.

Zaraz czuję, jakby miał karać, pasem bić, rzemieniem.

— Niesforny malec.

„Malec” — też paskudny wyraz. I obrzydliwe: „dzieciarnia”. Zaraz się przypomina — psiarnia.

Są niedelikatne wyrazy, których się w szkole nie powinno mówić. Często można człowieka nie lubić za jaki wyraz niemiły, który często się powtarza.

A pani kazała mi iść najprzód<sup>89</sup> do kąta, a potem zaraz do tablicy. Kazała rozwiązać zadanie. Zupełnie łatwe. Od razu wiedziałem odpowiedź. Po cichu obliczyłem i mówię:

— Piętnaście.

Pani udaje, że nie słyszy.

— Powtórz zadanie.

Zły jestem. Mówię:

— Będzie piętnaście. Czy nie?

A pani:

— Jak zrobisz, będziesz wiedział. Rób dla całej klasy.

Zaczynam niechętnie powtarzać. I poplątałem. Chłopcy zaczęli się śmiać.

— Idź na miejsce. Masz dwójkę.

A Wiśniewski się pyta:

— Czy ma iść na miejsce do ławki, czy do kąta?

Idę i nie mogłem się powstrzymać, bo Wiśniewski naumyślnie wystawił łokieć w przejście, więc go pchnąłem. A on jak nie wrzaśnie z całej siły:

— Czego się pchasz?

Świnia. Bał się, że pani nie zauważy. A pani się zawahała, czy dalej nade mną się znęcać, czy jego ukarać.

<sup>88</sup>Jadę całą noc. Iskry za szybą lecą — opis jazdy pociągiem ciągniętym przez lokomotywę parową, opalaną węglem, w której podczas jazdy przez komin wylatywał z paleniska dym i iskry. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>najprzód (daw.) — naprzód, z początku. [przypis edytorski]

I już się zaczął w całej klasie niepokój. Jak siedzą cicho, to cicho, a jak się zacznie z jednym, to zaraz — uwagi, przedrwalki, żarty, śmiech i rozmowy. Już wtedy trudno uczyć. A za wszystko odpowiada pierwszy, który zaczął.

— A niech robią, co chcą.

Położyłem głowę na rękach i udaję, że płaczę. Tak często się robi. To najlepsze. Wtedy dają spokój. Ale nie płaczę, bo bardzo cierpię, bardzo jestem nieszczęśliwy.

Nagle pomyślałem:

„Gdyby Marychna była nauczycielką, ona by była inną”.

Bo jeśli źle się sprawuję, można inaczej ukarać, a nie dwójka z przedmiotu. Bo ten, co po mnie stękał przy tablicy i miętlił to samo zadanie, też mu w końcu wypadło piętnaście.

„Marychna by tak nie zrobiła. Ale ona mała i ona — Marychna — wyjeżdża. Całą noc będzie koleją tak daleko. Do Wilna. I już nie zobaczę. Może nigdy już nie zobaczę. Nigdy już śpiewać nie będzie. A Marychna uśmiecha się mile i ma niebieską kokardę. I ma mięciutkie włosy, wcale nie jak Cyganka”.

Pani musiała być bardzo rozszuszczona, bo na pauzie podchodzi i mówi:

— Jak jeszcze raz będziesz miał muchy w nosie, powiem kierownikowi. Już cię nie będę więcej bronila.

I pani odeszła. Nie pozwoliła się usprawiedliwić. A gdyby pozwoliła, co powiem?

Że kocham Marychnę?

Śmierć raczej niż takie wyznanie.

„Muchy w nosie”. Nie mam much w nosie, a pani wymawia, co było dawniej. Nie powinno się przysług wymawiać. Niech pamiętają dorośli, że to drażni, najbardziej gniewa. Bo znaczy, że myślą, że zapominamy łatwo, nie umiemy być wdzięczni.

To oni zapominają, my dobrze pamiętamy. I rok, i dłużej. Każdy nietakt i niesprawiedliwość, każdą uwagę, każdy ich dobry czyn. Wszystko rzetelnie zawsze rozważymy — i mają w nas sojusznika lub wroga. I wiele przebaczyć możemy, jeżeli widzimy: dobroć i szcerość. Ja pani też przebaczę, kiedy się uspokoję.

Podchodzi Mundek i zaczyna żartować. Widzi, że smutny, więc chce pocieszyć.

— Co, będziesz się bał rachunków? Dostaniesz pięć pion<sup>90</sup>, a jedna dwójka sama ze strachu ucieknie. Tak będzie drałowała<sup>91</sup>, że fiiii! Ty przecie matematyk wlaż na patyk.

Powiedziałem cicho:

— Zooostaw.

Wychodzę na podwórze, ale się nie bawię. I głupie mi się wydaje latanie.

„Jak by dobrze było, żeby wszystkie dziewczynki do niej były podobne. A może naprawdę pojedziemy do Wilna? Może tata dostanie tam robotę? Wszystko stać się może”.

Wziąłem z biblioteki książkę. Opowiadania historyczne. Będę czytał.

Wracam sam. Mundek nie mógł czekać. Idę i tylko kawałek lodu nogą podbijam. Trzeba się starać równo kopnąć, przed siebie, bo i tak skręci w prawo albo w lewo. A ja gzygzakami za nim. Żeby się nie zatrzymać, tylko ciągle naprzód. Najgorzej, kiedy się o przechodnia odbija, bo wtedy zupełnie w bok polecą albo trzeba wracać. Powiedziałem, że wolno mi dziesięć razy zawrócić.

Ale spotkałem ojca i gniewał się, że buty niszczy, bo nosek się obija.

Wchodzę do bramy, a tu się już chłopaki sankami wożą. Więc i ja. Ale nie było bardzo przyjemnie. Bo jak się ma zmartwienie, można się bawić, ale się co chwila przypomina. Jakby kto chodził i mówił:

„Zapomniałeś? Nie pamiętasz?”

To nie wyrzuty sumienia, a taka tylko natrętna myśl. Wyrzuty sumienia zupełnie inaczej, groźne są — „Boga się boisz”.

Jeden chłopak mówi, że wcale nie ma Boga, tylko ludzie sobie wymyślili. Powiada, że wie na pewno. Założyć się chciał — głupi taki.

Ja ich dwa razy powoziłem sankami, a oni mnie raz. I już dosyć.

Posiedziałem koło okna, a potem obrazki w książce oglądałem. Nie podobają mi się. Bo pierwszy obrazek bohaterski. Rycerz na koniu. Bój. Dokoła pękają pociski. A on podniósł szablę i wygląda jak lalka. Tak sztywno wyprostowany.

<sup>90</sup>piona (pot.) — piątka, stopień bardzo dobry. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>drałować (pot.) — pędzić, biec; tu: uciekać. [przypis edytorski]

Czy wypadkiem tak nie jest, że dla dzieci gorsze się wszystko robi? Dobry malarz dla dorosłych, a marny dla dzieci. I powiastki dla nas jak z łaski, byle kto pisze, i wierszyki, i piosenki. Kogo nie chcą słuchać dorośli, ten idzie do dzieciaków.

A przecież my właśnie najbardziej kochamy bajki, obrazki i śpiewki.

I zawołali mnie, że będą sanki nowe robić, żebym dał swoje dwie deski, sznurek i blachę.

Skrzywili się, że blachy mało, a sznurek krótki.

Ale mocny.

Jedna deska poszła na siedzenie, a druga, żeby umocnić na spodzie. Żeby było więcej blachy, można by całe podkuć i wtedy łatwiej wozić. Ale dobrze, że choć z przodu blacha. I gwoździ dałem: jeden długi, prosty — znalazłem na ulicy.

Każdy pamięta, co daje, bo tyle ma prawa, ile daje.

Przyjemniej zrobić samemu i mieć dla siebie. Od nikogo się nie jest zależnym. Ale dzieci rzadko coś mają naprawdę.

Ubranie niby moje, a rodzice kupili. Za książki i zeszyty odpowiada się i w domu, i w szkole. Każdy ogląda i ma prawo się wtrącić.

Nauczycielce wolno książkę zwinąć w trąbkę, a niech z nas kto spróbuje<sup>92</sup>. Zaraz powiedzą, że nie szanujemy. Bo u dzieci wszystko musi być wzorowe.

Niedobre są spółki. Musimy się przecie pokłócić. Jeden tego zacznie wozić, a drugi tego. Jeden szarpie i przewraca się — mówi mu się, że złamie, a on nic. Dał parę desek, więc też ma prawo.

Albo wozić sam nie chce, tylko sam siedzi jak hrabia. Klócimy się często — to prawda, ale pomyślcie tylko, jak u nas wszystko samopas puszczzone...

Ile różnych sądów mają dorośli. A my tylko na skargę. A dorośli naszych skarg nie lubią. Rozsądzą byle zbyć albo rację ma ten, kogo więcej lubią, albo młodszy, albo starszy ma słuszność, albo dziewczynka, albo obaj winni, bo brzydko się klócić.

Może tam kiedyś będą ludzie żyli w zgodzie i koleżeństwie, ale jeszcze nie teraz.

O byle co się obrazi i zaraz:

„Jak nie, to oddajcie moje deski i gwoździe”.

Wie, że nie oddamy. Bo co? Chyba rozbić sanki i całą robotę na nic. Szukaj innego wspólnika i morduj się od początku.

„Dzieci lubią majstrować”.

Pewnie, że lubią, ale jak się robi, to się chce, żeby było.

Narysuję co, a on mi przez głupi żart podrze albo zamaże — to szkoda. Wyszukałem kijek, sznurek, zrobiłem bat — nie chcę, żeby złamali. Jak sanki, to sanki.

Czasem lepiej zepsuć, bo drugie lepiej się uda. Ale trzeba z góry wiedzieć, że się chce i dlatego znowu od początku. Że albo mamy lepsze narzędzia, albo więcej materiału.

Bo jak sanki robić bez młotka? Musieliśmy wbijać kamieniem. I żeby choć kamień był wygodny. Jest jeden, ale w bruku. Nawet chcieliśmy wykopać, a potem znów wsadzić. Ale niechby stróż tylko zauważył, dałby nam, że nooo! Tydzień się potem na dwór nie pokazuj.

Więc wbijam okrągłym, niewygodnym i uderzyłem się w palec. Aż się czarna kulka zrobiła na palcu. I jeszcze drutem obdarłem skórę między palcami: teraz jak zginać — boli. Bo w jednym miejscu trzeba drutem ściągnąć, bo potrzebny był długi gwoździec, a myśmy wbili trzy małe i deska się rozłupała. Trzeba było ściągnąć.

I tak ciągle się coś psuje i trzeba ciągle poprawiać.

Przychodzi Józiek.

— Ooo, sanki zrobili, a nie mogą jechać.

— To zrób lepsze.

— Pewnie, że jakbym chciał, tobym zrobił.

— No, to chciej.

— Jak mi się zechce.

— Odejdź już, nie dogaduj. Nie podoba ci się, to nie patrz.

A on:

— Nie dasz patrzeć?

<sup>92</sup>sprowować — dziś popr.: spróbować. [przypis edytorski]

— No, nie dam.  
 Jeden reperuje, a dwóch go odpycha.  
 Dopiero Franek:  
 — Puście go, trzymajcie lepiej, bo sam nie mogę.  
 — A bo po co stoi i dogaduje?  
 — Niech sobie. Nie ma sanek, więc przez zazdrość.  
 — Ooo, mam czego zazdrościć: takiego drapaka.  
 Czasem z kłótni bójka wyniknie, a czasem pomoże naprawdę.  
 Tak właśnie teraz:  
 — Bez młotka nic nie zrobicie.  
 Więc ja:  
 — No, to daj młotek, kiedy się mądrzysz.  
 — Będę wam dawał, żebyście złamali.  
 — A masz?  
 — Pewnie, że mam.  
 Stawia się czy naprawdę?  
 Ale poleciał i przyniósł.  
 — Twój?  
 — A czyj?  
 — Może ojcu wziąłeś?  
 — No to ja wziąłem, a nie ty.  
 A jak bez pozwolenia weźmie i będzie awantura — wszystkim się dostanie.  
 A on i gwoździe ma.  
 — Jak pozwolicie jeździć, to dam i pożyczę.  
 Nie trzeba było brać, bo łobuz. Ale czasu szkoda, każdy chce choć trochę. I zgodziliśmy się. A szkoda. I młotek nie pomoże, jak deska spróchniała. A on ciężki i tak jedzie, jakby umyślnie chciał zepsuć.  
 Na nic cała robota.  
 Znow się zaczyna kłótnia. Więc już idę do domu.  
 Smutno, smutno, smutno.  
 Irenka patrzy na mnie, a widzi, że mam zmartwienie, więc nie mówi, żeby się bawić. Przynęła stołeczek, usiadła obok i oparła rękę o moje kolana...  
 A ja nic, tylko myślę:  
 „Gdyby Marychna była moją siostrą”.  
 I wiem, że to grzeszna myśl, bo tak jakbym chciał, żeby umarła, żeby mieć inną siostrę.  
 Przymknąłem oczy i położyłem rękę na jej głowie. A ona zaraz głowę na kolana i prędko zasnęła. A ja się pomodliłem swoją modlitwą: żeby Irenka żyła i była zdrowa i żeby Marychna była szczęśliwa.  
 No bo tak: kocham ją, Marychnę.  
 Co się wszystko dzieje w człowieku, jakie tam wszystko różne. Bo kiedy patrzeć, to się widzi domy i ludzi, i konie, i samochody. Tysiąc albo milion różnych rzeczowników: żyjących i nieżyjących. I w myślach są te same rzeczowniki. W człowieku. Zamknę oczy i widzę tak samo: domy, ludzi, konie. No tak. I każdy rzeczownik ma dużo przymiotników: Duży dom, ładny koń, miły człowiek. A od rzeczownika z przymiotnikiem zależy dopiero, czy lubią, czy mi się podoba.  
 I tu znow taka sama idzie różnorodność. Inaczej kocham Łatka, inaczej rodziców, inaczej Mundka, inaczej tę Marychnę z Wilna.  
 No, bo co powiem:  
 Lubię, bardzo lubię, kocham.  
 I koniec.  
 A czuję, że inaczej.  
 I dopiero na szczycie jakby — Bóg.  
 Bardzo dziwnie.  
 Gdybym nie był już kiedyś dorosłym, może bym nawet nie wiedział. A teraz już wiem, że dzieci kochają, tylko nie wiedzą, jak to się nazywa. A może wstydzą się przyznać. Nie — że nie chcą powiedzieć, ale w myślach dla siebie wstydzą się przyznać i tylko mówią, że lubią.

Boją się nawet powiedzieć:

„Ta dziewczynka miła. Lubię. Ona przyjemna”.

Bo już najchętniej dorośli wyśmiewają miłość. I tu dopiero widać, jacy są niedelikatni.

Powiedzą:

„Kawaler i panna”.

Albo:

„No, pocałujcie się”.

Albo:

„Narzeczeni”.

Albo jeszcze gorzej:

„Mąż i żona”.

Jakby nie można było kogoś lubić. Żeby rozmawiać, popatrzeć, bawić się razem w jaką zabawę i podać rękę na pożegnanie. Ale żeby nikt o nic nie wypytywał. I żeby nawet nie zauważył.

Cóż, kiedy nie można.

Spytam się niby niechętnie:

„Czy Marychna to ładne imię?”

Albo powiem, że ma ładną, niebieską wstążkę we włosach. Albo: dlaczego jak się śmieje, robią się dołeczki?

Niech tylko coś się zapytam albo powiem, zaraz zaczną szpiegować:

„A czy ci się podoba? Może byś się z nią ożenił?”

Głupie żarciki i nieprzyjemne śmiechy.

No, bo wiem.

Są tacy, co tylko małpują. Chcą się dorosłym przypochlebić, podlizać, więc zaraz weźmie pod pachę i:

„Moja żona. Moja narzeczona”.

Dorośli chcą niby, żebyśmy byli mądrzy, nie lubią niby naszego błaznowania, a sami zmuszają.

Nie wiedzą, jak czującej istocie przykro błązna robić ze<sup>93</sup> siebie. Jedno dziecko się pusuje naprawdę, a drugie tylko żal ma do was i niechęć. Za tę ciekawość i za to, że wiecie.

Siedzę sobie cicho i myślę. I tak samo jak ja tysiące dzieci po różnych pokojach o zmierzchu rozmyśla o dziwach i smutkach życia. Co dzieje się w nim, co wokoło. I tych rozmyślań naszych dorośli nie znają. Najwyżej:

„Co ty tam robisz? Dlaczego się nie bawisz? Dlaczego tak cicho?”

No bo dziecko pohałasuje, pobiega, napatrzy się różności, a potem chce w zaciszu samo z sobą porozmawiać. A tylko jedno, jedyne z tysiąca znajdzie pomoc w dorosłym. Albo u przyjaciela.

Bo, na przykład, jak dziwny jest sen. Śpi sobie Irenka i nic nie wie. Albo się jej coś śni, bo westchnęła. Pewnie i ona ma w przedszkolu dzieci, które lubi, i też może nie chce powiedzieć.

Porównywan<sup>94</sup> Irenkę ze sobą, przypominam sobie przeszłość, kiedy byłem duży, i widzę, żeśmy wszyscy podobni, jednacy. Dziecinny jest człowiek dojrzały, dojrzałe jest dziecko. Myśmy się tylko jeszcze nie porozumieli ze sobą.

Ano.

Widziałem drugi raz Marychnę.

Jeszcze jedyne raz była u nas Marychna. Nawet się nie rozebrała. Mówią, że muszą iść, że tylko się przyszły pożegnać.

Raz — pierwszy raz przywitać i już zaraz pożegnać.

Ja stoję przy swojej doniczce i groch zasiałem, i wyrosło w doniczce. Już nawet ma cztery listki. Tu dwa i tu dwa. Tak przyjemnie zasadzić, jak wyrosnie. Podlewa się. I z wody, i z ziarna wyrosnie. I zielone. I malusieńkie. Że nie było nic, a jest.

Ja stoję i mam pocztówkę: że anioł stoi i ma skrzydła, a dwoje dzieci nad przepaścią. Nad bezdenną. Pochyliły się nad przepaścią i kwiatki zrywają. A anioł pilnuje, żeby nie wpadły w tę bezdenną przepaść.

<sup>93</sup>ze siebie — dziś popr.: z siebie. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>porównywan — dziś popr. forma i os. lp cz.ter.: porównuję. [przypis edytorski]

Przyszła ta obca ciotka z Marychną. Ją też pierwszy raz w życiu widzę. I ona jest daleka jakaś krewna.

I myślę:

„Jeżeli Marychna zacznie ze mną rozmawiać, dam na pamiątkę pocztówkę. A jak nie, to nie”.

Kupiłem ją dla Marychny, bo wiedziałem, że przyjdzie, tylko się bałem, że może będę w szkole.

Zaraz przylatam<sup>95</sup> ze szkoły — tak co dzień. Mundek się pyta:

— Czego się tak spieszysz?

Mama się dziwi:

— Czy wcześniej szkoła się kończy?

A ja nic. No bo co im powiem?

A Marychna ma białą czapkę z puszku i kołnierzyk taki sam. I włosy kręjące.

Jej mama rozmawia z moją mamą — coś o jakichś znajomych w Wilnie.

Ona nic.

Bo tę ciotkę z Wilna prędko pocałowałem w rękę, i do mojej doniczki.

A ona stanęła oparta o swoją mamę.

I wyjąłem pocztówkę z książki. Tę pocztówkę z aniołkiem.

A ona, Marychna, od razu, jak stała, od razu prędko podeszła do mnie. W pośpiechu, jakby podbiegła. A ja pocztówkę znów w książkę i zdaje się, że jestem pewnie chyba czerwony, bo się więcej jeszcze zażenowałem.

Stanęła, mufką z tego puszku zasłoniła się i ja się uśmiechnąłem. I ona też. I się odwróciłem, niby na doniczkę patrzę.

I Irenka przybiegła, i pokazuje jej lalkę. Irenka mówi:

— Patrz, ma trzewiczki.

Więc ja się już znów odwróciłem. I Marychna wzięła lalkę i się pyta:

— A czy zamyka oczy?

A ja:

— Nie. Małe lalki nie zamykają.

Więc Marychna już zupełnie podeszła i mówi, że i małe mogą zamykać. Dopiero jak zupełnie małe, to nie.

I potem mówi:

— Już jadę.

Ja się przestraszyłem, że już zaraz, i prędko wyjąłem pocztówkę z aniołkiem, bo się przestraszyłem, że nie zdążę. Że już nie będę mógł jej dać.

Pokazuję. I:

— Czy ładna?

Ona cicho powiedziała:

— Ładna.

Więc mówię zupełnie już cicho:

— Może chcesz?

Nie chciałem, żeby Irenka widziała. Bo małe dzieci lubią się wtrącać. I może coś głośno powie.

Ale mama z cicią rozmawiały i nic nie widzą.

Marychna mówi:

— Napisz, że na pamiątkę.

Z taką prośbą powiedziała i patrzy, czy się zgadzam. Dobrze się ułożyło. Bo prędko zaraz napisałem:

„Pamiątka z Warszawy”.

I przyłożyłem bibułkę.

A Marychna:

— Oj, bo zamażesz.

A ja:

— Patrz, wcale się nie zamażało.

Powiedziałem „patrz”. To znaczy, że jej „ty” powiedziałem.

<sup>95</sup>przylatam — dziś popr. forma 1 os. lp cz.ter.: przylatuję. [przypis edytorski]

Ale się „P” trochę zamazało.

Powiada:

— Nic nie szkodzi.

I później:

— Bardzo ładnie piszesz.

I jeszcze:

— Napisz dla kogo i od kogo.

— Po co?

Marychna pomyślała, głowę w bok przechyliła i mówi:

— Prawda.

Ale napisałem:

„Dla Marychny z Wilna”.

I zawinałem w srebrny papier od czekolady. Bo wszystko miałem już przygotowane.

Ale widzę, że się zanadto świeci, więc wydarłem kartkę z zeszytu i zawinałem jeszcze.

A ona:

— Ooo, kartkę wyrywasz.

Ja mówię:

— To nic.

A mama mówi:

— Rozbierzcie<sup>96</sup> palta.

A jej mama:

— Nie, musimy zaraz iść.

Marychna wzięła tę pocztówkę, to zawiniątko, do mufki i pyta się:

— Jaką literę najlepiej lubisz pisać?

Ja mówię:

— Duże „R”.

— A ja duże „W”. Daj papier, to ci napiszę. Ale ołówkiem. Zobaczymy, kto ładniej pisze.

I napisała. A ja też. Ale się nie staram. Żeby jej było ładniejsze?

I ona mówi:

— No, czyje ładniejsze?

Śmieje się, a ząbki ma równiutkie, białe.

I mówi:

— Na pocztówce ładniej napisałeś.

Ja się zarumieniłem i mówię:

— Raz się uda, a raz nie.

Pisaliśmy: „Warszawa, Wilno” — różne wyrazy, a potem liczby.

— Strasznie ósemki nie lubię pisać — mówi. — Zawsze jakaś kręcona wyjdzie.

A ja:

— No tak. Ósemka rzadko się uda. No i Marychnie w palcie trudno pisać.

Więc ona spojrzała na swoją mamę i mówi:

— Rozebrać się chyba czy jak?

Ale już mają iść.

Ona — Marychna — chce tę kartkę podrzeć, ale nie dałem.

— No i po co ci to?

— Niech sobie będzie.

— Po co?

Powiedziałem cicho:

— Na pamiątkę.

— Ooo, co to za pamiątka. Ja ci z Wilna ładną kartę przyślę.

Ale zostawiła.

I pokazałem jej doniczkę. Żeby chciała wziąć. Ale jak się tam będzie z doniczką wozić.

A Marychna każdy listek pogładziła palcem.

A jej mama mówi:

— No, idziemy.

---

<sup>96</sup>rozebrać palto (reg.) — zdjąć palto, rozebrać się. [przypis edytorski]

I wstaje. I Marychna prędko stanęła przy swojej mamie.  
Już nie rozmawialiśmy więcej. Ja przy doniczce zostałem. I długo jeszcze rozmawiały tak stojąc. A może niedługo, tylko chciałem już, żeby sobie poszły.

Boję się pożegnania.

I naprawdę:

— No, dzieciaki, żegnajcie się.

Ja się jeszcze bardziej odwróciłem.

— No co, nie pożegnacie się? Możecie się pokłócili już? Nie pocałujecie się na pożegnanie?

Marychna mówi:

— Ja się z chłopakami nie całuję.

— Oj, ty, ty — powiada moja mama. — A nie zaśpiewasz nam na pożegnanie?

— Mogę zaśpiewać.

— Już jak innym razem przyjedziemy. Bo teraz gardło zagrzejesz.

Marychna pocałowała się z mamą i z Irenką, a mnie tylko rękę podała. I tak dumnie. Nawet się nie uśmiechnęła. W rękawiczce.

I wyszły. A mama:

— Jesteś mruk. Marychna — to przynajmniej zuch dziewczynka. A ty trzech zliczyć nie umiesz.

Wdzięczny jestem Irence.

Pocałowałem ją — tak przygarnąłem do siebie i pocałowałem w głowę.

— Bardzo grzeczna byłaś, Irenko — powiedziałem.

I zaczynam lekcje odrabiać.

I tak mi dobrze — cicho. I tak się dobrze z tą pocztówką udało. Ładna jest. Bo naprzód chciałem kupić z kwiatami, potem widoczek: że las, a koło lasu domek i koń stoi. Jeszcze były dwie ładne, ale na jednej napis: „Z powinszowaniem Imienin”. Ale z aniołem chyba najładniejsza. Bo i góry, i przepaść, i kwiaty, i ten anioł stróżuje.

Brzydko się nazywa: Anioł Stróż. Powinno być inaczej: „obrońca” — czy ja wiem.

Jak będę miał pieniądze, dla siebie taką samą kupię. Bo Marychna pewnie nie przyśle — zapomni — jak już wróci do tego Wilna.

Przepisuję wiersz na jutro. A obok leży lalka Irenki. Od tej lalki wszystko się przeciw zaczęło. I doniczka z tymi czterema listkami. Bo jak później będzie rosła w górę, wyżej nowe listki powyrastają, a te cztery będą na dole. I one pewnie pierwsze odpadną. Czy zaczekać, aż pożółkną i same odpadną, czy je zielone jeszcze zerwać i na pamiątkę zasuszyć? Teraz jeszcze nie wiem.

Przepisuję wiersz na jutro. Piszę bardzo starannie. Jedno duże „W” było w takim kawałku. Postarałem się najładniej napisać. I już nie wiem, czy duże „R”, czy duże „W” jest ładniejsze i najprzyjemniej pisać.

I tak sobie na tę kartkę patrzę, cośmy litery pisali.

Ano, trudno: Kocham i więcej jej nie zobaczę. Tylko kartka z literami i cztery listki grochu... A może naprawdę napisze? A może mi się przyśni? Albo jaką podobną dziewczynkę zobaczę na ulicy. Tak przecie z Łatkiem było.

Nie są miłe dziewczynki. Dumne, kłótlive i robią miny. Lubią udawać. Że niby dorosłe i że chłopcy — to łobuzeria.

I stronią od nas, a chcą — tylko niby łaskę robią.

I jeżeli już która chętnie się z nami bawi, to gorsza niż my: bo i łobuz, i inne przywary ma dziewczynskie — też.

No, tak.

Są jakieś delikatniejsze. Bo i sukienka, i kokarda, i koraliki, różne ozdóbki ponawieszają. Ładnie wygląda. A gdyby chłopiec — byłoby śmiesznie. Bo są i chłopcy z długimi włosami. Jak lalczki. Czy oni się wcale nie wstydzą?

No, tak.

Ale dlaczego mamy im ustępować? Że dziewczynki nie wolno uderzyć ani pchnąć. Zaraz powiedzą:

Dziewczynka.

I to w nas żal wytwarza i zniechęcenie. A nawet wrogość.

Bo co?

Miłość niespełniona



Jak w szkole uczą się razem chłopcy i dziewczyny i chłopiec się pani poskarży, zaraz mówią:

— Ty, chłopak, a nie możesz sobie z dziewczynką poradzić?

Kiedy tak, to sobie na drugi raz radzę. Więc znów awantura. I nie wiadomo, co naprawdę robić.

Gdyby dorośli nie przypominali ciągle, że to chłopiec, a to dziewczynka, my byśmy pewnie zapomnieli. Ale gdzie tam: czy dadzą zapomnieć. Niby mówią, że nie ma różnicy, a tymczasem wychodzi przeciwnie.

Przykro mi, że tak muszę myśleć, ale trudno. Nie mogę kłamać. Marychna nie jest przecie winna. A może naprawdę tylko w Warszawie tak jest?

A ona napisała. Naprawdę napisała. Dotrzymała słowa. Przysłała ostrobramską pocztówkę. I adres, i markę<sup>97</sup>, i wszystko. Nie wstydziła się pisać do chłopca.

Ona śmiała.

I śpiewać się nie wstydzi, i pierwsza powiedziała, że będzie tańczyła.

I naprawdę napisała. I mam razem z kartką i listkami. Jeden listek się złamał.

I była wycieczka. Nie kolejną, ale przez most do parku. Przyjemnie było.

Chcieliśmy iść czwórkami środkiem ulicy, nie pchać się parami, żeby potrącali. Ale pani nie pozwoliła. I słusznie. Bo zaraz złamią szeregi i wyjdzie bałagan. Ten kopiec z tyłu, ci znowu się wloką, jeden w prawo, drugi w lewo. Nawet parami nie idą, żeby były równe odstępy i w nogę.

Dobrze było. Dwa wozy i samochód się zatrzymały, jakeśmy przechodzili przez jezdnię. Przyjemnie jakoś, że i my przecie coś znaczymy, że się muszą zatrzymać.

Idę z Mundkiem w parze. Bardzo ważne wybrać dobrą parę i wiedzieć, kto przede mną, kto za mną.

Najładniej było na moście, bo woda zamarzała.

— A są tacy, co się kąpią w przeręblu.

— A ty byś się nie bał?

— A czego?

— Nnoo, zimnoooo.

— To co, że zimno?

Przecie przyjemnie się wypróbować albo pokazać, że się nie boję.

— Z wody może się zrobić lód albo para.

— Dziwne?

— A to nie dziwne, że mucha może chodzić po ścianie, a ryba w wodzie oddycha.

— Albo żaba. Z kijanki się robi, i koniec.

I tak myśmy się zamyślili. Niby, że kto mógł tak wszystko zrobić? Bo jeśliby Boga nie było, no to kto?

I rozmawialiśmy z Mundkiem, że niby mamy łódkę — wzięliśmy chleba, sera, jabłek — i w podróż do Gdańska. Przez jakie dopływy Wisły, niziny i wzgórza płyniemy, obok jakich miast historycznych.

Rozmawiamy na żarty, a jest jakby lekcja, jakby egzamin.

Dobra jest szkoła. Pozwala człowiekowi myśleć długo o różnych rzeczach. Jednego się dowiem na geografii, drugiego na przyrodzie, na historii — i nie spodziewasz się nawet, jak się wszystko to w myśleniu przydaje...

— Do Gdańska czy do Krakowa?

— Eee, pod wodę trudno.

— No, a motorówką.

Mogłaby każda szkoła mieć jedną szalupę. Stałaby w porcie, a my stoimy na warcie. Co dzień czterech innych na zmianę: dzień i noc. A niech Wisła ruszy, zaraz się żagle rozwija — i dalej w drogę.

Jedna klasa tydzień, druga tydzień. I na zmianę: w kajucie, przy żaglach, przy sterze.

Bo już sami nie wiemy, czy to ma być żaglowiec, statek, motorówka, czy krypa albo nawet tratwa.

A słońce ładnie lśni się na śniegu.

I w parku bielusienieczko.

<sup>97</sup>marka (tu daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

Dopiero się gonimy. Aż niektórzy palta chcą rozbierać. Pani nie pozwoliła. Przecie w bieganiu ciepło. Przecie na podwórku bez palt się bawimy.

Nie bardzo się naprzykrzamy, bo nie chcemy, żeby pani krzyczała. Najgorsza jest złość, jak ma być przyjemnie.

Pani skrzyczy jednego, a przykro wszystkim. U dorosłych rzadko się zdarzy awantura podczas zabawy. A u nas najczęściej. Zawsze się taki znajdzie.

A dziś Malicki. Kazała mu pani iść z Rudzkim. Od razu nie chciał; bo się nie lubią. I tamten całą drogę go pchał. Pani się rozzłościła, że idziemy jak banda, i więcej z nami chodzić nie chce, że ludzie się oglądają i wstyd. A Malicki na złość włazi pod dorożki i pani się boi, że go przejadą. No, przecież co dzień sam idzie i wraca ze szkoły i nikt go nie pilnuje. Więc niechby sam sobie szedł. No, wiem, że nie można, bo jak jednemu pozwolić, zaraz inni się porozłożą.

I w parku nie zebrali się zaraz, trzeba było zaganiać do domu. Już jak tyle drogi zrobiliśmy, chcieliśmy dłużej pobyc. Ładnie było i nie chce się wracać. I tak. Jedni się posłuchali i stają. Ale widzi, że pary nie ma, więc nudno stać samemu albo idzie go szukać. I widzą, że inni się bawią, a im nogi marzną. Więc się niecierpliwią:

— Chodźmy już.

Żałują, że posłuchali i od razu się ustawili. Tamci latają, a oni patrzeć się muszą, jak pani się irytuje.

Postoją, postoją, znów się wymykają. A ci znów widzą, że mało się zebrało, więc się nie spieszą. Każdy chce być ostatni, żeby nie czekać.

Ja bym się tam nie złościł. Gdyby pani od razu ruszyła, żeby choć z trzema parami, inni musieliby przecie dogonić i po trochu by się zebrali. Może tam który powie:

„Niech idą. Sam trafię do domu”.

Pewnie by się bał sam zostać, bo będzie miał karę, i też by dopędził. A jak nie, to on jeden. Nie wolno się zaraz na wszystkich obrażać.

Gdyby się dorośli nas zapytali, my byśmy niejedno dobrze doradzili. Przecie my lepiej wiemy, co nam dolega, przecie my więcej czasu mamy, żeby patrzeć i myśleć o sobie, przecież my lepiej siebie znamy, więcej razem jesteśmy. Jedno dziecko wiele może nie wiedzieć, a w gromadzie zawsze się ktoś znajdzie, co lepiej rozumie.

My jesteśmy rzeczoznawcy naszego życia i naszych spraw. My tylko milczymy dlatego, że nie wiemy, co wolno mówić, co nie. My się boimy nie tylko dorosłych, ale więcej jeszcze kolegów, którzy nie chcą porozumienia, nie chcą porządku, wolą w mętnej wodzie kłótni i niezadowolenia łowić ryby własnych korzyści. Gdybym był dorosły, powiedziałbym:

„Anarchia i demagogia”.

Bo jaka tam solidarność! Każdy ma jednego, kogo bardzo lubi, kilku miłych, kilku niemiłych czy obojętnych i paru wrogów.

Może się zdarzyć jaki wyjątkowy, co go wszyscy lubią albo wszystkich lubi. A tak to najwięcej się tylko boją. Kto silny, może się rozporządzić i robić, co chce. Albo jak się znajdzie taki, kogo pani albo pan bardzo lubi.

Więc w powrotnej drodze ze spaceru powiedziałem Mundkowi o Marychnie z Wilna.

— Wiesz, Mundku, dostałem z Wilna pocztówkę. Kwiaty. Niezapominajki. Bardzo ładna pocztówka.

A potem:

— Od jednej dziewczynki.

Powiedziałem, jak się nazywa i w którym jest oddziale<sup>98</sup>.

— Tylko pamiętaj, że to tajemnica.

Powiedziałem, że z nią tańczyłem na imieninach i że ładnie śpiewa.

I że ma ciemne włosy.

— Widzisz, Mundek. A ty się wtedy gniewałeś, że Bączkiewiczowi wpięć powiedziałem o Łatku. Przecie musiałem, bo mi nie chciał pożyczyć. I wtedy jeszcze dobrze ciebie nie znałem.

No więc wzięliśmy się za rękę i już tak idziemy. A on mówi, że i jemu się jedna dziewczynka podoba.

— Bo zawsze smutna.

<sup>98</sup>oddzienie — dziś popr.: oddziały; *oddział* (tu daw.) — klasa (w szkole). [przypis edytorski]

— A moja Marychna musi być wesola.

Na moście niceśmy<sup>99</sup> już nie mówili. Dopiero później:

— Czy ty się nie gniewasz, że ja wtedy na ojca twojego powiedziałem?

Myslałem, że nie usłyszy, bo akurat samochód ciężarowy jechał. Wojskowy samochód — ciężki. Łańcuchy tak brzdękały. Siedziało na nim trzech żołnierzy, a szofer był w cywilnym. Nie wiem dlaczego. A jeden żołnierz trzymał psa. A pies oparł się łapami o poręcz i głowa mu podskakiwała. Taką miał przestraszoną minę.

No i Mundek usłyszał.

— Nie gniewam się — powiada — tylko ty tak nie mów. Bo przykro. Zdaje mi się, że ojciec może być nie wiem jaki. No i każdy wie, jaki jest. A nieprzyjemnie, jeżeli kto powie.

— Ja ci nie chciałem dokuczyć — mówię. — Tak mi się tylko wymknęło.

— Przecież wiem — mówi Mundek.

No i teraz już jestem przyjacielem z Mundkiem. Pocztówkę mu też przyniosę i pokażę.

Przeprosiliśmy się za tamto, powiedziałem mu sekret, żeby nie myślał, że tylko o nim chcę wszystko wiedzieć. I pewnie poproszę, żeby do mnie do domu przyszedł.

Bo jak śmiesznie dorosli każą przeproszać. Dopiero co zrobiłeś — i zaraz:

„Idź, przeproś!”

Nie bójcie się. Jeśli wiem, że nie mam słuszności, przeproszę, ale później kiedy. Już sobie wybiorę taką chwilę, że będzie można. Bo inaczej wychodzi tylko kłamstwo i fałsz.

A Marychna śmiesznie napisała:

„Kochany Kuzynie.

Jestem w Wilnie i nie chodzę do szkoły. Jechałam całą noc i zaziębiłam się, i miałam gorączkę. Całuję cię 1 000 000 000 razy. Kochająca cię Maria”.

Wstydzę się tę pocztówkę pokazać Mundkowi.

No i kazała pani opisać spacer po parku. Mają być cztery części opowiadania: droga do parku, pobyt w parku, powrót — i zakończenie.

Pochwaliła mnie pani, że dobrze.

Napisałem:

„Wówczas była ładna pogoda i pani zabrała nasz oddział na przechadzkę. Szliśmy przez rozmaite ulice. Po obu stronach ulicy wznoszą się wysokie domy, a w środku był ruch uliczny. Po szynach jadą tramwaje, a nie po szynach taksy<sup>100</sup>, dorożki, wozy i temu podobne. Przechodnie się snują, a na rogach stoją milicjanci<sup>101</sup>.”

W parku bawiliśmy się w różne gry. Park zasłany jest śniegiem. Drzewa są nagie, bo nie mają liści. Ich wierzchołki sięgają wysoko. Park nie ma historycznych pamiątek, tylko w lecie rośnie trawa. Krzewy pokryte są soczystymi liśćmi.

A w drodze powrotnej znów szliśmy przez most żelazny. Patrzyliśmy na lód. I szliśmy całą drogę parami.

Wycieczka do parku była bardzo przyjemna, bo słońce świeciło cały czas i w parku bawiliśmy się w różne gry”.

Nieprzyjemne są wypracowania, bo się nigdy prawdy nie pisze, tylko że w szkole kazali.

Marychna się przeziębiła i była chora. I mogła bardzo zachorować, a ja nic nie wiedziałem. I mogła umrzeć, bo dzieci też umierają. Niby się cieszę, że mam pocztówkę, a naprawdę jestem niespokojny.

I po co ona tu przyjechała?

Tylko wiedziałem dawniej, że mam w Wilnie ciotkę, może słyszałem, że ma jakieś dzieci, może nawet mówili, że to dziewczynka — Marychna. Aż nagle ją zobaczyłem.

<sup>99</sup>niceśmy już nie mówili — dziś: nic już nie mówiliśmy. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>taksy<sup>100</sup> (daw.) — dziś: taksówka. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>milicjant — formacja, która pilnowała porządku w przedwojennej Polsce, nosiła nazwę policji, ale jej funkcjonariuszy autor nazywa często milicjantami. *Milicja* i *policja* to wyrazy bliskoznaczne, oba oznaczają zorganizowaną grupę ludzi przygotowanych do walki, których obowiązkiem jest pilnować porządku i zapewniać spokój w społeczności, np. w mieście czy w państwie. Nazwa *policja* pochodzi od łac. *politia* i gr. *politeia*, a te słowa oznaczały pierwotnie sztukę zarządzania miastem, utrzymywania porządku w mieście, zaś *milicja* wywodzi się od łac. *militia*, co znaczyło: służba wojskowa. W Polsce przed II wojną światową używano obu tych słów, w latach 1944–1990 stróżów prawa nazywano oficjalnie Milicją Obywatelską, a potem przywrócono nazwę Policja. [przypis edytorski]

I po co? Co mnie ona właściwie obchodzi?  
Tylko daleka krewna, jakaś kuzynka?  
Gdyby nie wuj, nawet bym z nią nie rozmawiał, gdyby się przyszła pożegnać, kiedy byłem w szkole, już bym więcej nie widział.  
Może podrzeć pocztówkę i skończyć?  
Po co się dręczyć? Po co myśleć? Po co myśleć, czy zdrowa, czy się co złego nie stało?  
I tak jej już nie odpiszę, bo nie mam pieniędzy.  
I właśnie, że dostałem.  
— Masz, łobuzie — powiedział ojciec i dał mi złotówkę. — Kup sobie, co ci potrzebne, albo idź do kina.

A mama:

— Oj, nie dawaj chłopcu pieniędzy, bo się rozpuści.

I jakoś głupio wziąłem, niezdarnie. Tak niespodzianie się stało.

Bo ojciec liczył pieniądze; naliczył coś trzydzieści jeden czy czterdzieści jeden, tylko że jeden złoty za dużo do równego rachunku. Ja akurat stoję. Więc dał. Niespodzianie.

Jak już wziąłem, żal mi się ojca zrobiło. Przecież nie ma za wiele i dzieci dużo kosztują. Zamiast sobie kupić — musi nam — a palto, a buty — jedzenie i szkoła, i wszystko. A ma z tego tylko więcej kłopotu i zmartwień, jeżeli się źle sprawują.

Kiedy chciałem być dzieckiem, zapomniałem zupełnie, że nie będę na siebie zarabiał, że będę ciężarem.

Nie, dzieci nie darmozjady. Pracą jest szkoła. Prawda, że więcej mamy wakacji<sup>102</sup>, ale i nauczyciel także odpoczywa. My ciężiej pracujemy niżli nauczyciel. Bo dla nas wszystko i trudne, i nowe.

A nazywa się, że dzieci nic nie robią, darmo chleb jedzą.

Kiedy chciałem być dzieckiem, zapomniałem zupełnie, jak trudno nie mieć własnych pieniędzy, jaka to niewola.

Na przykład mam złą linijkę. Ktoś mi poszczerbił. Zostawiłem całą, przychodzę po pauzie — nie ma. Szukam, aż znalazłem na innej zupełnie ławce. Cóż, kiedy brzegi podobijane. Już się taką linijką równo nie rysuje: ołówek się zahacza. Bo są i okute żelazem, ale drogie. A nasze, jak na złość, z miękkiego drzewa. Zapomnisz się, uderzysz o ławkę, zaraz się zrobi rowek, wgłębienie.

Ile mamy szkód różnych i strat, a nic nie mówimy. Bo się poskarżysz, pani powie: „Pilnuj”.

Przecie na pauzie nie wolno być w klasie, a zresztą czy można ciągle tylko pilnować?

Teraz mam złotówkę. Już tak widać chciał Pan Bóg.

Kupię dla Marychny pocztówkę. Bączkiewiczowi oddam dziesięć groszy, zakończę z Łatkiem. Kupię linijkę, żeby mieć na zapas. Może sznurowadła? Bo jak mi się podrze, żeby od mamy przykrego słowa nie usłyszeć. Może Mundek czego potrzebuje, więc mu pożyczę.

Byłoby dobrze iść także do kina, ale co? Sam pójdę i przed Mundkiem ukryję? A powiem, że byłem, Mundkowi będzie przykro.

Niby złoty — to dużo. A zaczniesz wyliczać, przekonasz się, że i to nie starczy.

A dorośli myślą, że dzieciak jest lekkomyślny. No, są i między nami, i między dorosłymi. Dlaczego ojciec Mundka wydaje na wódkę? Są tacy, a są znów i tacy. Ojcu ukradnie i pójdzie fundować. Powie, że na zeszyt, wyda na czekoladę. Pożyczy, nie zwróci. Zgubi, bo ma kieszeń dziurawą albo z chustką do nosa wyrzuci. Ale inny wyda tylko, gdy potrzeba. Długo będzie ciulał, po parę groszy, zbierze na prezent dla ojca albo na coś, co drożej kosztuje.

Poszliśmy z Mundkiem szukać ładnej pocztówki. Aniolka już ma, niezapominajki sama mi przysłała. Była jedna, że chłopiec i dziewczynka, ale się wstydzę, bo to znaczy, że ona i ja.

Żeby można wejść do sklepu, byłoby łatwiej. Ale nieprzyjemnie. Patrzą, żeby czego nie zabrać, nie zgnieść, nie zaplamić. Spieszą się, nie lubią, żeby oglądać. Powiedzą:

„No, prędejsz!”

I widać, że chcą, żeby iść sobie.

<sup>102</sup>wakacyj — dziś częstsza forma D. Im: wakacji. [przypis edytorski]

Bo dzieci mają tylko groszaki, więc zarobek z nich mały.

Dorośli też nie od razu za dużo kupuje. Dorosłemu pozwolą przejrzeć wszystkie albumy. Bo jeżeli dziś tylko pocztówkę kupi, to może jutro przyjdzie za więcej. A my co? Grosze i grosze.

Zaraz oddałem Bączkiewiczowi. Dopóki nie miałem pieniędzy, nawet nie miałem śmiałości się pytać.

— Masz dziesięć groszy, coś mi pożyczył na mleko.

— Przecie mówiłem, że ci daruję.

— Nie chcę. Co Łatek robi?

— A co ma robić?

Jakoś nie odpowiada. Może rodzice nie pozwolili, może go wyrzucił?

— Czy jest u ciebie?

— A gdzie ma być, jak go rzuciłeś?

— Nie rzuciłem go wcale, tylko tobie oddałem.

— A jak ja bym nie wziął?

— To może inny?

— A ty myślisz, że zaraz pozwolą brać psa do domu?

Zły jestem, bo taki się robi wyniosły.

Mówię:

— Dlaczego nie mają pozwolić?

— A twoi nie pozwolili.

— Bo się nie pytałem.

Zły jestem, że jemu tak łatwo, a ja dalej samotne życie wiodę. Bo pies jest przyjacielem człowieka.

Wiem, że zazdrość — brzydkie uczucie. Ale czy można nie zazdrościć, jeśli komu się dobrze powiedzie i nawet nie umie ocenić?

I ciekawy jestem, czyby Łatek mnie poznał. Więc tylko ukrywam urazę i mówię:

— A czy będę mógł go kiedy zobaczyć?

— Nnoo, jak przyjdiesz, to ci pokażę.

— A wziąć go do domu na jeden dzień aby?

— Ooo, zaraz chcesz wszystko. Jak mój, to mój. Zresztą czy myślisz, że zechce teraz iść z tobą?

— Skąd wiesz? Może zechce?

— Już do mnie się przyzwyczał.

— No to go sobie trzymaj.

— Pewnie, że będę.

Odchodzę. Co będę z nim gadał? I tak nie zrozumie.

Bo niby ludzie mówią ze sobą, a każdy inaczej czuje. Dlatego się porozumieć nie mogą.

Już tylko jeden Mundek mi został.

Już z nim ciągle razem.

Rano się spotykamy i razem idziemy do szkoły.

Podczas przerwy razem.

I razem wracamy.

Jeden on tylko mi został.

A może grzech tak myśleć?

Mam przecie ojca, mamę, Irenkę.

Zapomniałem jeszcze, żeśmy na tej pożegnalnej wizycie zdmuchiwali kółeczko ze stołu. Bo leżało takie kółeczko, od zegarka czy czego. I Marychna powiedziała:

— Kto mocniej dmucha?

No i ona w jedną stronę dmuchała, a ja w drugą.

Irence też pozwoliliśmy parę razy.

## SZARE DNI

Już druga czapka zginęła chłopakowi.

Była awantura.

Najwięcej w drugim oddziale<sup>103</sup>. Giną tam książki i zeszyty.

Miała być rewizja.

Nauczyciele mówią, że wstyd dla całej szkoły.

Każdy mówił, co zginęło, a panie zapisywały.

Mnie tam nic nie zabrali. Miałem kawałek gumy, może ćwierć. Jeszcze by na tydzień wystarczyła. Ale nie wiem: może w szkole, może na ulicy, może w domu mi się zarzuciła. A niektórzy, jak zaczęli dyktować, to jakby w całej szkole byli sami złodzieje. Co kto gdzie zgubił albo dał i zapomniał — wszystko dyktowali; aż pani nie mogła nadażyć. Pewnie który i kłamał. Bo Pancewicz mówi:

— Dlaczego nie powiedziałeś, że zginęło? Może nam szkoła odkupi?

Jeszcze większe złodziejstwo kazać sobie oddawać, jak nic nie zginęło. Niewstydy taki.

No, bo są, którym dużo ginie. Ale też głowy nie mają. Rzuci byle gdzie i nie wie. Pożycz i nie pamięta. I przez nich mówią, że *dzieci* nieprzytomne. A najgorzej, że chcą, żeby — wszyscy tacy. Kto nie chce byle komu pożyczyć — zaraz:

Samolub — chciwiec — chytron.

Często złość bierze, bo co zobaczy, zaraz:

— Daj.

Jeszcze grozi:

— Pamiętaj, pożałujesz! Poczekaj: przypomnę ci już! Przyjdzie koza do woza. Już ty mnie kiedy poprosisz!

My musimy więcej pożyczać niż dorośli. Bo każą mieć, a jak w domu nie dadzą, co robić?

Często rodzice winni, a dziecko cierpi. A najgorzej, kiedy nie wierzą. U dorosłych, jak kto uczciwy, wszyscy mu ufają, a tu najporządniejszy w podejrzeniu.

— Potrzeba mi na karton.

— Znów karton? Przecie niedawno kupiłeś?

Takie pytanie boli. Bo czy zjadłem karton?

Dorośli ma swoje pieniądze i co potrzebne, kupi. Dziecko jak z łaski dostaje. Ma czekać, aż rodzice będą w dobrym humorze, bo przykre słowo powiedzą.

Dziecko powinno mieć stałą pensję miesięczną, żeby wiedziało, co ma, żeby się nauczyło wydawać, żeby mu starczyło. A ty albo nic nie masz, albo od razu za dużo. To uczy hazardu i żebrania. Bo umyślnie się będzie przymilał, żeby co dostać.

Gubimy, zapominamy — to prawda. Ale oni mają duże kieszenie, szuflady, do których nikt nie podchodzi. Oni powoli chodzą, pomału się ruszają. A mimo to i oni przecie gubią i zapominają.

Jak się starasz, wiesz, pamiętasz — nikt o tym nie mówi, nie widzą naszego starania, nie rozumieją wysiłku. A niech się coś jedno źle uda, zaraz awantura.

W teatrach są woźni i odzież za numerkami wydają. Więc jak ma co zginąć? W szkole każdy sam wie, sam bierze. A jeszcze w pośpiechu. No i trzystu uczniów porządnie powiesi, a kilkoro rzuci byle jak. Więc nie mówi się o trzystu porządnym, tylko się dzieci oskarża. I tak wygląda, że gdzie tylko dzieci, tam zawsze, wszędzie i wszystko źle. Że gdyby dorośli, byłoby inaczej.

Na jedną pochwałę tysiąc nagan, na jedno podziękowanie sto urągani i gróźb. Żeby się nie wiem jak starać, nie wiem jak pilnować.

I kiedy widzisz, że ubliżają, poniżają, podejrzewają, szkalują i karcą, więc albo odejdziesz ochota się starać, kiedy i tak ich nie zadowolisz, albo nawet na złość:

— A niech sobie krzyczą — no i co mi zrobią?

Starasz się tylko unikać, żeby jak najdalej, jak najmniej z nimi. Chyba że koniecznie potrzeba.

<sup>103</sup>oddziale — dziś popr.: oddziale; *oddział* (tu daw.) — klasa (w szkole). [przypis edytorski]

Bo są potrzebni, jeśli coś bardzo boli. Bo jeśli trochę — w oko coś wpadło — lepiej, że kolega pomoże. Bo zaraz triumfują:

„Po co to, po co tamto?”

Jakbym sam nie wiedział.

Albo musimy się na kogo poskarżyć. Bo rzadkie są skarżypyty, a my tylko już w ostateczności. I zawsze ze strachem, że złym słowem odtrąca.

Bo pomyślcie tylko: wasi występni siedzą w kryminalach, a nasi luzem wśród nas sobie chodzą.

Tak, żyjemy obok siebie blisko, ale nie razem.

A niech się dziecko zbliży, bo lubi, zaraz podejrzenie, że lizuch, że ma interes.

I nie wiemy, co wolno i co nam się należy, nie znamy naszych praw ani obowiązków. I tu, i tam samowola.

Chciałem być znowu dzieckiem, pozbyć się szarych dorosłych trosk i smutków, a mam dziecinne, które mocniej boją.

Niech was nie ludzi nasz śmiech.

Zajrzyjcie do naszych myśli, kiedy spokojnie idziemy i wracamy ze szkoły, kiedy spokojnie siedzimy na lekcji, kiedy rozmawiamy półgłosem lub szeptem, kiedy leżymy wieczorem w łóżku.

Inne troski, ale nie mniejsze, mocniej odczuwane — i większa, wielka tęsknota.

Wy już zahartowani w cierpieniu i rezygnacji, my jeszcze się buntujemy.

Kiedy byłem dorosły, już się tylko wystrzegałem złodzieja. A teraz boli, że kradną.

— Dlaczego jeden drugiemu zabiera? Jakże tak można?

Smutek, że nie może być dobrze.

— No, trudno — mówiłem, kiedy byłem duży.

A teraz nie chcę. Nie chcę, żeby tak było.

I nie ufam, że szkoła poradzi. Bo dorośli niby nas poprawiają, poprawiają — i nic nie wychodzi: jątrzą tylko więcej.

Czapka się nie znalazła. Mają wszyscy zapłacić. Więc trzeba w domu powiedzieć. A w domu na szkołę napadną:

„Złodziejska szkoła”.

Albo:

„Co robią nauczyciele, dlaczego nie pilnują?”

Znów niesprawiedliwie, bo co szkoła winna? Przecież panie nie mogą wszystkiego pilnować.

A najsmutniejsze, że jeden może narobić wszystkim tyle przykrości i niepokoju.

Bo Mundek czeka na mnie, bo palta znaleźć nie mogę. Szukamy:

A woźny zaraz:

— Czego wy tu myszkujecie?

Mówię:

— Nie myszkujemy, tylko mi palto gdzieś przewiesili.

— Czego nie powiesiłeś, tego nie masz — mówi woźny.

— Przecie bez palta nie przyszedłem.

A on:

— Kto was tam wie.

A potem:

— No, znalazłeś? Widzisz: gdzie powiesiłeś, tam wisi.

Ja mówię:

— Pan nie widział, to nie wie.

A on:

— Nie bądź za mądry, bo dostaniesz w ucho.

Ile czasu upłynie, zanim przestaną nie tylko bić dzieci, ale grozić obiciem. Bo teraz wygląda, że tylko niektórzy z łaski nas nie biją.

W drodze Mundek znów mówił o ojcu.

— Ty może myślisz, że mój ojciec jest taki pijak, co robi awantury. W naszej sieni mieszka jeden. Browerie wyrabia, raz nawet była policja. Jak do domu wróci, bije żonę i dzieci. Słyszysz się, jak trzaśnie, a potem pisk. Potem: weźmie, rzuci na ziemię — szkło nie-szkło. I zaczyna dopiero: „To wszystko moje, ja w krwawym pocie zarobiłem; jak

Przemoc

zechcę, połamię, zniszczę, spalę”. A dzieci: „Tatusiu — tatusiu”. Gdyby mój ojciec, nie wiem, co bym zrobił. Bo tata ma tylko słabą głowę: wypije kilka kieliszków — i gotów.

— A dlaczego pije?

— Nie wiem. Pewnie się przyzwyczaił. Bo ja ani pić, ani palić nie będę. Po co chlać truciznę? Nawet w ustach pali — przepali krew i żołądek. Ja zacząłem już papierosy. Ale jeden chłopak kazał nabrać dymu i przedmuchać przez chustkę. I na płótnie taka się żółta, śmierdząca plama zrobiła. Żebym był królem albo miał jaką władzę, pozamykałbym wszystkie restauracje, te tam różne knajpy. Jakby nie było, musieliby przestać.

Szliśmy kawalek w milczeniu.

— We krwi są jakieś kulki, w które wchodzi powietrze. Dziwnie jest człowiek zbudowany. Ani jednej maszyny nie ma podobnej. Bo co? Zegarka nie nakręcisz, to stanie. A człowiek dziesięć — sto lat bez nakręcania. W kurierze nawet pisało<sup>104</sup>, że jeden sto czterdzieści lat.

I zaczęliśmy mówić, jakich znamy starszków. A potem o weteranach: że pamiętają powstanie<sup>105</sup>.

— A ty chciałbyś być weteranem?

— Nie — powiedział prędko. — Chciałbym mieć lat piętnaście albo dwadzieścia.

— To może by już twoi rodzice nie żyli — mówię.

Pomyślał — pomyślał — i smutnie powiada:

— A, niech już będzie, jak jest.

Pozegnaliśmy się, rękę podaliśmy i spojrzeli. A dziewczynki się zawsze całują, nawet jak nie bardzo lubią. My, chłopcy, jesteśmy prawdziwi. A może u nich tylko taki już zwyczaj?

Co dalej?

Ano, nic. Lekcje różne.

A na gimnastyce pan nową zabawę pokazał. Że są dwie partie. Kreskę się robi — granicę. Jedni po tej stronie, drudzy po tamtej. I przeciągają się — i do niewoli. Która strona wygra. Z początku przeszkadzali, bo naumyślnie się poddawali, jeżeli wołał być z tamtymi. Albo go przeciągnęli, a on się wyrwie i kłóci, że wolno. Ale potem już się udało. I było wesoło.

Prosił, żeby dalej to samo do końca godziny, do dzwonka, ale pan nie. Bo ja wiem dlaczego?

Na mój rozum, wybrać kilka gier, które się podobają — i już je prowadzić. Jeżeli w berka, kłipe, kukso, palanta tyle lat grają, a teraz jeszcze futbol<sup>106</sup> — dlaczego ma się znudzić? A tu na każdej lekcji co innego. To gniewa, bo się żadnej porządnie nie pozna. No, bo wie się, o co idzie, ale trzeba wiele tygodni grać, żeby poznać gruntownie: wszystkie trudności, wszystkie sposoby uczciwe i oszukańcze.

Dorosłym się zdaje, że dzieci lubią ciągle coś nowego. Tak samo z bajkami.

No, są tacy, co zaczął się krzywić:

— Eee, już znamy, już wiemy.

A jeśli się pytać, zawsze ktoś zacznie się krzywić, że nieciekawe i woli co innego.

A ładną bajkę, ciekawe opowiadanie — możemy wiele razy słuchać. Jak dorośli na to samo pójdą do teatru; a nawet bardziej. Bo dzieci rzadziej, żeby się pochwalić, a chcą poznać dobrze.

Zanadto może szkoła pędzi, jakby kto poganiał.

Przyjemna była zabawa.

A na rachunki<sup>107</sup> przyszedł pan inspektor.

Mówią, żeby się zawsze starać, nawet jak nie widzą. Że bez pilnowania powinniśmy się dobrze sprawować. A sami nie zawsze tak robią.

Kiedy przyszedł inspektor, więcej się wszyscy starają. Nawet kierownik, cała szkoła robi się od razu świąteczna. I nie wiadomo, czego się boją, bo inspektor dobry, bardzo przyjemny, zupełnie jak zwyczajny człowiek.

<sup>104</sup> *pisało* (pot.) — popr.: było napisane. [przypis edytorski]

<sup>105</sup> *o weteranach: że pamiętają powstanie* — mowa o weteranach powstania styczniowego 1863 r. [przypis edytorski]

<sup>106</sup> *futbol* (z ang.) — piłka nożna. [przypis edytorski]

<sup>107</sup> *rachunki* — tu: lekcja matematyki. [przypis edytorski]



Powiedział, żeby obliczać objętość piórnika. A Drozdowski z tego strachu nie dosłyszał i mówi:

— Piernika.

Mysleliśmy, że się rozgniewa, to i pani będzie na nas zła potem. A on tylko się śmieje.

— O pierniku myślisz, toś pewnie wielki łasuch — powiada.

Wszyscy zaczęli się śmiać, ale dobrze odpowiadali.

I pani powiedziała, że dobrze. I była przyjemna godzina.

I były imieniny pani. Mróz taki, a myśmy się umówili, żeby klasę choiną przystroić. Ale nie mieliśmy. I chcieliśmy pani laurkę napisać; ale zaczęli się kłócić — i też nic nie wyszło. Bo miało być zbiorowe: że jeden napisze, a wszyscy się podpiszą na dole. Tak dopiero radzić zaczęli, że dadzą po pięć groszy. A kto kupi, a co napisać? I nic. Tylko paru obrazki narysowało i położyliśmy na stoliku. A na tablicy:

„Winszujemy pani”.

Chcieli jeszcze:

„Szczęścia — zdrowia”.

Nawet:

„Ładnego męża”.

Takie tam głupstwa wymyślali, więc nie pozwoliliśmy. I trzeba się było spieszyć, żeby zdążyć przez pauzę.

Pani spojrzała i tylko się uśmiechnęła. Ale przeczuwała widać, bo lekcji nie było, tylko czytanie. Pani przyniosła książeczkę *Nasz mały*<sup>108</sup> i całą godzinę czytała.

Ładne — smutne.

Tylko nieprzyjemnie, jak się przerywa czytanie i od siebie dodaje, objaśnia. Bo każdy chyba rozumie, jeżeli słucha, a jeśli nawet nie zrozumie, więc się sam później domyśli.

Znajdzie się jeden, co lubi zadawać pytania, a inni się gniewają, że przeszkadza. Rzadko chyba, żeby naprawdę chciał wiedzieć, a więcej, żeby się pochwalić, że niby nie wie, że taki sumienny.

Jeśli coś nie bardzo ciekawe, niech tam objaśniają i przerywają — czas prędzej schodzi — ale jeżeli ładne, boimy się, że pani nie zdąży. I jeśli coś mniej rozumiesz, wychodzi nawet bardziej tajemniczo.

Zdążyła pani przeczytać całe opowiadanie, a już przed dzwonkiem podziękowała za powinszowanie.

Wiem dlaczego. Bała się na początku lekcji, że zaczną krzyżeć i już czytać nie będzie można. Boją się nauczyciele każdego święta w klasie, każdej radości, każdego wesołego wybuchu. To przykre, ale tak widać być musi.

No i bawiliśmy się w to i owo — i taka była cała wesołość tygodnia. A smutków — drobnych i większych — wiele. A jedne osobiste, inne przez współczucie.

Bo my, dzieci, wiele mamy cierpień, że kogoś żal, że komuś źle się dzieje.

Nauczyciel podarł prawie nowy zeszyt Hessowi. Niestarannie napisał; nawet nie niestarannie, ale spieszył się, bo mu matka chora<sup>109</sup> i dużo miał w domu roboty. Nie chciał lekcji wcale nie odrobić, bał się, że nauczyciel będzie się gniewał. A wyszło jeszcze gorzej. Zły był akurat, więc mówi:

— Uczeń, który się nie wstydzi taką mazanię nauczycielowi podawać...

I podarł prawie nowy zeszyt.

Hessa nie bardzo lubię. Siedzi gdzie indziej, i mało go widzę, i prawie nie rozmawiam. Dziki jest w zabawie i żartach i musi być bardzo biedny.

Ale zdziwiło mnie, że pierwszy raz płacze. Naprawdę mu łzy płynęły. Potem znów siedział zasępiiony.

Patrzę się raz i drugi i na pauzie podchodzę.

Kiedy byłem nauczycielem, dziwiłem się, że jeśli kogoś słusznie czy w pośpiechu ukarzę, zaraz się zbierze gromadka i mówią, i pocieszają. Nawet najgorszy znajduje wśród najlepszych jakby sprzymierzeńców. Przeciw mnie.

Mówię: „Nie bawić się z nim, ręki nie podawać!”

A oni przeciwnie.

<sup>108</sup>*Nasz mały* — opowiadanie Wincentego Kosiakiewicza (1863–1918). [przypis edytorski]

<sup>109</sup>*mu matka chora* — dziś: matka mu choruje; jego matka jest chora. [przypis edytorski]

Dopiero teraz rozumiem.

Nauczyciel tylko oskarża, więc musi przecie ktoś bronić. Bo się wie, że choć nic nie mówi, mógłby na swoją obronę też coś powiedzieć. U dorosłych nawet największy zbrodniarz ma obrońcę.

Niestarannie napisał w nowym zeszytcie. To dziwne. Nawet największy leń i niedbaluch z początku zawsze się stara.

No i co?

Matka mu chora. Jeśli zawsze brzydko pisał, więc teraz tym bardziej. A przecie są<sup>110</sup>, że choćby najładniej chcieli, nie potrafią ładnie. A jeszcze papier niedobry w tanim zeszytcie albo stalówka<sup>111</sup> stara, atrament błady, bibuła<sup>112</sup> mażąca.

Akurat mam nowy zeszyt, więc dałem. Tak się ucieszył, bo mówi, że teraz nie mógłby wziąć od ojca, bo bieda przez tę chorobę.

On mnie nawet kilka razy zaczepił, ale wiem, że nie będzie już więcej. Możemy żyć z daleka, ale w zmartwieniu trzeba przecie pomóc.

Drugie zmartwienie przez współczucie takie:

Nowa higienistka znalazła u Kruka wesz na koszuli. I dopiero zaczęła docinać. I jemu, i wszystkim. Że chłopcy się nie myją, mają długie pazury i butów nie czyszczą.

(Więc dzieci mają pazury, a dorośli — paznokcie).

Czemu nie powie, że jeden ma wesz, po co wtrąca całą klasę? I po co go zawstydząć, żeby koniecznie płakał? Przecież może się zdarzyć. I nie wiadomo, od kogo przeszła. Przecież nie z samymi czystymi się spotykamy. I razem siedzą, i palto na palcie wisi. I w domu jest sublokator<sup>113</sup> — i może być brudny. I małe dzieci ciągle na podwórku.

I zaraz przycinki i wyśmiewanie. Nawet matki nasze wtrąciła, a już do tego zupełnie nie miała prawa.

A lizuchy, żeby się przypodobać, jeszcze basują: różne żarciki kłujące. I śmiech. Ten wstrętny śmiech, że ktoś ma przykrość.

Buty czyścić? No, dobrze: trzeba mieć szczotkę do pasty, pastę i szczotkę do glansu<sup>114</sup>. A co robić, jak włosy powyłaziły i samo drzewo zostało? I za nieduże pudełko trzeba dwadzieścia groszy zapłacić. Uda się parę razy śliną buty wyczyścić, ale potem gorzej jeszcze — że i pasta niewiele pomoże.

Niby my od siebie zależni!...

A najgorsze, że Mundek ma ciasne buty. Natarł nogę i więcej jeszcze kuleje. Ja mam kłopot z paltem na wyrost, a on jeszcze większy.

W domu boi się powiedzieć, bo zaczną krzyżeć, bo chcieli wziąć o numer większe. A i te były za duże.

— Nie wiem, co się stało. Chyba człowiek nie rośnie ciągle jednakowo. Tamta para zdarła się, a jeszcze były za duże. Wtedy wcale mi noga nie rosła, a teraz przez pół roku takie mi łapy ponarastały, że sam nie wiem, skąd i jak. Wszystko mi ciasne. Wcale się gimnastykować nie mogę, bo się boję, że wszystko popęka, bo trzeszczy. Pan się gniewa, że się nie nachylam, że porządnie rąk nie wyciągam, że źle maszeruję; a nie spojrzysz, jak jestem ubrany.

— I co zrobisz? — pytam się.

— Bo ja wiem... Jak już zupełnie nie będę mógł chodzić, w domu sami zauważą. A wtedy co będzie, to będzie. Krzyżeć będą albo nawet zbiją. Przecie nie moja wina, że rosnę. Jakoś się skończy wreszcie z tym rośnięciem.

<sup>110</sup>są, że — dziś popr.: są tacy, którzy. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>stalówka a. stalka — element pióra, blaszka dotykająca bezpośrednio papieru podczas pisania. W I połowie XX w. dzieci w szkołach uczyły się pisać piórem złożonym z drewnianej osadki i metalowej stalówki, którą zanurzało się co chwilę w kałamarzu pełnym atramentem. Stalówki szybko się zużywały i trzeba było je często wymieniać. Długopis został wynaleziony w 1938 r., a do powszechnego użytku wszedł znacznie później. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>bibuła — atrament, którym dawniej pisano, sechł długo, więc aby przyspieszyć schnięcie, przykładano do świeżo zapisanego papieru bibulkę, by wchłonęła nadmiar wilgoci. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>sublokator — osoba, która wynajmuje pokój lub tylko łóżko w czyimś mieszkaniu. Dawniej w biednych rodzinach zdobywano dodatkowe pieniądze, wynajmując komuś choćby kawałek pokoju, niektórzy nie mieli nawet własnych łóżek, tylko spali na rozkładanych leżankach np. w kuchni, a dzieci często sypiały po kilkoro w jednym łóżku. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>szczotka do glansu — szczotka do polerowania butów po zapastowaniu. [przypis edytorski]

Potem mówiliśmy, że jak szczeniakowi dawać wódkę, podobno nie rośnie. Może i kuczki są dlatego, że im wódkę dawali. Taki ładny kuc w zeszłym roku obwoził ogłoszenie o cyrku.

— Widziałeś go?

— Co nie miałem widzieć?

— Na Nowym Świecie?

— Nie, na Marszałkowskiej.

Dorośli się dziwią, że kłócimy się między sobą, a niby jesteśmy solidarni. No, tak, są dwa obozy: dorośli i dzieci. A potem banda przeciw bandzie i każdy przeciw każdemu. Jeden Mundek prawdziwy przyjaciel — i też nie wiem, jak długo będzie...

Największe osobiste zmartwienie, że w szkole mi trudno. Zapominam, com umiał, kiedy byłem dorosły. Już teraz nie mogę nie uważać na lekcji, pilnować się muszę i lekcje odrabiać.

Trudno mi odpowiadać. Nie jestem pewien, czy umiem. Boję się, że się nie uda.

Kiedy pan albo pani patrzą na klasę i mają wywoływać, serce inaczej jakoś bić zaczyna. Może nie strach, ale nieprzyjemnie. Jakby śledztwo — że choć nie winien, ale kto wie, jak wyjdzie.

Nie od siebie tylko jestem zależny, a od całej klasy. Inaczej się odpowiada, jeśli klasa wie i rozumie, inaczej, jeśli nie umie i pani się niecierpliwi.

Niech jeden kto głupstwo powie, już po nim trudniej dobrze odpowiedzieć.

Dlatego są dni, kiedy wszyscy, nawet najgorsi umieją, i są dni feralne, kiedy cała klasa jakby zbaraniała. Chyba że kto nic sobie z niczego nie robi i na własną odpowiedzialność zaczyna. Wtedy znów czuje, że ma chłopców przeciwko sobie, że źle mu życzą, że tylko czekają, żeby i jemu się nie udało.

Już tak jest w powietrzu, jakby mówili:

„Kuś baba, kuś baba”.<sup>115</sup>

No, trudno: nie wiem, nie rozumiem, nie mogę. Dlaczego muszę rozumieć? Dlatego koniecznie, że nie uważam? Czy dzieciom mniej zdolnym już się nie należy ani trochę miejsca na świecie?

Wywołała mnie pani do tablicy. Miała to być poprawka. A zakotłowało się w głowie. Nic tylko:

„Znów dwóję dostaniesz”.

Inny umie chrząkać albo nadrabia miną, albo zrobi się potulny i godzien litości, albo umie korzystać zaraz, jak mu podpowiedzą. Niby robi sam, a czeka, co pani powie. A może coś się stanie takiego w ostatniej chwili i ocalenie przyniesie?

Każdy inaczej sobie radzi, byle się wykręcić. Więc i ja tak samo. Ale pani już mnie pamięta. Nie mówię, że się umyślnie przyczepia, ale już pilnuje.

Pokazują na palcach, że zaraz dzwonek. Ale nic mnie to nie pociesza. Bo albo pani po dzwonku przetrzyma — wtedy jeszcze gorzej — albo nawet nic nie postawi, ale zapamięta.

— Źle.

Sam wiem, że źle, i już tylko czekam, czy pani gniewać się zacznie, czy ze mnie żartować.

Ale było najgorzej.

— Co się z tobą zrobiło? — mówi pani z wyrzutem. — Strasznie się zaniedbałeś. Nie uważasz na lekcjach, niestarannie piszesz — zupełnie się opuściłeś. A oto skutki. Wczoraj robiliśmy podobne zadanie. Gdybyś był uważał.

Wszystko przepadło.

No, tak: zepsułem się. Tak, psujemy się i poprawiamy. Nigdy bez powodu. Kto nie wie, co w głowie się dzieje i co serce czuje, temu łatwo osądzać.

Wszystko przepadło!

Już mnie pani nie lubi. I gniewa się, że się pomyliła. Lepiej od razu być takim sobie uczniem, być szarym, nieznanym. Bezpieczniej — łatwiej — swobodniej. Bo mniej żądają, nie trzeba się wysilać.

Spuściłem głowę i tylko ukradkiem spoglądam, bo nie wiem, czy pani żal, czy przestanie mnie lubić.

<sup>115</sup>kuś baba a. skuś baba — używane w zabawie złośliwe życzenie, aby się nie udało. [przypis edytorski]

Nauczyciel nigdy nie powie, czy lubi, ale się to czuje. Zupełnie inny ma głos i inne spojrzenie. Czasem aż odtrąca, aż mróz przechodzi po tobie.

I bardzo cierpisz, i nic poradzić nie możesz. Albo się bunt w tobie zrywa. Bo co ja winien?

Że Barański głupią robotę wymyślił i prysnął w oczy skórką od pomarańczy. Zaszczy-pało, że nie wiem. Nic nawet nie powiedziałem, tylko trę oczy.

A pani:

— Co wyrabiasz? Zamiast uważać...

Nie będę przecie opowiadał. Bo czy raz tak bywa?

Uszczypnie cię kto, więc krzykniesz i podskoczysz. Już jesteś winien.

Nie wiedzą nauczyciele, jak się boimy tych, o których się mówi „cicha woda”.

Taki robi, co chce, i nic mu nie będzie. Nieszczęście mieć go w ławce albo za sobą.

Nigdy człowiek nie jest pewien godziny ani chwili.

Drugi raz to była i moja wina trochę.

Siedzę na lekcji, ale patrzę, a Szczawiński ma na plecach na bluzie pięć palców z kredy.

Na przerwie ktoś rękę usmarował kredą i uderzył. Tamten nie wie, a na plecach ręka się odbiła.

No i chciałem przymierzyć, czy prawa ręka, czy lewa. Chciałem nawet z daleka, ale niechący ruszyłem. I odwrócił się. A pan na niego, że się kręci. A Wiśniewski:

— O, jakie ma paluchy!

A pan do mnie.

Ja rękę pokazuję, że przecież czysta. A pan:

— Stójcie obaj w ławce.

Nie staliśmy długo. Ale nie o to idzie. Przykro, że się wszystkie nasze sprawy załatwia prędko i byle jak, że dla dorosłych nasze życie, troski i niepowodzenia są jakby tylko dodatkiem do ich prawdziwych kłopotów.

Są niby dwa różne życia: ich — poważne i godne szacunku, i nasze — niby na żart. Że mniejsi i słabsi, więc jakby zabawka tylko. Stąd lekceważenie.

Dzieci — to przyszli ludzie. Więc dopiero będą, więc jakby ich jeszcze nie było. A przecież jesteśmy: żyjemy, czujemy, cierpimy.

Lata nasze dziecinne — są to lata naprawdę życia.

Dlaczego i na co każą nam czekać?

Czy dorośli przygotowują się do starości, czy i oni nie trwonią sił lekkomyślnie, czy chętnie słuchają przestrog gderliwych starców?

Myślałem w szarzyźnie dorosłego życia o barwnych latach dziecięctwa<sup>116</sup>. Wróciłem, dałem się złudzić wspomnieniom. I oto wkroczyłem w szarzyznę dziecięcych dni i tygodni. Nic nie zyskałem, straciłem jeno<sup>117</sup> hart rezygnacji.

Smutno mi. Żle.

Kończę dziwną opowieść.

Wypadki szybko po sobie następują.

Przynoszę do szkoły pocztówkę Marychny, żeby pokazać Mundkowi.

I Wiśniewski wyrwał mi ją z ręki.

— Oddaj!

Ucieka.

— Oddaj, słyszysz?

Śmieje się i przez ławki. Ucieka.

— Oddaj! W tej chwili!

Ręką w powietrzu wywija i krzyczy na głos:

— Trypszytk! List od narzeczonej!

Wydieram mu. Gniołę. I na kawałki.

Nie zauważyłem, że kawałek na ziemię.

Oszalały z bólu i gniewu.

A Wiśniewski:

— Patrzcie, chłopaki! Sto milionów razy go całuje.

<sup>116</sup>dziecięctwo (daw.) — dzieciństwo. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

Dobiegam — i w twarz.  
Kierownik chwyta mnie za rękę.  
Tak. Zepsuł się. I rysował ładnie. I pisał dobrze. Teraz nie uważa. Niespokojny. Źle lekcję odrabia.  
Po matkę.  
— Poczekaj. Niech tylko ojciec wróci z roboty. Już ci nie będzie dawał złotych na iluzjon<sup>118</sup>.  
Osaczony ze wszystkich stron.  
Wszędzie złe słowa, złe spojrzenia, zapowiedź jeszcze groźniejszego.  
Mundek chce pocieszyć. Wiem, ale nie mogę. Odtrącam brutalnie. Rzucam oskarżenie bezmyślnie:  
— To wszystko przez ciebie.  
Mundek z przerażeniem patrzy na mnie.  
Za co? Dlaczego?  
Wszystko przez tę pocztówkę.  
Nienawidzę Marychny. Głupia. Kokietka. Całą noc by tańczyła. Oczy w górę przewraca.  
Szkoła, że daleko. Na złość bym jej zrobił. Pobił. Kokardę rzucił do rynsztoka.  
Wyrwam groch z doniczki... I przez okno. Irena łyzy ma w oczach. Czuję, że się coś straszego stało.  
Nic i nikogo nie mieć.  
Łatek, gdzie jesteś?  
Nie. Na co mi to psisko? Niech sobie ma Bączkiewicz w procencie. Kupił za dziesięć groszy. Niech jemu liże ręce.  
Zniszczyłem wszystkie pamiątki, zerwałem z całym światem.  
Zostałem sam.  
Matka?  
Przecie powiedziała, że mnie się wyrzeka. Już tylko Irena. Ja — nie.  
Niegodny, występny, wyklęty, skłócony z życiem.  
Wszystko porzuciło. Wszędzie zdrada.  
— Niespokojny. Źle lekcje odrabia.  
I pani, i Łatek, i matka.  
Pobiegnę aż na sam strych i przed drzwiami usiadłem na schodku.  
Pustka we mnie i pustka wkoło.  
Nie myślę już teraz o niczym.  
I z głębi piersi westchnąłem.  
Ze szparki drzwi na strychu gramoli się kołysząc człowieczek z latarką.  
— Aha!  
Gładzi siwą brodę. Nic nie mówi.  
Czeka.  
Szeptem beznadziejnym — poprzez łyzy:  
— Chcę być duży. Już pragnę być dorosły.  
Zamigotała przed oczami latarka krasnoludka.

Siedzę przy biurku.  
Stos zeszytów do poprawiania.  
Przed łóżkiem spłówiały dywanik.  
Zakurzone w oknach szyby.  
Wyciągam rękę po zeszyt pierwszy.  
Błąd.  
Wyraz „stół” napisany przez „u”. Przekreślone „u”, a nad nim „ó”. I znów przekreślone „ó”, i na szczycie znów napisane „u”.  
Biorę ołówek niebieski i na bibule piszę:

<sup>118</sup>iluzjon (daw.) — kino. [przypis edytorski]

„*stul*” — „*stul*” ...

Szkoda. Ale nie chcę wracać...

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/korczak-kiedy-znow-bede-maly/>

Tekst opracowany na podstawie: Janusz Korczak, *Kiedy znów będę mały*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1961.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska, Biuro Rzecznika Praw Dziecka

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) we współpracy z Biurem Rzecznika Praw Dziecka. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Anna Kowalska, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska, Wojciech Kottwica.

Publikację wsparli i wsparły: Tony, Jan Domański, J. Pszeniczn, Daria, Dudojć, M.Karasinska, Joanna Rudniańska, Anna Zagala, Ludwik Trammer, Milupa, krst, Marcin Gryszkalis, Ewa i Karol Jalochowscy, Tomasz Żukowski, Paweł Leszczyński, pani kazia, Krystyna Kolwas, Angelika Reszczyk, Adam W., Jacek Markowicz, Linka, Ścibi, Mikołaj, Bożena Michalska, Monika, Anonim, Wodarek, Wojtek, Robert Anton Wilson, Katarzyna Kijanka, harc, Elżbieta Płaskowska, Darek Dzida, ms, Monia, Michał Damski, lud\_las, Dominik Kozaczko, anonim, Grzegorz Siergowicki, Analfabeta, Marek W, Dawid Reinhold, Ewa Bakiera, rs, Wikiradio, Judasz - ile mam, to dam.

Okładka na podstawie: **bfick**, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0384-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji.**